

Pamiętniki Wampirów Smith Lisa Jane

Rozdział 1

Wszystko będzie tak jak przedtem – zapewniła Caroline ciepłym tonem, ściskając Bonnie za rękę.

Ale to nie była prawda. Nic już nie mogło być takie jak kiedyś, przed śmiercią Eleny. Nic. A Bonnie miała też poważne obawy związane z imprezą, którą Caroline usiłowała zorganizować. Ucisk w żołądku mówił jej, że to jest jednak bardzo, ale to bardzo zły pomysł.

- Przecież już jest po urodzinach Meredith – zauważyła. - Były w zeszłą sobotę

- Ale nie miała imprezy, takiej prawdziwej jak nasza.

Mamy dla siebie całą noc, rodzice wrócą dopiero w niedzielę rano. Bonnie... Pomyśl tylko, jaką będzie miała niespodziankę.

No jasne, niespodziankę to rzeczywiście będzie miała, pomyślała Bonnie. Taką niespodziankę, że potem kto wie, czy mnie nie zabije.

- Posłuchaj, Caroline, Meredith właśnie dlatego nie robiła imprezy, że nie miała ochoty na świętowanie. To się wydaje takie trochę... No, jakby nie na miejscu...

- Przecież tak nie można! Elena chciałaby, żebyśmy się dobrze bawiły, wiesz, że by chciała. Uwielbiała imprezy. I na pewno

nie życzyłyby sobie żebyśmy siedziały i płakały pół roku po jej odejściu. - Caroline nachyliła się bliżej, a w jej kocich, zielonych oczach była szczerza prośba. Nie uciekała się do swoich podłych gier. Bonnie wiedziała, że dziewczyna naprawdę mówi poważnie.

- Chcę, żebyśmy przyjaźniły się jak kiedyś – powiedziała Caroline. - Zawsze razem obchodziłyśmy nasze urodziny, tylko we cztery, pamiętasz? I pamiętasz, jak faceci zawsze próbowali się na te imprezy dostać? Ciekawe, czy i w tym roku spróbują.

Bonnie czuła, że sprawa wymyka się spod kontroli. To zły pomysł, to bardzo zły pomysł, pomyślała. Ale Caroline mówiła dalej, niemal z rozmarzeniem, o tych dawnych, dobrych czasach. Bonnie nie miała serca jej przypominać, że te dni minęły nieodwracalnie jak muzyki disco.

- Ale teraz jesteśmy tylko trzy. To bez sensu robić imprezę dla trzech osób – zaprotestowała słabo, kiedy udało jej się wtrącić słówko.

- Mam zamiar zaprosić też Sue Carson. Meredith ją lubi, prawda?

Bonnie musiała przyznać, że tak było: wszyscy lubili Sue. Ale Caroline i tak powinna zrozumieć, że nie będzie już tak jak kiedyś. Nie da się, ot tak, zastąpić Eleny Sue

Carson i wmawiać sobie: „Proszę bardzo, wszystko jest okej”

Ale jak wyjaśnić to Caroline? - zastanawiała się Bonnie.

I wpadła na pomysł.

- Zaproś Vickie Bennett – zaproponowała.

Caroline wytrzeszczyła na nią oczy.

- Vickie Bennett?! Chyba sobie żartujesz. Zapraszać tę kretynekę, która rozebrała się na oczach połowy szkoły? Po tym wszystkim, co zaszło?

- Właśnie ze względu na wszystko, co zaszło – upierała się Bonnie. - Posłuchaj, ja wiem, że ona nigdy nie należała

do naszej paczki. Ale już się nie zadaje z tą bandą: oni jej nie chcą, a ona śmiertelnie się ich boi. Zaprosimy ją.

Przez moment Caroline wyglądała na bezradną i sfrustrowaną. Bonnie wysunęła szczękę do przodu, ręce oparła na biodrach i czekała. Wreszcie Caroline westchnęła.

- Dobra, wygrałaś. Zaproszę ją. Ale musisz przyprowadzić Meredith do mnie w sobotę wieczorem. I, Bonnie...

Nie mów jej, o co chodzi. Naprawdę chciałabym, żeby miała niespodziankę.

- Och, będzie zaskoczona – przyznała Bonnie ponu-

ro. Nie była przygotowana na świąteczko, które pojawiło się w oczach Caroline, ani na jej spontaniczny serdeczny uścisk.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz – powiedziała Caroline. - Poza tym dobrze nam zrobi, kiedy się wszystkie spotkamy.

Do niej nic nie dociera, pomyślała Bonnie oszołomiona, patrząc na odchodzącą Caroline. Co mam zrobić, żeby zrozumiała? Walnąć ją?

A z chwilę pomyślała: O Boże, muszę powiedzieć Meredith.

Pod koniec dnia stwierdziła jednak, że może nie musi Meredith mówić. Caroline chce zrobić przyjaciółce niespodziankę – no cóż, może zatem Bonnie powinna przyprowadzić Meredith, nie uprzedzając jej. W ten sposób Meredith przynajmniej nie będzie się martwić, zanim nie znajdzie się w domu Caroline. Tak stwierdziła Bonnie, najlepiej będzie Meredith oszczędzić i nic jej nie mówić.

Poza tym kto wie? -napisała w swoim pamiętniku w piątkowy wieczór. - Może ja jestem zbyt surowa dla Caroline. Może ona naprawdę żałuje wszystkich tych rzeczy, które nam zrobiła. Na przykład tego, że próbowała

upokorzyć Elenę na oczach całego miasta i że chciała, żeby Stefano został oskarżony o morderstwo. Może od tamtej pory Caroline dojrzała i nauczyła się myśleć o innych, nie tylko o sobie. Może nawet na jej imprezie będziemy się dobrze bawić.

A może ufoludki porwą mnie przed jutrzejszym popołudniem? - Pomyślała, zamykając pamiętnik. Tak by chyba było dla niej lepiej.

Pamiętnik prowadziła w zwyczajnym notesie o nielinio- wanych kartkach, w drobne kwiatki na okładce. Zaczęła go pisać dopiero po śmierci Eleny, ale już trochę się od niego uzależniła. W pamiętniku mogła wyrazić wszystko, co czuła, nie szokując innych i nie narażając się na pełne zgromy okrzyki w rodzaju: „Bonnie McClough!” albo : „Ależ Bonnie...”

Wyłączając światło i wsuwając się pod kołdrę, wciąż jeszcze myślała o Elenie.

Siedziała na bujnej, równo przyciętej trawie, która rosła, jak okiem sięgnąć. Na błękitnym niebie nie było ani jed-

nej chmurki, a powietrze było ciepłe i pachnące. Ptaki śpiewały.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś – odezwała się Elena.

- Hm... - mruknęła Bonnie. - Cóż ja też się cieszę, oczywiście. - Znowu rozejrzała się wokół, a potem zerknęła na Elenę.

- Jeszcze herbaty?

Bonnie trzymała w dłoni filiżankę kruchą, jak skorupka jajka.

- Jasne. Dzięki.

Elena miała na sobie XVIII-wieczną suknię z cienkiego białego muślinu, która opływała jej figurę, podkre-

ślając szczupłe kształty. Nalała herbaty, nie roniąc ani kropelki.

- Masz ochotę na mysz?

- Na co?!

- Pytam czy masz ochotę na kanapkę do herbaty?

- Aa... Kanapkę. Pewnie. Poproszę. - Cieniutkie plasterki ogórka i majonez na małych kwadracikach białego pieczywa. Bez skórki.

Ta scena była tak piękna i promienna jak obrazy Seurata.

Jesteśmy w Warm Springs, tam gdzie kiedyś organizowało się pikniki, pomyślała Bonnie. Ale przecież musimy porozmawiać o sprawach ważniejszych niż herbata.

- Kto cię teraz czesze? - spytała. Elena nigdy nie umiała sama porządnie się uczesać.

- Podoba ci się? - Elena uniosła dłoń do masy jedwabistych, bladożółtych loków, zebranych w kok opadający na kark.

- Wyglądasz świetnie – przyznała Bonnie. Nic nie mogła poradzić na to, że brzmi jak własna matka na kolacji wydanej przez Córy Amerykańskiej Rewolucji.

- Włosy są ważne, rozumiesz – stwierdziła Elena. Jej oczy błyszczały błękitem o ton ciemniejszym niż niebo, błękitem lapisu-lazuli. Bonnie odruchowo dotknęła własnych miedzianych loków.

- Oczywiście równie ważna jest krew.

- Krew? Ach... No tak, naturalnie – wybąkała Bonnie, wytracona z równowagi. Nie miała pojęcia, o co Elenie chodziło i zaczynała mieć wrażenie, że stąpa po linie nad rzeką pełną aligatorów. - Tak, racja, krew jest ważna – wydusiła.

- Jeszcze kanapkę?

- Dziękuję. - Tym razem z serem i pomidorem. Elena wybrała sobie jedną i ugryzła delikatnie. Bonnie patrzyła na

to z rosnącym uczuciem niepokoju, a potem...

A potem dostrzegła, że spomiędzy kromek białego pieczywa wycieka błoto.

- Co... Co to jest? - pisnęła przerażona. Po raz pierwszy zaczęło jej się wydawać, że ten sen przypomina sen. Nie mogła się ruszyć, siedziała tylko i wytrzeszczała oczy. Z kanapki Eleny wypłynęła gęsta brązowa maź i spadła na obrus w kratkę. Tak, to było błoto. - Elena... Elena, co...?

- Och, wszyscy tutaj tak jemy. - Elena uśmiechnęła się do niej. Zęby miała poplamione na brązowo. Ale ten głos nie należał do Eleny; był brzydki i zniekształcony. To był głos męczyzny. - Ty też tak będziesz jadła.

- Powietrze już nie było ciepłe i pachnące, zrobiło się gorąco i czuć było odór gnijących śmieci. W trawie pojawiły się czarne doły, wcale nie była wypielegnowana, ale zapuszczona i rzadka. To nie było Warm Springs. Znajdowały się na starym cmentarzu, jak mogła wcześniej nie zauważyć? Tyle że te groby wyglądały na świeże.

- Jeszcze myszkę? - spytała Elena i paskudnie zachichotała.

Bonnie spojrzała na trzymaną w ręku niedojedzoną ka-

napkę i wrzasnęła. Z jednego końca zwisał długi brunatny ogonek. Cisnęła ją w pobliski nagrobek. Kanapka upadła z mokrym plaśnięciem. Po chwili Bonnie zerwała się na nogi i zaczęła gwałtownie wycierać palce o dzinsy. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Jeszcze nie możesz iść. Zaraz będziemy miała towarzystwo. - Twarz Eleny się zmieniła. Straciła włosy, a skóra zrobiła się szara i pokryta zmarszczkami. Na talerzu z kanapkami i w świeżo wykopanych grobach coś się zaczęło poruszać. Bonnie nie chciała zobaczyć już nic więcej. Pomyślała, że zwariuje, jeśli jeszcze chwile tu zostanie.

- Ty nie jesteś Eleną! - krzyknęła i rzuciła się do ucieczki.

Wiatr smagał jej twarz, rozwiewał włosy tak, że nic nie widziała. Ten, kto ją goni, był blisko; wyczuwała go tuż za sobą. Byle do mostu, pomyślała, a potem na coś wpadła.

- Czekam na ciebie – powiedział szkielet w sukni Eleny, z długimi, krzywymi kłami. - Posłuchaj, Bonnie. - To coć

przytrzymało ją z niesamowitą siłą.

- Ty nie jesteś Eleną! Nie jesteś Eleną!

- Bonnie, posłuchaj mnie!

To był głos Eleny. Głos prawdziwej Eleny, nie nieprzyjemny, skrzeczący, ale nagłący. Dochodził znikąd, jakby gdzieś zza pleców Bonnie, i był w ty śnie jak orzeźwiający wiatr. - Bonnie, słuchaj mnie, szybko...

Wokół wszystko się rozplątało. Kościste ręce trzymające Bonnie w uścisku, pełen pełzających stworów cementarz, śmierdzące, duszne powietrze. Przez moment głos Eleny brzmiał czysto, ale coś go przerywało jak zniekształcone międzymiastowe połączenie.

- ...On różne rzeczy zmienia. Ja nie mam tyle siły co on... - Bonnie umknęło kilka następnych słów. - ...Ale to ważne. Musisz znaleźć... natychmiast. - Głos słabł.

- Elena, ja cię nie słyszę! Elena!

- ...łatwe zaklęcie, tylko dwa składniki, te, które już ci podałam...

- Elena!

Bonnie nadal krzyczała, kiedy usiadła wyprostowana jak struna we własnym łóżku.

Rozdział 2

Nie pamiętam już nic więcej – dokończyła Bonnie, kiedy razem z Meredith szły Sunflower Street między rzędami wiktoriańskich domów.

- To na pewno była Elena?

- Tak, usiłowała coś mi powiedzieć. Właśnie ta część snu była niejasna, poza tym że chodziło o coś ważnego, bardzo ważnego. Co o tym myślisz?

- Kanapki z myszami i rozkopane groby? - Meredith uniosła jedną starannie wydepilowaną brew. - Moim zdaniem Stephen King pokręcił ci się z Lewisem Carrolem.

Bonnie pomyślała, że przyjaciółka ma chyba rację. Ale ten sen nadal nie dawał jej spokoju; dręczył ją przez cały dzień tak bardzo, że wyparł z myśli wszystkie inne zmartwienia. Teraz, kiedy dochodziły już z Meredith do domu Caroline, problemy wróciły z większym natężeniem.

Powinnam była powiedzieć Meredith, pomyślała niepokojnie, zerkając z ukosa na przyjaciółkę. Nie powinnam się zgodzić, żeby weszła tam zupełnie nie przygotowana...

Meredith spojrzała w oświetlone okna domu w stylu królowej Anny i westchnęła.

- Naprawdę potrzebne są ci dziś te kol-

czyki?

- Tak, naprawdę, tak. Absolutnie. - Teraz było już za późno. Trzeba robić dobrą minę do złej gry. - Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz – dodała, słysząc we własnym głosie desperacką nutę nadziei.

Meredith przystanąła, spojrzała na Bonnie z ciekawością i zastukała do drzwi.

- Mam tylko nadzieję, że Caroline nie planuje siedzieć dziś wieczorem w domu. Jeszcze byśmy tu z nią utknęły.

- Caroline w domu w sobotni wieczór? Nie żartuj. - Bonnie za długo wstrzymywała oddech, zaczynało się jej kręcić w głowie, a śmiech zabrzmiał słabo i fałszywie. - Co za pomysł? - ciągnęła nieco histerycznie.

Meredith dodała, chwytając za gałkę w drzwiach:

- Chyba nikogo nie ma w domu.

Bonnie wiedziona jakimś impulsem zawołała:

- Tere-fere-kuku!

Meredith zamarła z ręką na kłamce i obróciła się do przyjaciółki.

- Czy ty już odleciałaś w kosmos?

- Nie. - Bonnie miała wrażenie, że uszło z niej powietrze. Złapała Meredith za ramię i spojrzała jej w oczy natarczywie. Drzwi już się otwierały. - O Boże, Meredith, nie zabij mnie za to, proszę...

- Niespodzianka! - zawołały trzy głosy.

- Uśmiech – syknęła Bonnie, wpychając opierającą się koleżankę do środka, gdzie w jasno oświetlonym pokoju obsypano je konfetti z folii aluminiowej. Sama rozpromieniła się w szerokim uśmiechu i syknęła przez zaciśnięte zęby: - Możesz mnie później zabić, zasłużyłam sobie na to. Ale na razie się uśmiechaj.

Były balony, te drogie, z folii mylar, a na stoliku do kawy leżał stosik prezentów. Stała nawet kompozycja z orchidei, chociaż Bonnie zauważyła, że kwiaty idealnie pasowały odzieniem do bladozielonej apaszki Caroline. Na jedwabnej chustce Hermes'a widniał deseń winorośli i liści. Założę się, że pod koniec wieczoru większość tych orchidei Caroline wepnie sobie we włosy, pomyślała Bonnie.

W błękitnych oczach Sue Carson krył się niepokój, uśmiechała się niepewnie.

- Mam nadzieję, że nie miałaś na dzisiejszy wieczór żadnych planów, Meredith? - spytała.

- Żadnych, których nie da się zmienić walnięciem żelaznego łomu – odparła Meredith. Ale uśmiechnęła się z przekąsem i Bonnie się odprężyła. Sue razem z Bonnie, Meredith i Caroline należała do dworu Eleny, Królowej Szkoły. Była jedyną dziewczyną ze szkoły, poza Bonnie i Meredith, która lojalnie trwała przy Elenie, gdy wszyscy zwrócili się przeciwko niej. Na pogrzebie Eleny powiedziała, że Elena na zawsze zostanie królową Liceum imienia Roberta E. Lee, i zrezygnowała ze względu na pamięć o niej z tytułu Królowej Śniegu. Nikt nie mógł nie lubić Sue. Najgorsze mamy już za sobą, pomyślała Bonnie.

- Chciałabym zrobić zdjęcie, jak wszystkie siedzimy na kanapie – powiedziała Caroline, sadzając dziewczyny za kompozycją kwiatową. - Vickie, pstryknij je, dobrze?

Vickie Bennett stała cicho z boku, niezauważona.

- Jasne – powiedziała i odzrucając nerwowym gestem wpadające w oczy długie jasnobrązowe włosy, sięgnęła po aparat.

Zupełnie jakby była kimś w rodzaju służącej, pomyślała Bonnie, a potem oślepił ją błysk flesza.

Kiedy polaroidowe zdjęcie się wywołało, a Sue i Caroline śmiechem i paplaniną próbowały pokonać

chłodną uprzejmość Meredith, Bonnie zauważyła jeszcze coś. Zdjęcie się udało: Caroline wyglądała na nim jak zwykle fantastycznie, jej kasztanowe włosy lśniły, a przed sobą miała bukiet bladozielonych orchidei. Obok niej Meredith, z miną zrezygnowaną i ironiczną, z tą swoją mroczną urodą, której nawet nie musiała podkreślać. Obok sama Bonnie, o głowę niższa od pozostałych, potarganymi rudymi lokami i ze zmieszaną miną. Ale coś dziwnego było w postaci siedzącej obok niej na kanapie. To była Sue, oczywiście, że to była Sue, ale przez chwilę wydawało jej się, że te jasne włosy i błękitne oczy nale-

żą do kogoś innego. Kogoś, kto patrzył takim wzrokiem, jakby za moment miał powiedzieć coś ważnego. Bonnie zmarszczyła brwi., przyglądając się zdjęciu, i szybko zamruwała. Obraz się rozmazał, a po plecach przebiegł jej zimny, nieprzyjemny dreszcz.

Nie, na zdjęciu była po prostu Sue. Bonnie musiało na moment coś odbić albo pozwoliła, żeby wpłynęło na nią pragnienie Caroline, żeby „znów były wszystkie razem”.

- Ja zrobię następne! - zawołała, zrywając się z miejsca.
- Siadaj, Vickie, przysuń się do dziewczyn. Nie, bliżej, bli-

żej... tak! - Kiedy błysnął flesz, Vickie drgnęła jak spłoszone zwierzę gotowe rzucić się do ucieczki.

Caroline ledwie rzuciła okiem na zdjęcie. Wstała i skierowała się w stronę kuchni.

- Wiecie, co mamy zamiast tortu? - spytała. - Zrobiłam własną wersję Czekoladowej Śmierci. Chodźcie, musicie pomóc mi przygotować sos karmelowy. - Sue poszła za nią, a po chwili wahania ruszyła z nimi Vickie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Wiem, wiem. - Bonnie na chwilę w przeproszającym geście opuściła głowę. Ale zaraz ją podniosła i uśmiechnęła się szeroko. - Inaczej nie chciałybyś przyjść i nie mogłybyśmy spróbować Czekoladowej Śmierci.

- A to sprawia, że było warto?

- No cóż, w pewnym sensie – broniła się Bonnie, starając się wyglądać jak rozsądna osoba. - Na pewno nie będzie tak źle. Caroline naprawdę stara się być miłą, a dla Vickie to dobrze, że wreszcie ruszyła się z domu...

- Wcale mi się nie wydaje, żeby dobrze jej to robiło - stwierdziła bez ogródek Meredith. - Wygląda, jakby za moment miała dostać ataku serca.

- Cóż pewnie po prostu jest nerwowa. - Zdaniem Bonnie Vickie miała wszelkie powody do zdenerwowania. Większość poprzedniego semestru spędziła jak pogrążona w transie, powoli doprowadzana do szaleństwa przez siły, których nie rozumiała. Nikt się nie spodziewał, że w ogóle z tego wyjdzie.

Meredith nadal miała ponurą minę.

- A poza tym – dodała Bonnie – to przecież nie są twoje prawdziwe urodziny.

Meredith wzięła aparat fotograficzny i zaczęła obracać go w rękach. Nadal nie podnosząc wzroku, oświadczyła:

- No i tu się mylisz.

- Co? - Bonnie wytrzeszczyła oczy. - Coś ty powiedziała?

- Powiedziałam, że są to moje prawdziwe urodziny. Mama Caroline musiała jej o tym powiedzieć, ona i moja mama kiedyś, dawno temu, były przyjaciółkami.

- Meredith, co ty wygadujesz? Twoje urodziny były w zeszłym tygodniu, trzydziestego maja.

- Nie, nieprawda. Urodziłam się szóstego czerwca. Taka data widnieje w moim prawie jazdy i innych doku-

mentach. Rodzice zaczęli obchodzić moje urodziny tydzień wcześniej, bo szósty czerwca to dla nich zbyt smutna data. To tego dnia mój dziadek został zaatakowany, a potem oszalał. - Bonnie sapnęła, niezdolna wykrztusić słowa, a Meredith spokojnie dodała: - Usiłował zabić moją babcię, wiesz. Mnie też próbował zabić. - Odłożyła aparat dokładnie na środek stolika do kawy. - Chyba powinniśmy iść do kuchni - powiedziała cicho. - Czuję zapach czekolady.

Bonnie nadal siedziała jak sparaliżowana, ale jej umysł zaczął funkcjonować. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że Meredith już o tym kiedyś wspominała, chociaż wtedy

nie przyznała się do wszystkiego. I nie powiedziała tego, kiedy dokładnie to się stało.

- Zaatakowany... Chcesz powiedzieć zaatakowany tak jak Vickie? - wykrztusiła wreszcie. Słowo „wampir” nie chciało jej przejść przez usta, ale wiedziała, że Meredith zrozumie.

- Zaatakowany tak jak Vickie – potwierdziła Meredith. - Chodź – dodała jeszcze ciszej. - One na nas czekają. Nie chciałam cie zdenerwować.

Meredith nie chciała mnie zdenerwować, więc nie będę się denerwowała, pomyślała Bonnie, polewając czekoladowe ciasto i czekoladowe lody gorącym sosem karmelowym. Chociaż jesteśmy przyjaciółkami od piątej klasy, a ona nigdy przedtem nie zwierzyła mi się z tego sekretu.

Po jej skórze przebiegł zimny dreszcz, a w głowie pojawiła się myśl: „Nikt nie jest tym, kim się wydaje”. Tak ostrzegł ją w zeszłym roku głos zmarłej Honorii Fell, która przemawiała jej ustami, a przepowiednia w przerażający sposób się spełniła. A jeśli ten koszmar jeszcze się nie skończył?

Ale potem Bonnie z determinacją pokręciła głową. Nie może myśleć o tym w tej chwili, musi myśleć o imprezie. I muszę zadbać o to, żeby impreza była udana, i żebyśmy się ze sobą dogadały, postanowiła.

Dziwne, ale to nawet nie okazało się takie trudne. Meredith i Vickie początkowo niewiele ze sobą rozmawiały, ale Bonnie wychodziła ze skóry, żeby być dla Vickie miłą, i nawet Meredith nie zdołała oprzeć się stosikowi ładnie opakowanych prezentów piętrzących się na stoliku do kawy. Kiedy otwierała ostatni, wszystkie już śmiały się i paplały. Nastrój tolerancyjny trwał, kiedy poszły na górę do sypialni

Caroline obejrzeć jej ubrania, płyty kompaktowe i albumy

ze zdjęciami. Gdy dochodziła północ, wyciągnęły się na śpiworach i nadal gadały.

- Co się dzieje z Alarikiem? - Zapytała Sue.

Alaric Saltzman był chłopakiem Meredith – w pewnym sensie. Doktorant na Uniwersytecie Duke, specjalizujący się w parapsychologii. Został wysłany w zeszłym roku do Fell's Church, kiedy zaczęły się ataki wampirów. Choć na początku był uważany za wroga, ostatecznie został ich sprzymierzeńcem, a nawet przyjacielem.

- Jest w Rosji – powiedziała Meredith. - Wiecie, pierestrojka. Pojechał tam dowiedzieć się, jak w czasie zimnej wojny korzystali z umiejętności osób o zdolnościach parapsychicznych.

- Co mu powiesz kiedy wróci? - chciała wiedzieć Caroline.

Bonnie sama miała ochotę zadać to pytanie Meredith. Ponieważ Alaric był od niej cztery lata starszy, Meredith postanowiła odłożyć rozmowę o ich przyszłości do czasu, aż skończy szkołę. Ale teraz miała już osiemnaście lat – od dzisiaj, uściśliła w myślach Bonnie – a szkołę miały skończyć za

dwa tygodnie. Co będzie potem?

- Jeszcze się nie zdecydowałam – westchnęła Meredith.

- Alaric chce, żebym studiowała na Duke i nawet się tam dostałam, ale nie jestem pewna. Muszę jeszcze pomyśleć.

Bonnie się ucieszyła. Chciała, żeby Meredith studiowała razem z nią, w Kolegium Boone, a nie wyjeżdżała, żeby wyjść za męża, czy choćby tylko się zaręczyć. To głupota tak młodo decydować się na jednego faceta. Bonnie sama słyszała z tego, że lubi skakać z kwiatka na kwiatek i co trochę zmieniać chłopaka. Łatwo się zakochiwała i zakochanie równie szybko jej przechodziło.

- Jeszcze nie spotkałam takiego, któremu warto byłoby być wierną – oświadczyła.

Wszystkie na nią zerknęły. Sue oparła brodę na dłoni i spytała:

- Nawet Stefano?

Bonnie powinna była to przewidzieć. Sypialnię oświetlało jedynie przyćmione światło lampki przy łóżku i dało się słyszeć tylko dobiegający z za okna szelest młodych listków wierzb, więc nieuniknione, że rozmowa zesza wreszcie na Stefano i Elenę.

Stefano Salvatore i Elena Gilbert stali się już w mieście czymś w rodzaju legendy, jak Romeo i Julia. Zaraz po przyjeździe Stefano do Fell's Church każda dziewczyna w mieście chciała go zdobyć. A Elena, najpiękniejsza, najpopularniejsza i najbardziej wybredna dziewczyna w szkole, też go zapragnęła. Ale dopiero gdy już go zdobyła, zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Stefano nie był tym, kim się wydawał – miał sekret o wiele mroczniejszy, niż można się było domyślać. I miał też brata, Damona, postać jeszcze bardziej tajemniczą i niebezpieczną niż on sam. Elena była rozdarta między braćmi, bo zakochała się w Stefano, ale nieodparcie przyciągała ją też dzikość Damona. W końcu zginęła, żeby ich obu uratować i odwdzińczyć się im za ich miłość.

- Stefano i owszem, o ile jest się Eleną – mruknęła Bonnie. Atmosfera się zmieniła. Zrobiło się ciszej, trochę smutno, co zachęcało do zwierzeń.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma – szepnęła Sue, kręcąc głową i przymykając oczy. - Miała o wiele więcej energii niż inni ludzie.

- Płonęła jaśniejszym płomieniem – dodała Meredith, zerkając na wzory, które cień różowo-złotej lampy rysował na suficie. Głos miała spokojny, ale dobitny i Bonnie wydawało

się, że te słowa opisują Elenę lepiej niż wszystko, co wcześniej o niej usłyszała.

- Czasami jej nie znosiłam, ale nigdy nie zdołałabym jej ignorować – przyznała Caroline, mrużąc zielone oczy do swoich wspomnień. - Nie była osobą, na którą można by nie zwracać uwagi.

- Jej śmierć nauczyła mnie jednego – stwierdziła Sue. - Mianowicie, że to mogłoby spotkać każdą z nas. I nie wolno nam marnować ani chwili, bo nigdy nie wiadomo, jak długo jeszcze będziemy żyć.

- Być może sześćdziesiąt lat albo sześćdziesiąt minut - zgodziła się cicho Vickie. - I każda z nas może umrzeć nawet dzisiaj w nocy.

Bonnie poruszyła się niespokojnie. Ale zanim zdążyła się odezwać, Sue powtórzyła:

- Mnie się nadal w głowie nie mieści, że jej nie ma. Czasem wydaje mi się, że jest gdzieś blisko.

- Och, mnie też – powiedziała Bonnie z roztargnieniem. Przez głowę przemknął jej obraz Warm Springs i wydawał się przez moment realniejszy niż słabo oświetlony pokój Caroline. - Wczoraj w nocy mi się śniła i miałam wra-

żenie, że to rzeczywiście ona i że próbuje mi coś przekazać. Wciąż o tym myślę – dodała.

Pozostałe dziewczyny przyglądały jej się w milczeniu. Kiedyś roześmiałyby się, gdyby Bonnie wspomniała o jakichś nadprzyrodzonych zjawiskach, ale teraz się nie odważyły. Paranormalne zdolności Bonnie nie podlegały dyskusji, a czasem mogły się wydawać wręcz nieco przerażające.

- Naprawdę tak ci się zdaje? - szepnęła Vickie.

- A jak sądzisz, co ci usiłowała powiedzieć? - spytała Sue.

- Nie wiem. Pod koniec snu bardzo starała się utrzymać kontakt ze mną, ale coś jej przeszkadzało.

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Sue odezwała się niepewnie:

- Myślisz że... Myślisz, że mogłabyś się z nią skontaktować?

Wszystkie były tego ciekawe. Bonnie zerknęła na Meredith, która wcześniej zbyła ten sen, ale teraz z powagą spojrzała Bonnie w oczy.

- Sama nie wiem – powiedziała Bonnie powoli. Wizje sennego koszmaru wciąż wracały. - Nie chcę wpaść

w trans i otworzyć się na to, co jeszcze może się tam gdzieś kryć, tego jednego jestem pewna.

- Czy to jedyny sposób, żeby porozumieć się z kimś, kto umarł? A tabliczka do seansów spirytystycznych czy coś w tym rodzaju? - spytała Sue.

- Moi rodzice mają taką tabliczkę – odezwała się Caroline nieco za głośno. Nagle spokój prysł, a w powietrzu pojawiło się wyczuwalne napięcie. Wszystkie wyprostowały się i zaczęły sobie przyglądać wyczekująco. Nawet Vickie wydawała się raczej zaciekawiona niż przestraszona.

- Czy to by podziałało? - Meredith zapytała Bonnie.

- Nie wiem czy powinnyśmy...- zastanawiała się głośno Sue.

- Trzeba raczej zapytać, czy się na to odważymy – uściśliła Meredith. Bonnie znów poczuła na sobie wzrok pozostałych. Jeszcze przez chwilę się wahała, a potem wzruszyła ramionami. Żołądek podszedł jej do gardła.

- Czemu nie? - wypaliła. - Co mamy do stracenia?

Caroline zwróciła się do Vickie:

- Vickie, na parterze, przy schodach jest szafa w ścianie.

Tabliczka powinna być na górnej półce, razem z różnymi gramami.

Nawet nie dodała: „Pójdiesz po nią, proszę?” Bonnie zmarszczyła brwi i chciała coś powiedzieć, ale Vickie już była za drzwiami.

- Mogłabyś być nieco bardziej uprzejma. - Bonnie zwróciła się do Caroline: - o to ma być, twoja interpretacja roli macochy Kopciuszka?

- Och, daj spokój, Bonnie – rzuciła niecierpliwie Caroline. - Ma szczęście, że w ogóle została zaproszona. I ona to wie.

- A ja myślałam, że po prostu uległa naszemu urokowi - odezwała się sucho Meredith.

- A poza tym... - Bonnie zaczęła, ale nie skończyła. Dźwięk był wysoki, piskliwy, a na koniec osłabł i urwał się, ale nie sposób było się pomylić. Ktoś krzyczał. A potem zapadła cisza, i nagle rozległy się, raz po raz, kolejne przeszywające krzyki.

Przez chwilę dziewczyny stały w sypialni jak sparaliżowane. Potem rzuciły się do holu i zbiegały po schodach.

- Vickie! - Meredith pierwsza znalazła się na dole. Vickie stała przed szafą, wyciągając przed siebie ręce, jakby

chciała nimi osłonic twarz. Chwyciła się Meredith, ale nie przestawała krzyczeć.

- Vickie, co się stało? - spytała ostro Caroline, raczej rozgniewana niż przestraszona. Na podłodze walały się pudełko z grami, pionki do Monopoly i karty do Trivial Pursuit.

- Dlaczego się drzesz?

- Coś mnie złapało! Sięgnęłam na górną półkę i coś mnie złapało za talię!

- Od tyłu?

- Nie! Ze środka szafy!

Zaskoczona Bonnie zajrzała do otwartej ściennej szafy. Wisiały tam zimowe płaszcze, tworząc szczelną zasłonę, niektóre sięgały aż do ziemi. Łagodnie wyplątawszy się z objęć Vickie, Meredith wzięła do ręki parasolkę i zaczęła dźgać płaszcze.

- Och, nie rób tego... - zaczęła Bonnie odruchowo, ale parasolka trafiła wyłącznie na opór materiału. Za jej pomocą Meredith rozsunała płaszcze, za którymi było tylko niemalowane cedrowe drewno szafy.

- Widzisz? Nikogo tam nie ma – powiedziała łagodnie.

- Ale wiesz, są tu rękawy tych płaszczy i jeśli się nachylisz

wystarczająco głęboko, może ci się wydać, że ktoś cię chwytają za talię.

Vickie podeszła o krok, dotknęła jednego rękawa, a potem spojrzała na górną półkę. Ukryła twarz w dłoniach, jedwabiste włosy opadły na jej twarz. Przez jedną okropną chwilę Bonnie wydawało się, że ona płacze, ale potem usłyszała chichot.

- O Boże! Ja naprawdę myślałam... Och, jestem taka głupia! Zaraz posprzątam! - odetchnęła z ulgą Vickie.

- Potem – zdecydowała stanowczo Meredith. - Chodźmy do salonu.

Bonnie rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę szafy.

Kiedy usiadły wokół stolika do kawy, dla nastroju przyciszając część świateł, Bonnie lekko dotknęła palcami niewielkiej plastikowej planszy. Jeszcze nigdy nie korzystała z takiej planszy do seansów spirytystycznych, ale wiedziała, jak to się robi. Plansza obracała się, wskazując poszczególne litery alfabetu, które miały się składać na wiadomość – to znaczy, o ile duchy miały ochotę na rozmowę.

- Wszystkie musimy jej dotykać wyjaśniła i patrzyła, jak pozostałe dziewczyny poszły za jej przykładem. Palce Meredith były długie i szczupłe, Sue – delikatne i zakończone paznokciami opiłowanymi na półokrągło, Caroline

miała paznokcie pomalowane na odcień miedzianego brązu, a Vickie – obgryzione.

- Teraz zamknijemy oczy się skoncentrujemy – za-

dysponowała cicho Bonnie. Dziewczyny posłuchały jej,

wzdychając ze zniecierpliwienia, bo wszystkie zaczynały odczuwać napięcie.

- Pomyślcie o Elenie. Wyobraźcie ją sobie. Jeśli gdzieś jest, to chcemy ją tu sprowadzić.

W pokoju zapadła cisza. Bonnie zobaczyła w wyobraźni jasne włosy i oczy w odcieniu lapisu-lazuli.

- Przyjdź, Eleno – szepnęła. - Porozmawiaj ze mną.

Plansza drgnęła.

Żadna z nich nie mogła jej poruszyć, bo każda naciskała w innym miejscu. A jednak mały plastikowy trójkącik przesuwiał się swobodnie. Gdy plansza się zatrzymała, Bonnie otworzyła oczy. Trójkącik planszy zatrzymał się przy słowie: „tak”.

Vickie wyrwał się cichy szloch.

Bonnie spojrzała na pozostałe dziewczyny. Caroline od-
dychała szybko i mrużyła oczy. Meredith zbladła. Tylko Sue

wciąż miała zamknięte oczy.

Wszystkie oczekiwały, że Bonnie będzie wiedziała, co robić.

- Nie dekoncentrujcie się – poleciła im Bonnie. Czuła się na to wszystko niegotowa i trochę głupio jej było tak się zwracać do kogoś w pustą przestrzeń. Ale to ona była tu ekspertką i musiała sobie poradzić.

- Czy to ty Eleno? - spytała.

Plansza zatoczyła kolo i znów się zatrzymała przy słowie: „tak”

Nagle serce Bonnie zaczęło walić tak mocno, że bała się, że zaczyna jej w tym samym rytmie drżeć palce. Plastik pod opuszkami palców zaczęła czuć inaczej, wydawał jej się niemal naelektryzowany, jakby przepływała przez niego jakaś ponadmysłowa siła. Bonnie już nie czuła się głupio. Łzy napłynęły jej do oczu i widziała, że Meredith też ma mokre oczy. Przyjaciółka skinęła do niej głową.

- Skąd mamy mieć pewność? - Spytała Caroline głośno, podejrzliwym tonem. Bonnie zdała sobie sprawę, że Caroline tego nie odczuwa, że nie odbiera tego co ona sama. Jeśli chodzi o zjawiska parapsychiczne, ciemna z niej

masa.

Plansza znów się poruszyła, teraz Bonnie dotykała liter tak szybko, że Meredith ledwie nadążała odczytywać wiadomość. Nawet bez znaków przestankowych brzmiała jasno.

„Caroline nie wydurniaj się” - odczytywała. „Masz szczęście że w ogóle chcę z tobą gadać.”

- Brzmi całkiem jak Elena – stwierdziła sucho Meredith.

- Brzmi jak ona, ale...

- Och, przymknij się, Caroline – powiedziała Bonnie.

- Eleno, tak bardzo się cieszę... - Ze wzruszenia głos uwiązł jej w gardle, na chwilę musiała przerwać.

„Bonnie nie ma na to czasu przestań się mazać i bierz się do roboty.”

No, to też było do Eleny podobne. Bonnie pociągnęła nosem i mówiła dalej:

- Śniłaś mi się wczoraj.

„Tak”.

- Tak. - Serce Bonnie jeszcze nigdy nie biło tak szybko.

- Chciałam z tobą porozmawiać, ale zrobiło się jakoś dziwnie, a potem ciągle traciłyśmy kontakt...

- Dobrze. - To była odpowiedź na jej niezadane pytanie i usłyszała ją z ulgą.

„Nasze porozumienie zakłócające przez wrogie siły złe bardzo złe rzeczy są tutaj”

- To znaczy? - Bonnie pochyliła się nad planszą. - Jakie rzeczy?

„Nie ma czasu!” Wydawało się, że plansza sama chciała dodać ten wykrzyknik. Drgała gwałtownie, litera po literze, jakby Elena z trudem hamowała zniecierpliwienie. „On teraz zajęty więc mogę mówić ale mamy mało czasu słuchaj kiedy skończymy wynoś się szybko z tego domu jesteś w niebezpieczeństwie”

- W niebezpieczeństwie? - zdziwiła się Vickie z taką miną, jakby miała za moment zerwać się z krzesła i uciec.

„Czekaj najpierw posłuchaj całe miasto jest w niebezpieczeństwie”

- Co mamy zrobić? - spytała natychmiast Meredith.

„Potrzebujecie pomocy on jest dla was za silny niewiarogodnie silny a teraz słuchaj i rób co mówię musisz rzucić zaklęcie przywołania pierwszym składnikiem są w...”

Bez żadnego ostrzeżenia plansza przestała wskazywać li-

tery i zaczęła wirować jak szalona. Wskazała stylizowany rysunek księżyca, potem słońca, a potem zatrzymała się przy słowach „Parker Brothers Inc.”

- Elena!

Plansza znów zaczęła pokazywać litery.

„Jeszcze jedna mysz jeszcze jedna mysz jeszcze jedna mysz”

- Co się dzieje?! - krzyknęła Sue, szeroko otwierając oczy.

Bonnie była wystraszona. Plansza pulsowała energią, złą energią, która jak wrząca smoła oblepiała jej palce. Ale czuła też drżącą srebrzystą niteczkę, która oznaczała, że Elena jest obecna i z tą złą energią walczy. - Nie przerywajcie! - zawołała rozpaczliwie. - Nie odrywajcie rąk od planszy!

„Mysz błoto zabiję cię” - wskazywała plansza. „Krew krew krew”. A potem... „Bonnie ratuj się uciekaj on tu jest uciekaj uciekaj ucie...”

Plansza drgnęła gwałtownie, wysuwając się spod palców Bonnie, a potem zawirowała wokół osi i przeleciała przez pokój, zupełnie jakby ktoś nią cisnął. Vickie wrzasnęła.

Meredith poderwała się na nogi.

A potem światła zgasły, dom pogrążył się w ciemności.

Vickie krzyczała, dygocząc. Bonnie miała gardło ściśnięte ze strachu.

- Vickie przestań! Posłuchaj, musimy się stąd wy dostać! - Meredith musiała ją przekrzykiwać. - Caroline, to twój dom! Złapmy się teraz za ręce, a ty nas poprowadź do wyjścia.

Caroline nie wydawała się tak wystraszona jak pozostałe dziewczyny. To zaleta osób pozbawionych wyobraźni, pomyślała Bonnie. Nie potrafią sobie wyobrazić strasznych rzeczy, które mogą je spotkać.

Poczuła się lepiej, kiedy Meredith położyła wąską, chłodną dłoń na jej ręce. Z drugiej strony Bonnie złapała za rękę Caroline.

Nic nie widziała. Do tej pory oczy powinny już jej się przyzwyczaić do ciemności, ale nie widziała konturów mebli. Przez okna wychodzące na ulicę nie wpadało żadne światło; zdawało się, że wszędzie wyłączono prąd. Caroline potknęła się o jakiś mebel i zakłęła, Bonnie wpadła na nią.

Idąca z tyłu Vickie cicho pochlipywała

- Trzymaj się – szepnęła Sue. - Trzymaj się, Vickie, da-

my radę.

Po ciemku z trudem brnęły na przód. A potem Bonnie poczuła pod stopami kafelki.

- To hol frontowy – powiedziała Caroline. - Zatrzymajcie się na chwilę, znajdę drzwi. - Wysunęła palce z uścisku Bonnie.

- Caroline! Nie puszczaj... Gdzie jesteś? Caroline, daj mi rękę! - zawołała Bonnie, szukając przed sobą po omacku jak niewidoma.

W mroku coś wielkiego i wilgotnego zamknęło jej palce w uścisku. To była ręka, tyle że nie Caroline.

Bonnie wrzasnęła.

Vickie natychmiast jej zawtórowała, krzyczała histerycznie. Gorąca, spocona ręka ciągnęła Bonnie. Dziewczyna kopiała, wyrywała się, ale to nic nie dało. A potem poczuła na talii dłonie Meredith, która ciągnęła ją w swoją stronę. Wielka ręka ją puściła.

Bonnie zawróciła i biegła, po prostu biegła, tylko na wpół świadoma, że Meredith jest obok niej. Nie zdawała sobie sprawy, że nadal krzyczy, póki się nie potknęła o fotel i zatrzymała. Wtedy usłyszała swój krzyk.

- Cii! Bonnie, cicho, uspokój się! - Meredith potrząsała

nią. Osunęły się na podłogę.

- Coś mnie złapało! Meredith, coś mnie złapało!

- Wiem! Cicho bądź! Jeszcze tu jest – szepnęła Meredith.

Bonnie ukryła twarz na ramieniu przyjaciółki, żeby znów nie krzyknąć. No bo jeśli to coś jest z nimi w tym pokoju?

Sekundy wlokły się, w pokoju panowała cisza. Bonnie wyteńczyła słuch, ale nie docierał do niej żaden dźwięk poza jej oddechem i głuchym biciem własnego serca.

- Słuchaj! Musimy dojść do kuchennych drzwi. Teraz na pewno jesteśmy w salonie. To znaczy, że kuchnia jest za

nami. Musimy się do niej dostać – powiedziała Meredith przyciszonym głosem.

Bonnie z nieszczęśliwą miną pokiwała głową, a potem zaczęła się rozglądać.

- Gdzie Vickie? - szepnęła ochryple.

- Nie wiem. Musiałam puścić jej rękę, żeby cię odciągnąć od tego czegoś. Chodź, idziemy.

Bonnie się nie ruszyła.

- Ale dlaczego ona nie krzyczy?

Meredith zadygotała.

- Nie wiem.

- O Boże. O Boże. Meredith, nie możemy jej tutaj zostawić.

- Musimy.

- Meredith, nie wolno nam. To ja powiedziałam Caroline, żeby ją zaprosiła. Nie znalazłaby się tutaj, gdyby nie ja. Musimy ją stąd zabrać

Po chwili milczenia Meredith syknęła:

- No dobra! Ale naprawdę dziwną porę sobie wybrałaś na szlachetne gesty, Bonnie.

Jakieś drzwi trzasnęły i dziewczyny drgnęły. Potem rozległ się łomot. Jakby ktoś wbiegał po schodach, pomyślała Bonnie. A potem rozległ się krzyk.

- Vickie, gdzie jesteś?! Nie... Vickie, nie! Nie!

- To Sue! - zawołała Bonnie. - Na górze!

- Dlaczego my nie mamy latarki? - wściekała się

Meredith.

Bonnie zrozumiała, o co jej chodzi. Nie mogły poruszać się w ciemnościach, za bardzo się bały. Ogarnęła ją atawistyczna panika. Potrzebowała światła, jakiegokolwiek światła.

Nie była w stanie po raz kolejny ruszyć przez tę ciemność,

wystawiona na atak ze wszystkich stron. Po prostu nie mogła.

Mimo to udało jej się odejść o jeden niepewny krok od fotela.

- Chodź – szepnęła i Meredith ruszyła za nią w ciemność.

Bonnie była pewna, że wilgotna, gorąca ręka znów ją złapie. Każdy centymetr skóry swędział ją, jakby spodziewała się tego dotyku, a już zwłaszcza ręka, którą wyciągnęła przed siebie, szukając drogi.

A potem zrobiła błąd, bo zaczęła wspominać tamten sen.

Natychmiast poczuła słodkawy, mdlący odór rozkładających się zwłok. Wyobraziła sobie wypełzające zewsząd robactwo i wspominała szarą twarz Eleny, z wargami odsłaniającymi wyszczerzone w uśmiechu zęby i głowę pozbawioną włosów. Jeśli to coś złapie ją za rękę...

Nie pójdę dalej, nie mogę, po prostu nie mogę, pomyślała. Bardzo mi żal Vickie, ale nie mogę. Proszę, pozwólcie mi tu się zatrzymać.

Kurczowo trzymała się Meredith i prawie płakała. A potem z góry dobiegł odgłos tak przerażający, jakiego jeszcze

nigdy w życiu nie słyszała.

Właściwie to była cała seria odgłosów, ale rozlegały się w tak niewielkich odstępach czasu, że zlewały się w jeden, straszliwy hałas. Najpierw były to krzyki Sue, która wrzeszczała:

- Vickie! Vickie! Nie! - A potem łomot, którego echo niosło się po całym domu, dźwięk tłukącego się szkła, zupełnie jakby ktoś naraz wybił setkę okien. A ponad tym wszystkim krzyk, w którym brzmiała panika.

Nagle zapadła cisza.

- Co to było?! Meredith, co tam się stało?

- Coś złego. - Głos Meredith był zduszony i pełen niechęci. - Coś bardzo złego. Bonnie, puść mnie. Idę zobaczyć.

- Nie sama, sama nie pójdziesz – sprzeciwiła się Bonnie stanowczo.

Dotarły do schodów. Kiedy znalazły się na podeście, Bonnie usłyszała trzask, jakby sypiących się na ziemię odłamków szkła, od którego zrobiło jej się niedobrze.

A potem zapaliły się światła.

Gdy zrobiło się jasno, było jeszcze gorzej. Meredith szła w stronę ostatnich drzwi na korytarzu, zza których dobiegał

hałas. Bonnie ruszyła za nią, ale nagle wyraźnie poczuła, że nie chce zaglądać do tego pokoju.

Meredith otworzyła drzwi. Na sekundę zamarła, stojąc w nich, a potem szybko weszła do środka. Bonnie stanęła w drzwiach.

- O mój Boże, nie wchodź tutaj!

Bonnie nawet się nie zawahała. Weszła do środka i stanęła jak wryta. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby jedna ściana domu zniknęła. Wysokie okna i przeszklone drzwi wychodzące z głównej sypialni na balkon wyglądały, jakby coś je od strony pokoju zburzyło, drewno było połamane, szkło potłuczone. Z resztek okiennych ram niebezpiecznie zwisały odłamki szyb. Odpadały od nich z brzękiem.

Cienkie białe firanki wydymały się przy ziejących otworze w ścianie domu. Tuż przed nimi Bonnie widziała Vickie, która stała z rękoma opuszczonym wzdłuż boków, tak nieruchoma jak blok kamienia.

- Vickie, nic ci nie jest? - Bonnie widząc, że ona żyje, odczuła ulgę tak wielką, że aż bolesną. - Vickie?

Vickie nie obróciła się, nie zareagowała. Bonnie ostrożnie obeszła ją, zajrzała jej w oczy. Dziewczyna patrzyła przed siebie, źrenice miała tak zwężone, że przypominały łepki

szpilek. Chwytała powietrze krótkimi, płytkimi haustami, jej klatka piersiowa unosiła się gwałtownie.

- Jestem następna. Powiedział, że jestem następna. - szeptała raz po raz, ale chyba nie zwracała się do Bonnie. Wydawało się, że w ogóle nie zwraca uwagi na Bonnie.

Bonnie zadrżała i odsunęła się od niej. Meredith stała na balkonie. Obróciła się, kiedy Bonnie sięgnęła w stronę firanek i spróbowała zastąpić jej drogę.

- Nie patrz. Nie patrz w dół – powiedziała.

Gdzie w dół?! Nagle Bonnie zrozumiała. Przepchnęła się obok Meredith, która złapała ją za ramię, zatrzymując tuż na krawędzi. Od wysokości mogło zakręcić się w głowie. Bariierka balkonu została zniszczona tak jak okna, i Bonnie nic nie zasłaniało widoku na oświetlony ogród w dole. Na ziemi leżała figurka przypominająca połamaną lalkę, z rozrzuconymi rękoma i nogami, z szyją skrzywioną pod jakimś dziwnym kątem, z jasnymi włosami, które rozsypały się jak wachlarz na ciemnej ziemi. To była Sue Carson.

W zamieszaniu, które powstało później, Bonnie nie opuszczały dwie myśli. Po pierwsze, Caroline już nigdy nie doczeka się wymarzonej czwórki przyjaciółek. A po drugie,

że to nie w porządku, żeby coś takie zdarzyło się w urodziny Meredith. To zwyczajnie nie w porządku.

- Przepraszam cię, Meredith. Moim zdaniem ona teraz nie ma na to siły.

Bonnie usłyszała głos swojego ojca od strony drzwi frontowych, w chwili gdy apatycznie mieszała słodzik w filiżance naparu z rumianku. Od razu odłożyła łyżeczkę. Nie miała siły, by chociaż jeszcze minutę siedzieć w tej kuchni. Potrzebowała się stąd wydostać.

- Zaraz idę, tato!

Meredith wyglądała prawie tak samo fatalnie jak poprzedniego wieczoru. Na jej twarzy widać było nerwowe napięcie, a oczy miała podkrążone. Usta zacisnęła w wąską kreskę.

- Pojeździmy tylko przez chwilę – zwróciła się Bonnie do ojca. - Może kogoś odwiedzimy. Przecież to ty mówiłeś, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, prawda?

Co miał na to odpowiedzieć? Pan McCullough spojrział na drobniutką córkę, która wysuwała brodę do przodu, w sposób, który świadczył o uporze, odziedziczonym po nim samym, i wytrzymała jego wzrok. Uniósł ręce w geście

bezradności.

- Dochodzi czwarta. Wróć do domu przed zmrokiem
- poprosił tylko.

- Oni sami nie wiedzą, czego chcą – powiedziała Bonnie do Meredith, kiedy szły do samochodu. A kiedy już wsiadły, obie natychmiast zablokowały drzwi.

Wycofując samochód z podjazdu, Meredith rzuciła Bonnie ponure spojrzenie.

- Twoi rodzice też ci nie uwierzyli.
- Och, uwierzyli we wszystko, co im powiedziałam... pomijając to, co było istotne. Jak oni mogą być tak głupi?

Meredith parsknęła śmiechem.

- Musisz na to spojrzeć z ich punktu widzenia. Znajdują zwłoki, na których nie ma żadnych śladów przemocy, jedynie obrażenia spowodowane upadkiem. Wyłącznie światła tłumaczą awaria w Virginia Electric. Znajdują nas, rozhisteryzowane i udzielające na ich pytania odpowiedzi, które musiały się im wydać mocno dziwne. Kto to zrobił? Jakiś potwór o spoconych łapach. A skąd to wiemy? Bo powiedziała nam o tym nasz zmarła przyjaciółka Elena za pomocą planszy do wywoływania duchów. Czy można się dziwić, że mają wątpliwości?

- Jakby nigdy wcześniej nie widzieli czegoś takiego...

- Bonnie, dłonią zaciśniętą w pięść uderzała w drzwi samochodu. - Ale widzieli. Czy oni sobie wyobrażają, że

wymyśliłyśmy te psy, które zeszłej zimy zaatakowały w czasie Balu Królowej Śniegu? Czy im się wydaje, że Elenę zabił wymysł czyjejś fantazji?

- Zapominają – powiedziała miękko Meredith. - Sama to przewidziałaś. Życie wróciło do normy i wszyscy w Fell's Church czują się dzięki temu bezpieczniej. Wszystkim się wydaje, że obudzili się za złego snu i ostatnia rzecz, na jaką mają ochotę, to znów się w nim znaleźć.

- A więc łatwiej jest wierzyć, że grupka nastolatek nakręciła się przy planszy do wywoływania duchów i kiedy światła pogasły, wpadły w panikę i rzuciły się do ucieczki. A jedna z nich tak się wystraszyła i zgłupiała, że aż wyskoczyła przez okno.

Zapadła cisza, po chwili Meredith westchnęła:

- Szkoda, że Alarica tu nie ma.

Bonnie normalnie szturchnęłaby ją po takim stwierdzeniu w bok i powiedziała seksownym tonem: „ Też żałuję.”. Alaric był jednym z najprzystojniejszych facetów , jakich

kiedykolwiek poznała. Nawet jeśli był stary – miał już dwadzieścia dwa lata. Teraz jednak tylko ścisnęła Meredith za ramię współczującym gestem

- Nie możesz jakoś się z nim skontaktować?

- W Rosji? Ja nawet nie wiem, w którym, miejscu on w tej Rosji jest.

Bonnie zagryzła wargi. Fakt, Rosja nie jest mała.

Jechały wzdłuż Lee Street. Gdy dojeżdżały do szkoły, na parkingu dostrzegły tłum ludzi.

Wymieniły spojrzenia, a Meredith pokiwała głową.

- Właściwie czemu nie – powiedziała. - Zobaczymy, czy mają więcej rozumu niż ich rodzice.

Bonnie zobaczyła wystraszone twarze zwracające się w ich stronę, kiedy powoli wjeżdżały na parking. Gdy wy-

siadły z samochodu, ludzie się rozstąpili, robiąc im przejście aż po sam środek zbiegowiska.

Stała tam Caroline, gestykulując i potrząsając kasztanowymi lokami.

- Nie będziemy mogli spać w tym domu, dopóki wszystkiego nie naprawią. Tata powiedział, że wynajmie

mieszkanie w Heron, dopóki nie będzie po wszystkim.

- A czy to zrobi jakąś różnicę? Jestem pewna, że on może cię odszukać w Heron – rzuciła Meredith.

Caroline obróciła się, ale unikała wzroku Meredith.

- Kto? - spytała wymijająco.

- Och, Caroline, tylko nie ty! - wybuchła Bonnie.

- Ja po prostu chcę się stąd wyrwać – stwierdziła Caroline. Uniosła oczy i przez chwilę Bonnie widziała, jak bardzo jest przestraszona. - Dłużej nie mogę. - I jakby chcąc od razu dowieść swoich słów, zaczęła przepychać się przez tłum.

- Pozwól jej odejść, Bonnie – powiedziała Meredith.

- To na nic.

- Ona jest nam na nic – rzuciła Bonnie z wściekłością. Jeżeli Caroline, która przecież wiedziała, zachowywała się w ten sposób, to jak zareaguje reszta ludzi?

Odpowiedź na swoje pytanie dostrzegła w otaczających ją twarzach. Wszyscy mieli przestraszone miny, tak przestraszone, jakby razem z Meredith rozsiewały zarazki jakiejś zakaźnej choroby. Jakby to ona i Meredith stanowiły problem.

- W głowie mi się nie mieści – mruknęła Bonnie.

- Mnie też się nie mieści – odezwała się Deanna

Kennedy, przyjaciółka Sue. Stała z przodu grupy i nie była tak zmieszana jak pozostali. - Wczoraj po południu rozmawiałam z Sue, była taka podekscytowana, taka szczęśliwa. To niemożliwe, że nie żyje. - Deanna się rozplakała. Jej chłopak

objął ją ramieniem, a kilka dziewczyn też zaczęło pociągać nosem. Faceci przestępowali z nogi na nogę, miny mieli niewyraźne.

Bonnie poczuła nadzieję.

- Na Sue się nie skończy – stwierdziła. - Elena powiedziała nam, że całe miasto jest zagrożone. Mówiła...

- Wbrew własnej woli Bonnie poczuła, że głos jej słabnie. Widziała to w ich oczach, zaczęli patrzeć szklanym wzrokiem, kiedy tylko wymieniła imię Eleny. Meredith miała rację, ich koledzy jak reszta mieszkańców Fell's Church to, co zdarzyło się zeszłej zimy, zepchnęli w niepamięć. Już w nic nie wierzyli.

- Co się z wami dzieje? - zapytała bezradnie. Miała ochotę w coś uderzyć. - Przecież chyba nie myślicie, że Sue sama rzuciła się z balkonu!

- Ludzie mówią... - chłopak Deanny zaczął bezradnie, a potem urwał i obronnym ruchem wzruszył ramionami. -

No cóż... Sama mówiłaś policji, że w pokoju była Vickie Bennet, prawda? I że zaledwie chwilę wcześniej słyszałaś, jak Sue wołała: „Nie, Vickie, nie!”?

Bonnie jakby ktoś uderzył w brzuch.

- Wy myślicie, że Vickie... O Boże, wyście chyba powariowali! Posłuchajcie! Coś mnie w tamtym domu złapało za rękę i to nie była Vickie. I Vickie nie miała nic wspólnego z wypchnięciem Sue za okno.

- Po pierwsze, raczej nie jest dość silna – zwróciła im uwagę Meredith. - Waży czterdzieści dwa kilo i to w ciuchach nasiąkniętych wodą.

Ktoś z tyłu mruknął coś o tym, że szaleńcy bywają obdarzeni nadnaturalną siłą fizyczną.

- Vickie była chora psychicznie...

- Elena nam powiedziała, że to jakiś facet! - Bonnie prawie krzyknęła, przegrywając w toczonej z samą sobą wal-

ce o zachowanie spokoju. Twarze obracające się w jej stronę były zacięte, niechętne. A potem zobaczyła kogoś, dzięki komu ucisk w klatce piersiowej się zmniejszył. - Matt! Powiedz im, że nam wierzysz.

Matt Honeycutt trzymał ręce w kieszeniach, głowę miał

spuszczoną.

- Wierzę wam, o ile ma to jakieś znaczenie – powiedział. - Ale czy to coś zmienia? I tak wyjdzie na jedno.

Bonnie oniemiała, co jej się raczej zdarzało nieczęsto. Matt był, owszem, przygnębiony od śmierci Eleny, no ale coś takiego...

- A więc jednak on nam wierzy – wyrzuciła z siebie szybko Meredith. - Co mamy zrobić, żeby przekonać także was?

- Może sprowadzić z zaświatów Elenę – odezwał się głos, na dźwięk którego Bonnie natychmiast się zgotowała. Tyler. Tyler Smallwood. Szcherzył się jak jakaś małpa w oscentacyjnie drogim swetrze Perry Ilis, pokazując cały garnitur białych zdrowych zębów.

- To jeszcze nie taki odjazd jak e-mail od zmarłej Królowej Szkoły, ale na początek wystarczy – dodał Tyler.

Matt zawsze twierdził, że Tyler, śmiejąc się w ten sposób, sam prosił się o fangę w nos. Ale Matt, jedyny w tym tłumie facet, który dorównywał siłą fizyczną Tylerowi, wbił teraz obojętny wzrok w ziemię.

- Przymknij się, Tyler! Nie masz pojęcia, co zaszło w domu Caroline – syknęła Bonnie.

- Wychodzi na to, że wy też nie macie. Bo gdybyście się nie chowały w salonie, tobyście zobaczyły, co się tam działo. A wtedy może ktoś by wam uwierzył.

Odpowiedź zamarła Bonnie na ustach. Wytrzeszczyła na Tylera oczy, a potem zamknęła usta, które już otwierała,

by mu odpowiedzieć. Tyler czekał. A kiedy się nie odezwała, znów wrednie się uśmiechnął.

- Ja bym stawiał na to, że Vickie to zrobiła – powiedział, puszczając oko do Dicka Cartera, byłego chłopaka Vickie. - To silna laska, nie, Dick? Ona mogła to zrobić.

- Odwrócił się i dorzucił: - A może Salvatore wrócił do miasta.

- Ty bydlaku! - Bonnie nie wytrzymała. Meredith jej zawtórowała, wytrącona z równowagi. Bo oczywiście na dźwięk nazwiska Stefano rozpętało się pandemonium, co Tyler na pewno przewidział. Ludzie zaczęli wykrzykiwać coś z przestachem, zdumieniem albo ożywieniem. Podekscytowane były przede wszystkim dziewczyny.

To zakończyło spotkanie. Ludzie już przedtem dyskretnie się wycofywali, a teraz szybko odchodzili.

Bonnie patrzyła w ślad za nimi.

- Załóżmy, że by ci uwierzyli. Co mieliby zrobić? - zapytał Matt. Nie zauważyła, że stanął obok niej.

- Nie wiem. Może coś oprócz czekania, aż zostaną więci na muszkę. - Spróbowała pochwycić jego wzrok. - Matt nic ci nie jest?

- Nie wiem. A tobie?

Bonnie się zamyśliła.

- Nic. To znaczy jestem trochę zaskoczona, że tak dobrze sobie z tym wszystkim radzę, bo kiedy umarła Elena, byłam strasznie rozbita. Zupełnie. No ale z drugiej strony nie przyjaźniłam się z Sue aż tak blisko, a poza tym... No sama nie wiem! - Znów ogarnęła ją ochota, żeby w coś uderzyć. - Po prostu tego już za wiele!

- Jesteś wściekała.

- Tak, jestem wściekła. - Bonnie nagle zrozumiała, jakie uczucie towarzyszyło jej przez cały dzień. - Zabicie Sue to nie jest zwykła niesprawiedliwość, to podłość. To samo

zło. I komuś, kto to zrobił, nie ujdzie to na sucho. To by było... Jeśli świat jest miejscem, gdzie coś takiego może się zdarzyć i ujść komuś bezkarnie... - Nie umiała dokończyć tego zdania.

- To wtedy co? Nie chcesz już na tym świecie żyć?

A jeśli świat faktycznie taki jest?

W oczach miał pustkę i gorycz. Bonnie była wstrząśnięta. Ale odparła stanowczo:

- Ja nie pozwolę, żeby świat tak wyglądał. I ty też na to nie pozwolisz.

Popatrzył na nią, jakby była dzieckiem, które upiera się, że Święty Mikołaj istnieje.

- Jeśli oczekujemy, że inni potraktują nas poważnie, to same też siebie poważnie traktujemy. Elena naprawdę skontaktowała się z nami. Chciała, żebyśmy coś zrobiły. Jeśli naprawdę w to wierzymy, to lepiej zastanówmy się, co powinniśmy zrobić. - Meredith była zdecydowana działać.

Twarz Matta drgnęła, kiedy padło imię Eleny. Biedaku, nadal kochasz się w niej, pomyślała Bonnie. Ciekawe, czy istnieje coś, co pomogłoby ci o niej kiedyś zapomnieć? Na głos zapytała:

- Pomożesz nam, Matt?

- Pomogę – odparł cicho. - Ale nadal nie wiem, co planujesz.

- Chcę powstrzymać tego palanta, zanim kogoś jeszcze zabije – powiedziała Bonnie. Sama też dopiero teraz zrozu-

miała, co tak naprawdę zamierza.

- Sama? Bo jesteś sama, wiesz?

- My jesteśmy same – poprawiła go Meredith. - Ale właśnie to usiłowała nam powiedzieć Elena. Mówiła, że musimy rzucić zakłęcie przywołania, żeby sprowadzić pomoc.

- Łatwe zakłęcie, tylko z dwoma składnikami. - Bonnie przypomniła sobie sen. Ożywiła się. -I mówiła, że już mi wskazała oba składniki. Ale nie zrobiła tego...

- Wczoraj wieczorem mówiła, że jakaś obca siła zakłóca i zniekształca przekaz od niej – powiedziała Meredith.

- Moim zdaniem przypominało to sytuację z twojego snu. Uważasz, że tak naprawdę piłaś herbatę z Eleną?

- Tak. - Bonnie nie miała wątpliwości. - To znaczy ja wiem, że to nie była żadna herbatka w Warm Springs, ale moim zdaniem Elena przesyłała taki obraz do mojego mózgu. W pewnym momencie coś przejęło kontrolę nad przekazem. Ale Elena stawiała opór i na chwilę, pod koniec, się przedarła.

- To znaczy, że musimy skupić się na początku tego snu, kiedy jeszcze to Elena się z tobą kontaktowała. Ale je-

śli to, co mówiła, już zostało zmienione przez wrogą siłę, to może jej słowa brzmiały dziwnie. Może nie chodzi o to, co mówiła, tylko o to, co robiła...

Bonnie uniosła rękę i dotknęła swoich loków.

- Włosy! - zawołała.

- Co?

- Włosy! Pytałam ją, kto ją teraz czesze, a potem rozmawiałyśmy o tym i ona stwierdziła: „Włosy są bardzo ważne”. I, Meredith... Kiedy wczoraj wieczorem próbowała powiedzieć nam, jakie to składniki, pierwsza litera jednego z nich to było W!

- No właśnie!- Oczy Meredith rozblęły. - Teraz musimy tylko odszyfrować ten drugi.

- Ale ja to wiem! - Bonnie roześmiała się z entuzjazmem. - Powiedziała mi o tym zaraz po włosach, a mnie się wydawało, że ona po prostu dziwaczy. Powiedziała: „Krew też jest ważna”.

Meredith zrozumiała.

- A wczoraj w nocy plansza wskazywała: „Krew krew krew”. Myślałam, że to ten ktoś, kto nam grozi, ale myliłam się – powiedziała. - Bonnie, naprawdę uważasz, że to o to

chodzi? Czy to te składniki, czy mamy teraz zacząć martwić się błotem, kanapkami, myszą i herbatą?

- To nasz składniki – stwierdziła Bonnie kategorycznie. - Takie składniki są sensowne, jeśli chce się rzucić zaklęcie przywołania. Jestem pewna, że w jednej z moich książek o magii Celtów znajdę jakiś pasujący do nich rytuał. Musimy tylko dowiedzieć się, kogo mamy przywołać...

- Coś ją zastanowiło i skonsternowana urwała.

- Sam się zastanawiałem, kiedy to zauważycie – wtrącił Matt, odzywając się po raz pierwszy od dość długiej chwili.

- Nie wicie, kogo macie przywołać, prawda?

Rozdział 4

Meredith ironicznie zerknęła na Matta.

- Hm, twoim zdaniem, do kogo Elena zwróciłaby się w kłopotach?

Bonnie przestała się uśmiechać, bo poczuła się winna, widząc minę Matta. Nie wypadało dokuczać mu w tej sprawie.

- Elena powiedziała, że zabójca jest od nas silniejszy i że właśnie dlatego potrzebujemy pomocy – tłumaczyła kole-dze. - A ja znam tylko jedną osobę, którą znała Elena, a która mogłaby walczyć z takim psychopatycznym mordercą.

Chłopak powoli pokiwał głową. Bonnie nie wiedziała, co myślał. Kiedyś on i Stefano byli najlepszymi przyjaciółmi, nawet po tym jak Elena wybrała Stefano. Ale to była, za-nim Matt dowiedział się, kim naprawdę jest Stefano i do jakiej przemocy jest zdolny. W gniewie i rozpacz po śmierci Eleny Stefano o mały włos nie zabił Tylera Smallwooda i pięciu innych facetów. Czy Matt mógł o tym zapomnieć? Czy zdołałby się uporać z sytuacją, kiedy Stefano wróci do Fell's Church?

Twarz Matta nie zdradzała teraz niczego, a Meredith

znów coś mówiła.

- No więc musimy tylko upuścić trochę krwi i ściąć trochę włosów. Nie pożałujesz kosmyka czy dwóch, prawda, Bonnie?

Bonnie tak się zamyśliła, że te słowa ledwie do niej dotarły. A potem pokręciła głową.

- Nie, nie, nie. Nam potrzebne są nie nasza krew i nie nasze włosy. Potrzebujemy ich od osoby, którą chcemy przywołać.

- Co? Przecież to śmieszne. Gdybyśmy mieli do dyspozycji krew i włosy Stefano, to wcale nie musielibyśmy go przywoływać, prawda?

- Nie pomyślałam o tym – przyznała Bonnie. - Zwykle przy takim zaklęciu przywołania składniki gromadzi się przedtem i wykorzystuje, kiedy chce się, żeby ta osoba wróciła. Co my teraz zrobimy, Meredith? To jest niewykonalne.

Meredith zmarszczyła brwi.

- Dlaczego Elena miałaby prosić o coś niemożliwego?

- Elena domagała się wielu niemożliwych rzeczy – powiedziała Bonnie ponuro. - Nie patrz tak, Matt, wiesz, co robiła. Nie była święta.

- Być może, ale akurat to nie jest niemożliwe – stwierdził Matt. - Przychodzi mi na myśl jedno miejsce, gdzie

musi się znajdować krew Stefano, a jeśli się nam poszczęści, to i jakiś włos też się znajdzie. W krypcie.

Bonnie wzdrygnęła się, ale Meredith skinęła głową.

- Oczywiście – przyznała. - Kiedy Stefano tam siedział związany, krwawił. A podczas walki mógł też stracić trochę włosów. Jeśli tylko wszystko tam na dole pozostało nienaruszone...

- Moim zdaniem nikt tam nie chodził od czasu, kiedy zginęła Elena. - powiedział Matt. - Policja obejrzała miejsce i zostawiła, jak było. Ale tylko w ten jeden sposób możemy się o tym przekonać.

Myliłam się, pomyślała Bonnie. Zastanawiałam się, jak Matt przyjmie powrót Stefano, a tymczasem on stara się zrobić, co tylko może, żeby nam pomóc go to sprowadzić.

- Matt, chętnie bym cię ucałowała! - wykrzyknęła.

Na sekundę w oczach Matta zabłysło coś, czego nie potrafiła określić. Zdziwienie, to na pewno, ale poza tym coś jeszcze. I nagle Bonnie zastanowiła się, jakby to było, gdyby go faktycznie pocałowała.

- Wszystkie dziewczyny mi to mówią – odparł kpią-

co, wzruszając ramionami. Po raz pierwszy tego dnia zażartował.

Meredith jednak zachowała powagę.

- Chodźmy. Mamy mnóstwo do zrobienia, a ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to utknąć w tej krypcie po zmierzchu.

Krypta znajdowała się pod ruinami kościoła, który stał na cmentarnym wzgórzu. Jest dopiero wczesne popołudnie, jeszcze długo będzie jasno, powtarzała sobie Bonnie, kiedy pięli się na wzgórze, ale i tak dostała na ramionach gęsiej skórki. Nowy cmentarz, po jednej stronie wzgórza, był mało przyjemny, ale ten stary, leżący po drugiej stronie, robił po prostu straszne wrażenie nawet w świetle dziennym.

Było tam bardzo wiele rozsypujących się nagrobków, pochylonych ze starości w przerośniętej trawie, wystawionych młodym żołnierzom, którzy zginęli w wojnie secesyjnej. Nie trzeba mieć zdolności parapsychicznych, żeby odczuć ich obecność.

- Niespokojne duchy – sapnęła.

- Hm? - mruknęła Meredith, przełaząc przez stertę

gruzu, który był kiedyś ścianą kościoła. - Popatrz, wieko nagrobka nadal jest odsunięte. To dobrze, nie wiem, czy udałoby się nam je odsunąć.

Bonnie ze smutkiem spojrzała na rzeźbione w białym marmurze postacie. Honoria Fell leżała obok męża, z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, a jej twarz wyglądała tak samo łagodnie i smutno jak zawsze. Bonnie wiedziała jednak, że już nie mogą liczyć na jej wsparcie. Honoria nie miała już żadnych obowiązków wobec miasta, które założyła i które tak długo chroniła.

Ciężar tych obowiązków musiała dźwigać Elena, pomyślała ponuro Bonnie, zerkając w głąb prostokątnego otworu, który prowadził do krypty. Żelazne szczeble drabiny znikwały w ciemności.

Nawet oświetlając wejście latarką Matta, niełatwo było zejść do krypty. Było w niej ciemno i cicho, ściany wyłożone zostały wypolerowanym kamieniem. Bonnie próbowała opanować drzenie.

- Popatrz – szepnęła Meredith.

Matt skierował światło latarki na żelazną bramę, która oddzielała przedsionek krypty od głównego pomieszczenia. Na kamiennej posadzce w kilku miejscach widoczne były ślady zaschniętej krwi. Na ich widok Bonnie zrobiło

się słabo.

- Wiemy, że Damon oberwał najbardziej – powiedziała Meredith, ruszając do środka. Jej głos brzmiał spokojnie, ale

Bonnie słyszała, z jakim trudem przyjaciółka nad nim panuje. - Musiał więc leżeć po tej stronie, gdzie śladów krwi jest najwięcej. Stefano mówił, że Elena była pośrodku. A to znaczy, że Stefano znajdował się... tutaj. - Pochyliła się.

- Ja się tym zajmę – rzucił Matt szorstko. - Ty potrzy-
maj latarkę. - Plastikowym piknikowym nożem zabranym z samochodu Meredith zaczął skrobać pokryty warstwą krwi kamień. Bonnie z trudem przełknęła ślinę, zadowolona, że w czasie lunchu tylko wypła herbatę. Krew nie przeszkadzała jej jako pojęcie abstrakcyjne, ale kiedy człowiek widział jej tak dużo – i zwłaszcza kiedy była to krew przyjaciela, którego torturowano...

Bonnie odwróciła się, spoglądając na kamienne ściany i myśląc o Katherine. I Stefano, i jego starszy brat Damon w XV-wiecznej Florencji kochali się w Katherine. Ale nie wiedzieli wtedy, że dziewczyna, którą kochają, nie jest człowiekiem. W swoim rodzinnym niemieckim miasteczku została przemieniona w wampira, dzięki czemu nie umarła na

chorobę, na którą nie było lekarstwa. Katherine z kolei przemieniła w wampirów obu braci.

A potem, pomyślała Bonnie, upozorowała własną śmierć, żeby zmusić Stefano i Damona do zaprzestania walki o nią. Ale plan się nie powiódł. Znienawidzili się nawzajem jeszcze bardziej, a ona znienawidziła ich. Wróciła do wampira, który ją przemienił i z czasem stała się równie zła jak on. Aż w końcu zapragnęła zniszczyć braci, których kiedyś kochała. Zwabiła ich obu do Fell's Church, żeby ich zabić, i w tej krypcie prawie jej się to udało. Elena zginęła, próbując ją powstrzymać.

- No już – powiedział Matt, a Bonnie zamrugła i wróciła do rzeczywistości. Matt stał trzymając w ręku papierową serwetkę, w którą zawinął płatki zeschniętej krwi Stefano. - Teraz włosy – przypomniał.

Wodzili palcami po posadzce, dotykając różnych rzeczy, nad których pochodzeniem Bonnie wolała się nie zastanawiać. Wśród śmieci znalazły się długie złote włosy. Włosy Eleny, a może Katherine, pomyślała Bonnie. One były do siebie takie podobne. Znaleźli też krótsze włosy, ciemne i lekko kręcone. Włosy Stefano.

Wybranie włosów ze śmieci na podłodze było żmudnym zajęciem. Kiedy mieli już włosy Stefano starannie zawinięte w drugą serwetkę, światło wpadające przez prostokątny otwór w sklepieniu przybrało odcień ciemnego błękitu. Ale Meredith uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Mamy co trzeba – stwierdziła. - Tyler chce, żeby Stefano wrócił? No to sprawimy, że wróci...

Bonnie pogrążona we własnych myślach zamarła.

Rozmyślała o zupełnie innych sprawach, niemających nic wspólnego z Tylerem, ale kiedy padło jego imię, jakieś trybiki w jej głowie zaskoczyły. Zdała sobie sprawę z tego czegoś jeszcze na parkingu, ale potem w ferworze dyskusji zapomniała. Słowa Meredith znów to przywołały i znów jej się rozjaśniło w głowie. Skąd on wiedział? - zastanawiała się z walącym sercem.

- Bonnie? Co się stało?

- Meredith... - zaczęła cicho. - Czy ty informowałeś policję, że kiedy to wszystko działo się z Sue na górze, my byliśmy akurat w salonie?

- Nie. Wydaje mi się, że mówiłam ogólnie, że byliśmy na dole. A co?

- Bo ja też im tego nie mówiłam. Vickie nie mogła im tego powiedzieć, bo znów popadła w otępienie. Sue nie

żyje, a Caroline była już wtedy przed domem. Ale Tyler wiedział. Pamiętasz, co powiedział? „Gdybyście nie chowały się w salonie, widziałybyście, co się stało”. Skąd on to wiedział?

- Bonnie, jeśli chcesz sugerować, że to Tyler jest mordercą, to po prostu... Ten numer nie przejdzie. Przede wszystkim on nie jest dość bystry, żeby zaplanować takie morderstwo – powiedziała Meredith.

- Ale jest coś jeszcze. Meredith, w zeszłym roku na balu trzeciej klasy Tyler dotknął mojego gołego ramienia. Ja tego nigdy nie zapomnę. Ta jego łapa była wilka i gorąca. I spocona. - Bonnie zadrżała na samo wspomnienie.

- Zupełnie tak samo jak ta, która złapała mnie wczoraj wieczorem.

Meredith kręciła przecząco głową, a i Matt miał nieprzekonaną minę.

- W takim razie Elena marnowała czas, prosząc nas o sprowadzenie Stefano – stwierdził. - Sam poradziłbym sobie z Tylerem paroma prawymi prostymi.

- Zastanów się Bonnie – dodała Meredith. - Czy Tyler ma takie psychiczne moce, żeby zakłócać działanie plan-

szy do wywoływania duchów albo wtrącać się do twoich snów? Ma je?

Nie miał. Tyler nie miał zdolności parapsychologicznych, podobnie jak Caroline. Bonnie nie mogła temu zaprzeczyć. Ale nie mogła też ignorować swojej intuicji. Może to bez sensu, ale nadal czuła, że Tyler był w domu Caroline wczoraj w nocy.

- Lepiej się stąd zbierajmy – przerwała jej rozmyślania Meredith. - Zrobiło się ciemno i twój ojciec się wścieknie.

W drodze powrotnej milczeli. Bonnie nadal myślała o Tylerze. Kiedy już dotarli do jej domu, przemycili serwetki na górę i zaczęli przeglądać książki Bonnie o magii druidów. Odkąd Bonnie dowiedziała się, że jest potomkinią bardzo starej rodziny, w której posługiwano się magią, zainteresowała się druidami. A teraz w jednej z książek znalazła tekst zaklęcia przywołania i wszelkie potrzebne informacje.

- Musimy kupić świece – stwierdziła. - Potrzebna nam też czysta woda. Najlepiej będzie kupić butelkowaną – dodała. - I kreda, żeby narysować na podłodze okrąg, i coś, w czym da się rozpalić niewielki ogień. To już znajdę w domu. Nie ma pośpiechu, zaklęcie należy wypowiedzieć

o północy.

Do północy czas im się dłużył. Meredith kupiła w sklepie potrzebne rzeczy i przywiozła je do Bonnie. Zjedli kolację z rodziną Bonnie, chociaż żadne z nich nie miało apetytu. Około jedenastej Bonnie narysowała okrąg na drewnianym parkiecie w swojej sypialni, a wszystkie potrzebne przedmioty ułożyła na niskiej ławeczce ustawionej pośrodku okręgu. Kiedy zegar zaczął bić północ, zabrała się do dzieła.

Matt i Meredith patrzyli, jak rozpala ogień w niewielkiej kamionkowej misce. Za misą płonęły trzy świece, w połowie środkowej z nich wbiła szpilkę. Potem rozwinęła serwetkę i ostrożnie rozpuściła drobinki zaschniętej krwi w wodzie w kieliszku do wina. Woda zminiła kolor na rdzaworóżowy.

Rozłożyła drugą serwetkę. Wrzuciła do ognia trzy szczypty ciemnych włosów, które zaskwierczały i zaśmierdziały obrzydliwie. Potem dodała trzy krople rdzawej wody, które też zasyczały.

Spojrzała na tekst zaklęcia w książce.

„Nadejdiesz prędkim krokiem

Trzy razy wezwany moim zaklęciem

Trzy razy wezwany tym płomieniem
Przyjdź do mnie niezwłocznie.”

Powoli odczytała te słowa na głos. Następnie przykucnęła. Ogień nadal palił się i dymił.

Płomienie świec tańczyły.

- I co teraz? - spytał Matt.

- Nie wiem. Tu jest tylko napisane, że środkowa świeca ma się dopalić do szpilki.

- A później?

- Później pewnie sami się przekonamy, czy to działa.

We Florencji wstawał świt.

Stefano patrzył, jak dziewczyna schodzi po schodach, jedną dłoń lekko opierając na barierce, żeby utrzymać równowagę. Poruszała się powoli jak we śnie, zupełnie jakby płynęła przez powietrze.

Nagle zachwiała się i mocniej przytrzymała poręcz. Stefano podszedł i ją podtrzymał.

- Nic ci nie jest?

Spojrzała na niego z tą samą sennością w oczach. Była bardzo ładna. Miała na sobie drogie, najmodniejsze ciuchy,

a jej stylowo potargane włosy były jasne. Turystka. Wiedział, że to Amerykanka, zanim się jeszcze odezwała.

- Nie... Chyba nie... - Brązowe oczy nie mogły się na niczym skupić.

- Masz jak dostać się do domu? Gdzie się zatrzymałaś?

- Na Via dei Conti, niedaleko kaplicy Medyceuszy. Jestem tu w ramach programu Gonzaga we Florencji.

Cholera! A więc nie turystka, studentka. To może znaczyć, że rozpowie tę historię i jej koleżanki ze studiów dowiedzą się o przystojnym Włochu, którego wczoraj wieczorem poznała. Nieznajomym o oczach czarnych, jak noc, który ją zabrał do ekskluzywnej restauracji przy Via Tornabuoni, podjął wystawną kalację, a może na zamkniętym dziedzińcu, pochylił się nad nią, żeby jej głęboko zajrzeć w oczy, i...

Stefano oderwał wzrok od szyi dziewczyny, miała dwie ranki po ugryzieniu. Widywał takie ślady tak często...

Czemu nadal potrafiły wytrącić go z równowagi? Ale właśnie tak było: na ich widok zrobiło mu się niedobrze i po-

czuł, że palą go wnętrzności.

- Jak się nazywasz?

- Rachael. Przez „a”. - Przeliterowała swoje imię.

- No dobrze, Rachael. Posłuchaj mnie. Wrócisz teraz do swojego *pesione* i nie będziesz pamiętała niczego z minionej nocy. Nie wiesz, gdzie byłaś ani kogo widziałaś. I mnie też nigdy przedtem nie spotkałaś. Powtórz to.

- Nic nie pamiętam z minionej nocy – powtórzyła posłusznie, patrząc mu w oczy. Moc Stefano nie była tak silna, jakby mogła być, gdyby pił ludzką krew, ale do czegoś takiego wystarczyła. - Nie wiem, gdzie byłam ani z kim. Nigdy cię ni widziałam.

- Dobrze. Masz pieniądze na powrót? Proszę. - Stefano wyjął z kieszeni garść pomiętych banknotów – głównie po pięćdziesiąt i sto tysięcy lirów – i wyprowadził dziewczynę na zewnątrz.

Kiedy znalazła się w taksówce, wrócił do środka i ruszył prosto do sypialni Damona.

Damon siedział koło okna, obierając pomarańczę, nawet się jeszcze nie ubrał. Zirytowany podniósł wzrok na widok Stefano.

- Wypadałoby zapukać.

- Gdzie ją spotkałeś? - spytał Stefano. A potem, pod

obojętnym spojrzeniem Damona, dodał: - Tę dziwczynę.
Rachael.

- Tak miała na imię? Chyba nawet jej nie spytałem.

W barze Gilli. A może w barze Mario. A co?

Stefano z trudem panował nad gniewem.

- Nie tylko nie chciało ci się spytać jej o imię. Nie chciało ci się też wpłynąć na nią, żeby o tobie zapomniała. Czy ty chcesz zostać złapany, Damon?

Damon wykrzywił wargi w uśmiechu, zwijając skórę pomarańczy w jakiś zakrętas.

- Mnie nikt nigdy nie złapie, braciszku – powiedział.

- No i co zrobisz, kiedy po ciebie przyjdą? Kiedy ktoś pójdzie po rozum do głowy: „Mój Boże, na via Tornabuoni mieszka wampir”. Zabijesz ich wszystkich? Poczekasz, aż wyłamią drzwi i wtedy rozpląniesz się w ciemnościach?

Damon spojrzał mu prosto w oczy, wyzywająco, z lekkim uśmieszkiem.

- A czemu nie?

- Niech cię diabli! - rzucił Stefano. - Posłuchaj mnie, Damon, to musi się skończyć.

- Wzrusza mnie troska o moje bezpieczeństwo.

- Damon, to nie w porządku. Piłeś krew dziewczyny, która tego nie chciała...

- Och, chciała, braciszku. Była bardzo, ale to bardzo chętna.

- A powiedziałaś jej, co jej zamierzasz zrobić?

Ostrzegłeś, jakie są konsekwencje wymieniania krwi z wampirem? Koszmary senne, psychotyczne wizje? Na to też miała ochotę? - Damon najwyraźniej nie zamierzał mu odpowiedzieć, więc Stefano ciągnął: - Wiesz, że tak nie można.

- To prawda, wiem. - Damon rzucił bratu jeden ze swoich wytrącających z równowagi uśmiechów, które pojawiały się na jego ustach na ułamek sekundy.

- I nic cię to nie obchodzi.

- Braciszku, świat jest pełen tego, co byś określił mianem „zło” - powiedział Damon miękko i wypuścił z rąk pomarańczę. - Dlaczego nie wyluzujesz i nie dołączysz do

strony wygrywającej? Zapewniam cię, tak jest o wiele przyjemniej.

Stefano ogarnął gniew.

- Jak możesz tak mówić? - zachnął się. - Historia Katherine niczego cię nie nauczyła? Ona też wybrała „stronę wygrywającą”.

- Katherine za szybko umarła – stwierdził Damon. Znów się uśmiechnął, ale jego oczy pozostały zimne.

- I teraz nie przestajesz myśleć o zemście. - Patrząc na brata, Stefano poczuł, że zaczyna go gnieść w piersi jakiś wilki ciężar. - O zamście i o własnych przyjemnościach - dodał.

- A co innego pozostaje? Przyjemność to jedyna rzeczywistość, braciszku. Przyjemność i władza. A ty jesteś z natury łowcą, tak samo jak ja – powiedział Damon. I dodał: - Tak czy inaczej, nie przypominam sobie, żebym cię zapraszał do towarzystwa tu, we Florencji. Skoro nie bawisz się dobrze, czemu po prostu nie wyjedziesz?

Ciężar w piersi Stefano zwiększył się, stał się nie do zniesienia, ale Stefano wciąż nie odwracał wzroku od Damona.

- Wiesz dlaczego – odezwał się spokojnie. I wreszcie doczekał się satysfakcji, bo to Damon opuścił wzrok pod jego spojrzeniem.

Stefano słyszał teraz w myślach słowa, które wypowiedziała Elena. Umierała i jej głos był bardzo słaby, ale sło-

wa zrozumiał wyraźnie: „Musicie się opiekować sobą nawzajem, Stefano, obiecasz mi? Obiecuj, że będziecie o sobie dbali”. A on obiecał i słowa dotrzyma. Niezależnie od wszystkiego.

- Wiesz, dlaczego nie wyjadę. - Wciąż patrzył z wyrzutem na Damona, ten jednak unikał jego spojrzeniu. - Możesz

udawać, że cię to nic nie obchodzi. Możesz to wmówić całemu światu. Ale ja wiem, że jest inaczej. - Szlachetniej byłoby dać Damonowi spokój, ale Stefano nie był w nastroju do szlachetnych gestów. - Ta dziewczyna, z którą sobie wypatrzyłeś? Ta Rachael... - dodał. - Włosy były jak trzeba, ale oczy miały nie ten kolor. Oczy Eleny były błękitne.

Z tymi słowami odwrócił się, zamierzając zostawić Damona, żeby sobie wszystko spokojnie przemyślał – o ile Damon zechciałby zająć się czymś tak konstruktywnym, oczywiście. Ale nie zdążył nawet dojść do drzwi.

- Jest! - powiedziała Meredith ostro, nie odrywając oczu od świecy i tkwiącej w niej szpilki.

Bonnie gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Coś się ot-

wierało przed nią, coś, co przypominało srebrną nić, srebrny tunel łączności. Pędziła nim i w żaden sposób nie mogła się zatrzymać ani kontrolować prędkości tego ruchu. O Boże, pomyślała, kiedy znajdę się na miejscu i uderzę...

W myślach Stefano coś się pojawiło – bezgłośnie, bez rozbłysków światła, ale z siłą uderzenia pioruna. A jednocześnie poczuł, że coś nim ostro szarpnęło. Poczuł chęć, żeby podążyć za tym czymś. Uczucie nie przypominało delikatnego psychicznego szturchnięcia – to był psychiczny wrzask. Rozkaz, którego nie sposób było nie posłuchać.

Wewnątrz tego przebłysku poczuł czyjaś obecność, ale aż mu się nie chciało uwierzyć, że to naprawdę ona.

Bonnie?

Stefano! To ty! Udało się!

Bonnie, co ty zrobiłaś?

Elena mi kazała. Naprawdę. Stefano, ona mi kazała.

Mamy kłopot i potrzebujemy...

I to było wszystko. Połączenie się urwało, błysk przysgasł, zmniejszył się do rozmiaru łebka szpilki. Zniknął, a po je-

go zniknięciu pokój jeszcze długo wibrował mocą.

Stefano i jego brat w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem.

Bonnie wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech. Otworzyła oczy, chociaż nie pamiętała, żeby je przedtem zamykała. Leżała na plecach. Matt i Meredith przykucnęli nad nią, oboje mieli zaniepokojone miny.

- Co się stało? Udało się? - spytała Meredith.

- Udało się. - Bonnie pozwoliła im pomóc sobie wstać.

- Porozumiałam się ze Stefano. Rozmawiałam z nim. Teraz pozostaje nam tylko czekać i przekonać się, czy przyjedzie, czy nie.

- Wspomniałaś o Elenie? - spytał Matt.

- Tak.

- No to na pewno przyjedzie.

Rozdział 5

Poniedziałek, 8 czerwca, 23.15

Drogi Pamiętniku,

jakoś dzisiaj wieczorem nie bardzo mogę zasnąć, więc równie dobrze mogę sobie popisać. Dzisiaj przez cały dzień czekałam, aż coś się zdarzy. Nie wypowiada się takiego zaklęcia, które tak świetnie się udaje, po to żeby potem nic się nie wydarzyło.

Bo nic się nie działo. Nie poszłam do szkoły, bo mama uznała, że powinnam zostać w domu. Niepokoiliła się, że Matt i Meredith zasiedzieli się w niedzielę do późna i powiedziała, że powinnam trochę odpocząć.

Ale za każdym razem, kiedy się kładę, widzę twarz Sue.

Tata Sue przemawiał na pogrzebie Eleny.

Zastanawiam się, kto przemówi na pogrzebie Sue w środę?

Muszę przestać zastanawiać się nad takimi rzeczami.

Może teraz znów spróbuję zasnąć. Może jeśli się położę ze słuchawkami na uszach, nie będę wciąż widziała Sue.

Bonnie odłożyła pamiętnik do szuflady nocnego stolika i wyjęła discmana. Przeszukiwała kanały radiowe, wpatrując się w sufit. Poprzez trzaski i zakłócenia nagle rozległ się w jej uszach głos didżeja:

- A teraz wielki hit dla was wszystkich, fanów wspa-
niałych lat pięćdziesiątych. *Dobranoc, kochanie*, nagrana przez
The Spaniels dla wytwórni Vee Jay...

Bonnie, słuchając muzyki, powoli odpłynęła w sen.

Lody z wodą mineralną i syropem miały ulubiony smak
Bonnie – truskawkowy. Z szafy grającej leciało *Dobranoc, ko-
chanie*, a kontuar baru był wyczyszczony tak, że aż lśnił. Ale
Elena, stwierdziła Bonnie, nigdy by przecież nie włożyła
rozkloszowanej spódnicy z wizerunkiem pudła.

- Żadnych pudli – powiedziała, wskazując ręką spódnicę.
Elena uniosła oczy znad lodów z sosem czekoladowym.
Jasne włosy miała związane w koński ogon. - I w ogóle kto
wymyśla takie rzeczy? - dodała Bonnie.

- Ty głuptasie. Ja tu tylko wpadłam z wizytą.

- Och. - Bonnie pociągnęła łyk napoju. Sny. Miała ja-
kiś powód, żeby się ich obawiać, ale w tej akurat chwili nie
mogła sobie przypomnieć jaki.

- Nie mogę zostać długo – westchnęła Elena. - On chyba już wie, że tu jestem. Przyszłam tylko powiedzieć ci... - zmarszczyła brwi.

Bonnie spojrzała na nią ze współczuciem.

- Ty też sobie nie możesz przypomnieć? - Wypiła jeszcze łyk napoju. Dziwnie smakował.

- Za młodo umarłam, Bonnie. Tyle jeszcze powinnam była zrobić, osiągnąć. A teraz muszę pomóc tobie.

- Dzięki – powiedziała Bonnie.

- Wiesz, to nie jest łatwe. Nie mam aż tak dużo siły. Trudno się tutaj przedostać i trudno to wszystko razem poskładać.

- Trzeba to poskładać – zgodziła się Bonnie, kiwając głową. Czowała się dziwnie lekka. Czego oni dodali do tej wody mineralnej?

- Nie wiem zbyt wiele kontroli i różne rzeczy czasem dziwnie wychodzą. Chyba on to robi. Ciągłe ze mną walczy. Obserwuje cię. I za każdym razem, kiedy próbujemy się porozumieć, się pojawia.

- Rozumiem. - Sala wirowała wokół.

- Bonnie, czy ty mnie słuchasz? On może wykorzystywać twój strach przeciwko tobie. To w taki sposób się

wtrąca.

- Rozumiem...

- Ale nie zapraszaj go do domu. Powtórz to wszystkim

I powiedz Stefano... - Elena urwała i uniosła dłoń o ust.

Coś wypadło z nich prosto do pucharka z lodami.

To była ząb.

- On tu jest. - Głos Eleny zabrzmiał dziwnie, zrobił się niewyraźny. Bonnie wpatrywała się w ząb, osłupiała z przerażenia. Ząb leżał w bitej śmietanie, między płatkami migdałów. - Bonnie, powiedz Stefano...

Kolejny ząb wpadł do deseru, potem następny. Elena zasłochała, zakrywając obiema dłońmi usta. Oczy miała przestraszone i bezradne.

- Bonnie, nie odchodź...

Ale Bonnie cofała się, potykając. Wszystko wirowało. Woda mineralna burzyła się i wypływała ze szklanki. Ale to nie była woda, to była krew. Jasnoczerwona i spieniona jak coś, co człowiek wykrztusza, umierając. Bonnie zrobiło się niedobrze.

- Powiedz Stefano, że go kocham! - To był głos bezzęb-

nej starej kobiety, która zaczęła histerycznie szlochać. Bonnie z ulgą pograżyła się w ciemności i o wszystkim zapomniała.

Bonnie odgryzła końcówkę flamastra, nie spuszczać oczu z zegara, ale rozmyślając o kalendarzu. Jeszcze musi przetrwać osiem i pół dnia szkoły. I zapowiadało się, że każda minuta będzie torturą.

Jakiś facet powiedział to prosto z mostu, omijając ją szerokim łukiem na schodach.

- Wybacz, ale twoi przyjaciele jakoś tak zbyt regularnie umierają. - Bonnie poszła do łazienki i się rozpłakała.

Teraz chciała już tylko wyjść ze szkoły, jak najdalej od tych smutnych twarzy i oskarżycielskich spojrzeń – albo, co gorsza, spojrzeń pełnych litości. Dyrektor na apelu wygłosił mowę o „nowym nieszczęściu” i „powtórnej stracie”, a Bonnie czuła wierzące jej dziurę w plecach spojrzenia.

Kiedy zadzwonił dzwonek, pierwsza znalazła się przy drzwiach. Ale zamiast iść na następną lekcję, znów poszła do łazienki i tam poczekała na dzwonek. A potem, kiedy korytarze znów pustoszały, szybko ruszyła w stronę skrzydła, gdzie mieściły się sale do języków obcych. Mijała ogłoszenia i plakaty zapowiadające imprezy z okazji zakończenia roku szkolnego, nawet na nie nie patrząc. Co ją obchodzą testy,

co ją obchodzi nawet rozdanie świadectw, czy jeszcze cokolwiek w ogóle ją obchodzi? Zanim miesiąc się skończy, wszyscy mogą już nie żyć.

O mały włos nie wpadła na osobę stojącą na środku korytarza. Szybko podniosła wzrok i zobaczyła modnie podniszczone mokasyny, chyba zagraniczne. A potem džinsy, dość obcisłe, na tyle wytarte, że ładnie podkreślały twarde mięśnie. Wąskie biodra. Niezła klatka piersiowa. Twarz, dla której rzeźbiarz by oszalał: zmysłowe usta, wydatne kości policzkowe. Ciemne okulary. Lekko zwichrzone czarne włosy. Bonnie stała jak wryta, z otwartymi ustami.

O mój Boże, zapomniałam już, jaki on jest przystojny, pomyślała. Eleno, wybacz mi, mam ochotę się na niego, rzucić.

- Stefano! - wykrztusiła.

Rozejrzała się wkoło niespokojnie. Nikt ich nie słyszał. Złapała go za ramię.

- Czyś ty oszalał, pokazujesz się tutaj? Zwariowałeś?

- Musiałem cię znaleźć. Myślałem, że to coś pilnego.

- Owszem, ale... - Tak bardzo nie pasował do tego szkolnego korytarza. Wyglądał tak egzotycznie. Zupełnie

jak zebra w stadzie owiec. Zaczęła popychać go w stronę schowka na sprzęt do sprzątania.

Nie poddał się. I był silniejszy od niej.

- Bonnie, powiedziałaś, że rozmawiałaś z...

- Musisz się schować! Ściągnę Matta i Meredith i zabierzemy cię stąd, a wtedy będziemy mogli pogadać. Ale jeśli ktoś cię tu zobaczy, to chyba cię zlinczują. Doszło do kolejnego morderstwa.

Twarz Stefano zmieniła się, pozwolił się zaciągnąć do schowka. Zaczął coś mówić, ale potem zmienił zdanie i zamilkł.

- Zaczekam – powiedział po prostu.

W kilka minut odnalazła Matta w sali prac technicznych, a Meredith na lekcji ekonomii. Szybko poszli do schowka i wyprowadzili Stefano ze szkoły tak dyskretnie, jak się tylko dało – czyli nie bardzo.

Ktoś nas na pewno widział, pomyślała Bonnie. Wszystko teraz zależy od tego kto, i jak wielka z kogoś tego papla.

- Musimy go zabrać gdzieś, gdzie jest bezpiecznie. Do domu żadnego z nas nie możemy – powiedziała Meredith. Szli szybkim krokiem przez szkolny parking.

- Świetnie, ale dokąd? Zaraz, a może tamten pensjonat...? - Bonnie urwała. Na parkingu tuż przed nią stał mały czarny samochód. Włoski, elegancki, o smukłej linii, bardzo piękny. Wszystkie okna były mocno zaciemnione, niezgodnie z prawem, i nie można było zajrzeć do środka. A potem Bonnie dostrzegła z tyłu znak ogiera.

- O mój Boże.

Stefano roztargniony wzrokiem obrzucił ferrari.

- To samochód Damona.

Trzy pary oczu spojrzały na niego, w szoku.

- Damona? - wybąkała Bonnie, słysząc, jak piskliwie brzmi jej głos. Miała nadzieję, że Stefano chciał tylko powiedzieć, że pożyczył samochód od brata.

Ale okno samochodu już się opuszczało, a ze środka wyjrzała głowa o włosach równie ciemnych i błyszczących jak lakier samochodu, w okularach lustrzankach, z bardzo białymi zębami ukazanymi w uśmiechu.

- *Buon giorno* – powiedział Damon swobodnie. - Kogoś gdzieś podrzucić?

- O mój Boże – powtórzyła Bonnie ledwo słyszalnym szeptem. Ale się nie cofnęła.

Stefano wyraźnie zaczął się niecierpliwić.

- Pojedziemy przodem do pensjonatu. Wy jedźcie za

nami. Zaparkujcie za stodołą, żeby nikt nie zobaczył waszego samochodu.

Meredith musiała odciągnąć Bonnie od ferrari. Nie w tym rzecz, że Bonnie podobał się Damon, ani w tym, żeby miała jeszcze kiedykolwiek zamiar dać się mu pocałować, tak jak pozwoliła na imprezie u Alarica. Wiedziała, że jest niebezpieczny, może nie aż tak zły jak Katherine, ale jednak zły. Zabił bez skrpułów, dla samej przyjemności zabijania. Zabił pana Tannera, nauczyciela historii, w Nawiedzonym Domu w czasie charytatywnej imprezy z okazji ostatniego Halloween. Może w każdej chwili znów zabić. Może właśnie dlatego Bonnie czuła się teraz jak myszka zahipnotyzowana przez lśniącego czarnego węża, kiedy na niego patrzyła.

Kiedy już byli sami w samochodzie Meredith, dziewczyny wymieniły spojrzenia.

- Stefano nie powinien był go ze sobą zabierać – stwierdziła Meredith.

- Może tak sobie po prostu przyjechał – podsunęła Bonnie. Jej zdaniem Damon nie był taką osobą, która gdziekolwiek dawała się zabierać.

- Ale po co? Przecież nie po to, żeby nam pomagać.

Matt nic nie mówił. Chyba nawet nie zauważał napięcia

panującego w samochodzie. Wyglądał przez przednią szybę, pogrążony we własnych myślach.

Niebo się chmurzyło.

- Matt?

- Daj mu spokój, Bonnie – powiedziała Meredith.

Cudownie, pomyślała Bonnie, czując że przygnębienie przygniata ją jak ciemny koc. Matt, Stefano i Damon, wszyscy rozmyślający o Elenie.

Zaparkowali za starą stodołą, obok niskiego czarnego samochodu. Kiedy weszli do środka, Stefano stał tam sam. Obrócił się i Bonnie zobaczyła, że zdjął przeciwsłoneczne okulary. Przeszył ją lekki deszcz, poczuła że włoski na ramionach i karku leciutko jej się unoszą. Stefano nie przy-

pominał żadnego ze znanych jej dotychczas facetów. Oczy miał tak bardzo zielone, zielone jak liście dębu na wiosnę. Ale teraz te oczy były podkrążone.

Na moment zrobiło się niezręcznie; ich trójka stała trochę z boku i wpatrywała się w Stefano bez słowa. Tak jakby nikt nie wiedział, co ma powiedzieć.

A potem Meredith podeszła do niego i podała mu rękę.

- Chyba jesteś zmęczony – zagadnęła.

- Przyjechałem najszybciej, jak się dało. - Objął ją ramieniem w szybkim, niemal niepewnym uścisku. Kiedyś nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił, pomyślała Bonnie. Kiedyś był pełen rezerwy.

Podeszła, żeby też dać się uściskać. Pod T-shistem, skóra Stefano zdawała się chłodna i Bonnie musiała wysiłkiem woli zapanować nad ogarniającym ją drżeniem. Kiedy się odsunęła, w oczach jej się ćmiło. Co czuła teraz, kiedy Stefano Salvatore wrócił do Feel's Church? Ulgę? Smutek ze względu na wspomnienia, które ze sobą sprowadził? Strach? Na pewno mogła stwierdzić jedynie to, że chciało jej się płakać.

Stefano i Matt spojrzeli na siebie. No to się zaczyna, pomyślała Bonnie. To było niemal zabawne, ale mieli takie same miny. Zbolali, zmęczeni i próbujący to ukryć. Niezależnie od wszystkiego Elena zawsze będzie stała między nimi.

Wreszcie Matt wyciągnął rękę, a Stefano ją ujął. A potem obaj cofnęli się o krok, z takimi minami, jakby czuli ulgę, że jest już po wszystkim.

- Gdzie jest Damon? - chciała wiedzieć Meredith.

- Kręci się w pobliżu. Pomyślałem, że lepiej będzie porozmawiać kilka chwil bez niego.

- Przydałoby nam się kilka dekad bez niego – wypaliła Bonnie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Meredith dodała:

- Stefano, jemu nie wolno ufać.

- Moim zdaniem się mylisz – odparł cicho Stefano. -
Może być bardzo pomocny, jeśli będzie miał na to ochotę.

- W przerwach między zabijaniem po paru miejscowych
co noc? - prychnęła Meredith, unosząc brwi. - Stefano, nie
powinieneś być go ze sobą zabierać.

- Wcale nie musiał. - Głos dobiegł zza pleców Bonnie,
przerazająco blisko. Bonnie podskoczyła i instynktownie
przysunęła się do Matta, który objął ją ramieniem.

Damon uśmiechnął się, unosząc tylko jeden kącik ust.
Zdjął okulary przeciwsłoneczne, ale jego oczy nie były zielone.
Były czarne jak przestrzeń kosmiczna pomiędzy gwiazdami.
On jest chyba przystojniejszy niż Stefano, Bonnie nie oparła
się tej myśli, szukając ręką palców Matta i mocno je ściskając.

- A więc teraz jest twoja, tak? - odezwał się Damon do
Matta swobodnym tonem.

- Nie. - Matt nie przestawał tulić Bonnie.

- Stefano cię tu nie przywiózł? - wtrąciła się Meredith
stojąca z drugiej strony. Zdawało się, że z nich wszystkich
na niej pojawienie się Damona zrobiło najmniejsze wraże-

nie, jakby najmniej się go bała i była najmniej podatna na jego wpływ.

- Nie – odpowiedział Damon, patrząc na Bonnie. On się nawet nie obraca jak inni ludzie, pomyślała. Po prostu dalej patrzy tam, gdzie chce, niezależnie od tego, z kim rozmawia. - Ty mnie sprowadziłaś.

- Ja? - Bonnie skuliła się w sobie, niepewna, co on może mieć na myśli.

- Ty. Wypowiadałaś zaklęcie, prawda?

- Zak... - O cholera. Przed oczyma Bonnie mignął obrazek czarnych włosów na białej serwetce. Przyjrzała się włosom Damona, delikatniejszym i bardziej prostym niż u Stefano, ale tak samo czarnym. Najwyraźniej Matt pomylił się, sortując włosy.

Głos Stefano zabrzmiał niecierpliwie:

- Bonnie, przywołałaś nas tutaj. Przyjechaliśmy. Co się dzieje?

Przysiedli na lekko podgniłych belach siana, wszyscy poza Damonem, który wolał stać. Stefano pochylił się, opierając dłonie na kolanach i patrząc na Bonnie.

- Powiedziałaś mi... Powiedziałaś, że Elena skontakto-

wała się z tobą. - Zanim wypowiedział jej imię, wyraźnie przez chwilę się zawahał. Twarz mu stężała, usiłował zaplanować nad jej wyrazem.

- Tak. - Udało jej się do niego uśmiechnąć. - Stefano, miałam sen, bardzo dziwny sen...

Opowiedziała mu o nim i o tym, co zdarzyło się później. Długo to trwało. Stefano słuchał uważnie, a jego zielone oczy rozbłyskiwały za każdym razem, kiedy wspominała Elenę. Kiedy doszła do zakończenia imprezy u Caroline i tego, jak znalazły ciało Sue w ogrodzie, krew odpłynęła mu z twarzy, ale nadal milczał.

- Przyjechała policja i stwierdzili, że Sue nie żyje, ale przecież to już wiedziałyśmy – zakończyła Bonnie. - No i zabrali ze sobą Vickie... Biedna Vickie po prostu wariowała. Nie pozwolili nam z nią porozmawiać, a teraz jej matka odkłada słuchawkę, kiedy dzwoniemy. Niektórzy ludzie twierdzą nawet, że to Vickie to zrobiła, a to już przecież szaleństwo. Ale nie chcą uwierzyć, że Elena się z nami kontaktowała, więc w żadne jej słowa też nie uwierzą.

- A ona wyraźnie powiedziała: „on” - dodał Matt. - Kilka razy. Chodzi o mężczyznę, o kogoś, kto ma potężne siły psychiczne.

- I na korytarzu za rękę złapał mnie facet -dodała

Bonnie. Opowiedziała Stefano o swoich podejrzeniach wobec Tylera, ale też że, jak stwierdziła Meredith, Tyler nie pasował do reszty tego opisu. Ani nie był tak inteligentny,

ani nie miały tyle siły psychicznej, żeby być osobą, przed którą ostrzegała ich Elena.

- A co z Caroline? - spytał Stefano. - Czy ona coś widziała?

- Była przed domem – powiedziała Meredith. - Trafiła do drzwi i wydostała się, kiedy my biegaliśmy po domu. Usłyszała krzyki, ale była za bardzo przerażona, żeby wracać do środka. I, szczerze mówiąc, nie mam do niej o to pretensji.

- Więc właściwie nikt poza Vickie nie widział, co się stało.

- Nie. A Vickie nie chce nic powiedzieć. - Bonnie podjęła przerwana opowieść. - Kiedy już do nas dotarło, że nikt nie chce nam wierzyć, przypomnieliśmy sobie, co Elena mówiła o zaklęciu przywołania. Stwierdziłyśmy, że to ciebie musiała chcieć tu sprowadzić, bo myślała, że będziesz mógł nam jakoś pomóc. A więc... możesz?

- Mogę spróbować – obiecał Stefano. Wstał i odszedł

nieco na bok, odwracając się do nich plecami. Przez chwilę stał tak w milczeniu. A wreszcie odwrócił się i spojrzał Bonnie w oczy. - Bonnie... - odezwał się cicho, ale wyraźnie. - W swoich snach rozmawiałaś z Eleną twarzą w twarz. Jak sądzisz, czy gdybyś weszła w trans, mogłabyś to powtórzyć?

Bonnie trochę się wystraszyła tego, co dostrzegła w jego oczach. Płonęły szmaragdową zielenią. Nagle wydało jej się, że może przejrzeć tę maskę samokontroli, którą przybrał. Pod nią kryło się tyle bólu, tyle tęsknoty... Tyle namiętności, że aż trudno było jej wytrzymać spojrzenie chłopaka.

- Być może mogłabym, ale, Stefano...

- No więc to właśnie zrobimy. Tu i teraz. I zobaczymy, czy uda ci się zabrać mnie ze sobą. - Te oczy hipnotyzowały, nie żadną ukrytą mocą, ale wyłącznie siłą jego woli. Bonnie

chciała to dla niego zrobić – sprawił, że zrobiłaby dla niego wszystko. Ale wspomnienie ostatniego snu przerażało ją. Nie mogłaby po raz kolejny stawić czoła temu horrorowi, po prostu nie.

- Stefano, to zbyt niebezpieczne. Mogłabym się otworzyć na wszystko... i ja się tego boję. Jeśli to coś zyska

kontrolę nad moim umysłem, to sama nie wiem, co się może stać. Ja nie mogę, Stefano. Proszę cię. Nawet użycie planszy do wywoływania duchów stanowi dla niego zaproszenie.

Przez chwilę, myślała, że będzie próbował ją przekonywać. Zacisnął usta w wąską linię, oczy mu zabłyśły jeszcze jaśniej. Ale potem, powoli, znikł płonący w nich ogień.

Bonnie pękało serce.

- Stefano, tak mi przykro – szepnęła.

- Będziemy po prostu musieli zrobić to sami – powiedział. Maskę wróciła, a jego uśmiech był sztuczny, jakby nadal go coś bolało. A potem odezwał się nieco bardziej energicznie: - Najpierw musimy dowiedzieć się, kim jest ten morderca i czego tutaj szuka. Na razie wiemy tylko, że jakieś zło znów trafiło do Fell's Church.

- Ale dlaczego? - spytała Bonnie. - Dlaczego zło miałooby wybierać akurat nasze miasto? Czy mało było tu nieszczęścia?

- Też mi się wydaje, że to trochę dziwny zbieg okoliczności – odezwała się nieswoim głosem Meredith. - Dlaczego akurat nas spotyka taki „zaszczyt”?

- To żaden przypadek – wyjaśnił Stefano. Wstał i uniósł ręce w takim geście, jakby nie wiedział, od czego zacząć. -

Są na ziemi takie miejsca... inne niż wszystkie. Emanujące psychiczną energią, pozytywną albo negatywną, dobrą lub złą. Niektóre zawsze takie były, jak Trójkąt Bermudzki albo nizina Salisbury, miejsce, gdzie znajduje się Stonehenge.

Inne takie się stają, zwykle tam, gdzie przelano wiele krwi.

- popatrzył na Bonnie.

- Niespokojne dusze – szepnęła.

- Tak. Tutaj rozegrała się jakaś bitwa, prawda?

- W czasie wojny secesyjnej – przyznał Matt. - To wtedy zniszczono kościół przy cmentarzu. To była jatka po obu stronach. Nikt nie zwyciężył, ale prawie wszyscy walczący zginęli. W lasach pełno jest grobów.

- A ziemia nasiąkła krwią. Takie miejsce przyciąga do siebie nadprzyrodzone moce. Przyciąga do siebie zło. Dlatego Katherina przybyła do Fell's Church. Sam też wy-czułem tę energię, kiedy tu po raz pierwszy przyjechałem.

- A teraz pojawiło się jeszcze coś – powiedziała Meredith, raz w życiu bez śladów ironii. - Ale jak my z tym mamy walczyć?

- Najpierw musimy się dowiedzieć, z czym będziemy walczyli. Moim zdaniem... - Ale zanim dokończył, usłys-

szeli skrzywienie i na bele siana padł blady, przesycony kurzem promień słońca. Drzwi stodoły się otworzyły.

Wszyscy zamarli w obronnym odruchu, gotowi zerwać się na nogi i rzucić do ucieczki albo do walki. Ale postać, która łokciem przytrzymała wielkie drzwi, wcale nie wyglądała groźnie.

Pani Flowers, właścicielka pensjonatu, uśmiechnęła się do nich, jej czarne oczy otoczone były siateczką zmarszczek. W rękach trzymała tacę.

- Pomyślałam, dzieci, że może napijecie się czegoś - oznajmiła swobodnym tonem.

Wszyscy wymienili skonsternowane spojrzenia. Skąd ona wiedziała, że tu są? I dlaczego przyjęła to tak spokojnie?

- Bardzo proszę – ciągnęła pani Flowers. - To sok winogronowy, z moich własnych winogron. - Podała pla-

stikowy kubeczek Meredith, potem Mattowi, a potem Bonnie. - I jeszcze macie trochę pierniczków. Świeżutkich. - Podsunęła im talerz. Bonnie zauważyła, że nie proponowała ich Stefano ani Damonowi.

- Wy dwaj możecie zejść do piwnicy, jeśli będziecie mie-

li ochotę, spróbować mojego wina jeżynowego – zwróciła się do nich i Bonnie mogłaby przysiąc, że przy tym mrugnęła.

Stefano odetchnął głęboko, nieufnie.

- Hm, proszę pani, proszę posłuchać...

- Twój dawny pokój stoi tak, jak go zostawiłeś. Nikt tam nie wchodził od twojego wyjazdu. Możesz z niego korzystać, kiedy chcesz, nie będzie mi to w niczym przeszkadzało.

Stefano jakby zaniemówił.

- No cóż... Dziękuję. Bardzo dziękuję. Ale...

- Jeśli się obawiasz, że komuś powiem, to bądź spokojny. Nie jestem gadatliwa. Niegy ni byłam i nigdy nie będę. Jak tam sok? - zwróciła się nagle do Bonnie.

Bonnie szybko upiła łyk.

- Smaczny – odparła szczerze.

- Kiedy skończycie, wyrzucicie kubki do śmieci. Lubię porządek. - Pani Flowers rozejrzała się po stodole, pokręciła głową i westchnęła. - Wielka szkoda. Taka ładna dziewczyna. - Spojrzała na Stefano przenikliwymi oczami o barwie paciorków onyksu. - Tym razem będziesz miał trochę kłopotów ze swoim zadaniem, chłopcze – powiedziała i wyszła, nadal kręcąc głową.

- Ale numer! - jęknęła Bonnie, patrząc w ślad za nią zaskoczona. Wszyscy tylko patrzyli po sobie z głupimi minami.

- Taka ładna dziewczyna... Ale która? - odezwała się w końcu Meredith. - Sue czy Elena? - Elena w sumie

spędziła w tej stodole jakiś tydzień zeszłej zimy, ale pani Flowers miała o tym nie wiedzieć. - Mówiłeś jej coś o nas? - Meredith spytała Damona.

- Ani słowa. - Damon wydawał się rozbawiony. - To straszna pani. I trochę stuknięta.

- Jest bystrzejsza, niż ktokolwiek z nas podejrzewa - stwierdził Matt. - Kiedy wspominał tamte dni, kiedy obserwowaliśmy, jak kręci się po suterenie... Myślicie, że wiedziała, że ją obserwujemy?

- Sam nie wiem, co myśleć – przyznał Stefano. - Ale cieszę się, że chyba jest po naszej stronie. I zaproponowała nam bezpieczne schronienie.

- Oraz sok winogronowy, nie zapominaj o nim. - Matt uśmiechnął się szeroko do Stefano. - Chcesz trochę? - Podsunął mu nieco przesiąkający kubek.

- Taa, możesz sobie wziąć ten sok i go... - Ale Stefano też się lekko uśmiechnął. Przez sekundę Bonnie widziała

ich takimi, jakimi byli wobec siebie, zanim Elena zginęła. Zaprzyjaźnieni, serdeczni, tak swobodni we własnym towarzystwie jak ona przy Meredith. Poczowała ukłucie bólu.

Elena nie umarła, pomyślała. Jest tu obecna bardziej niż kiedykolwiek. Decyduje o wszystkim, co robimy i mówimy.

Stefano znów spoważniał.

- Kiedy pani Flowers tu weszła, chciałem właśnie powiedzieć, że musimy się zabrać do roboty. I uważam, że powinniśmy zacząć od Vickie.

- Nie chce nas widzieć – odparła Meredith natychmiast. - Jej rodzice nikogo do niej nie wpuszczają.

- No to będziemy musieli jakoś obejść jej rodziców - stwierdził Stefano. - Damon, idziesz z nami?

- Wizyta u kolejnej ślicznej dziewczyny? Za nic bym sobie nie odpuścił.

Bonnie z przestraszeniem obróciła się do Stefano, ale on odezwał się uspokajająco, wyprowadzając ją ze stodoły:

- Wszystko w porządku. Będę go pilnował.

Bonnie miała nadzieję, że dotrzyma słowa.

Rozdział 6

Dom Vickie stał na rogu i podjechali do niego boczną uliczką. Niebo pokryło się teraz ciężkimi fioletowymi chmurami. Światło wyglądało zupełnie jak w podwodnym świecie.

- Chyba zanosi się na burzę – zauważył Matt.

Bonnie zerknęła na Damona. Ani on, ani Stefano nie przepadali za dziennym światłem. I czuła emanującą od niego moc, jakby jego skóra pulsowała. Uśmiechnął się, nie patrząc na nią, i powiedział:

- A może by tak śnieg w czerwcu?

Bonnie z trudem opanowała drżenie.

Raz czy drugi w stodole spojrzała na Damona i przekonała się, że słuchał jej opowiadania obojętnie. W przeciwieństwie do Stefano wyraz jego twarzy się nie zmienił, kiedy Bonnie wspomniała Elenę, ani kiedy opowiadała o śmierci Sue. Co on czuł do Eleny? Kiedyś sprowadził burzę śnieżną, żeby Elena zamarzła. Co czuł teraz? Czy zależało mu na złapaniu mordercy?

- To sypialnia Vickie – powiedziała Meredith. - Tamto

wykuszowe okno.

Bonnie spojrzała na Damona.

- Ile osób jest w domu?

- Dwie. Kobieta i mężczyzna. Kobieta jest pijana.

Biedna pani Bennett, pomyślała Bonnie.

- Trzeba ich uśpić – powiedział Stefano.

Wbrew samej sobie, Bonnie była zafascynowana falą mocy, którą wyczuła u Damona. Jej zdolności parapsychiczne nigdy przedtem nie były tak silne, żeby mogły wyczuwać moc, a teraz nagle to potrafiła. Wyczuwała ją równie wyraźnie, jak widziała blednące światło dnia i ta sama, jak czuła zapach kapryfolium rosnącego pod oknami Vickie.

Damon wzruszył ramionami.

- Śpią.

Stefano lekko zapukał w szybę.

Nikt nie zareagował, a przynajmniej Bonnie nie zauważyła żadnego ruchu. Ale Stefano i Damon spojrzeli na siebie.

- Już prawie jest w transie – stwierdził Damon.

- Boi się. Ja to zrobię, ona mnie zna – zasugerował Stefano. Zastukał w okno. - Vickie, to ja, Stefano Salvatore - powiedział. - Przyszedłem ci pomóc. Otwórz okno i wpuść mnie do środka.

Mówił cicho, Vickie nie powinna go słyszeć przez zamknięte okno, Jednak po chwili zasłona poruszyła się, a za nią pojawiła się czyjaś twarz.

Bonnie głośno zaczerpnęła powietrza.

Długie jasnobrązowe włosy Vickie były zmierzwiowane, a cera kredowobiała. Oczy miała podkrążone. Wargi spierzchnięte i popękane. Szklistym wzrokiem Vickie wpatrywała się w jeden punkt.

- Wygląda, jakby ją ucharakteryzowano do sceny obłędu Ofelii – mruknęła Meredith pod nosem. - Koszula nocna i wszystko.

- Wygląda jak opętana – odszepnęła Bonnie, wytrącona z równowagi.

Stefano rzucił tylko:

- Vickie otwórz okno.

Mechanicznym ruchem, jak nakręcana lalka, Vickie ot-

worzyła jedno skrzydło okna, a Stefano zapytał:

- Mogę wejść do środka?

Nieprzytomnym wzrokiem Bonnie wodziła po grupce stojącej na zewnątrz. Przez moment Bonnie miała wrażenie, że nikogo z nich nie poznaje. Ale potem zamrugła i powiedziała powoli:

- Meredith... Bonnie... Stefano? Wróciłeś. Co tu robicie?

- Zaproś mnie do środka, Vickie – powtórzył Stefano hipnotyzującym głosem.

- Stefano... - Przerwała i dopiero po długiej chwili zaprosiła go: - Wejdz.

Cofnęła się, kiedy przytrzymał się ramy okna. Matt poszedł jego śladem, za Mattem Meredith. Bonnie, która miała na sobie minispódniczkę, została na zewnątrz z Damonem. Pożałowała, że do szkoły nie włożyła dzisiaj dzinsów, no ale przecież nie mogła przewidzieć, że potem czeka ją taka wyprawa.

- Nie powinieneś tu przychodzić – odezwała się Vickie do Stefano niemal zupełnie spokojnie. - On po mnie wróci. Ciebie te dopadnie.

Meredith objęła ją ramieniem. Stefano zapytał:

- Kto?

- On. Przychodzi do mnie w snach. Zabił Sue. -
Beznamiętny głos Vickie był jeszcze bardziej przerażający
niż największa histeria.

- Vickie, chcemy ci pomóc – powiedziała łagodnie
Meredith. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie po-
zwolimy mu cię skrzywdzić, obiecuję.

Vickie obróciła się i zmierzyła wzrokiem Meredith od
stóp do głów, jakby tamta zmieniała się w coś niezwykłego.
A potem zaczęła się śmiać.

To był okropny wybuch ochrypłego śmiechu, przypo-
minający atak kaszlu. Vickie śmiała się i śmiała i Bonnie
chciała zakryć uszy rękoma. Wreszcie Stefano to przerwał:

- Vickie, przestań.

Śmiech przeszedł w coś, co przypominało szloch, a kie-
dy Vickie znów podniosła głowę, wzrok miała przytomniej-
szy, ale minę bardzo zmartwioną.

- Wszyscy zginiecie, Stefano – stwierdziła ze smutkiem.

- Nikt nie przeżyje walki z nim.

- Musimy dowiedzieć się o nim czegoś, żeby móc z nim
walczyć. Potrzebujemy twojej pomocy – rzekł Stefano. -

Powiedz mi, jak on wygląda.

- W snach go nie widzę. Jest tylko cieniem bez twarzy
- szepnęła Vickie i przygarbiła ramiona.

- Ale widziałas go w domu Caroline – nalegał Stefano.
- Vickie, posłuchaj mnie – dodał, kiedy dziewczyna odwróciła się od niego. - Wiem, że jesteś przerażona, ale to ważne, to ważniejsze, niż ci się zdaje. Nie będziemy mogli z nim walczyć, jeśli nie będziemy wiedzieli, kim jest, a w tej chwili ty jesteś jedyną, absolutnie jesyńą osobą, która ma potrzebne nam informacje. Musisz nam pomóc.

- Ale ja nie pamiętam...

Stefano nadal mówił stanowczo:

- Znam sposób, żebyś sobie przypomniał. Pozwól mi spróbować – poprosił.

Wolno płynęły sekundy, a potem Vickie ciężko westchnęła i odrobinę się rozluźniła.

- Róbcie, co chcecie – powiedziała obojętnie. - Wszystko mi jedno. To już nie zrobi żadnej różnicy.

- Jesteś dzielną dziewczyną. A teraz popatrz na mnie, Vickie. Chcę, żebyś się odprężyła. Popatrz na mnie i odpręż

się. - Stefano mówił usypiającym szeptem. Po kilkadziesiąt sekundach Vickie przymknęła oczy.

- Usiądź. - Stefano poprowadził ją do łóżka. Usiadł obok niej i spojrzał jej w twarz. - Vickie, jesteś spokojna i zrelaksowana. Nic z tego, co sobie przypomnisz, nie wyrazi ci krzywdy – przekonywał łagodnie. - Teraz chcę, żebyś wróciła myślami do sobotniego wieczoru. Jesteś na piętrze, w domu Caroline w głównej sypialni. Z tobą jest Sue Carson i ktoś jeszcze. Chcę, żebyś spojrzała...

- Nie! - Dziewczyna pochylała się naprzód i prostowała, jakby chciała przed czymś uciec. - Nie! Nie mogę...

- Vickie, uspokój się. On cię nie zrani. On cię nie może zobaczyć, ale ty jego tak. Posłuchaj mnie.

Stefano mówił spokojnym, łagodnym tonem. Vickie przestała pojękiwać, ale nadal wierciła się niespokojnie.

- Musisz na niego spojrzeć, Vickie. Pomóż nam z nim walczyć. Jak on wygląda?

- Wygląda jak diabeł!

To był prawie krzyk. Meredith usiadła po drugiej stronie Vickie i wzięła ją za rękę. Spojrzała za okno na Bonnie, która wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami i lekko wzruszyła ramionami. Bonnie nie miała pojęcia, o co chodzi Vickie.

- Powiedz mi coś więcej, opisz go bardziej szczegółowo
- poprosił Stefano.

Vickie się skrzywiła. Skrzydełka jej nosa poruszały się, jakby czuła jakiś wstrętny zapach. Kiedy się odezwała, wymawiała każde słowo oddzielnie, jakby robiło jej się od nich niedobrze.

- On nosi... stary prochowiec. Na wietrze łopocze mu wkoło nóg. Umie sprowadzić wiatr. Włosy ma jasne. Prawie

białe. Sterczą mu na głowie. Oczy ma bardzo niebieskie... Jaskrawoniebieskie. - Vickie oblizwała wargi i przełknęła ślinę z taką miną, jakby ją mdliło. - Niebieski to kolor śmierci.

Po niebie przetoczył się grzmot, rozbłysła błyskawica. Damon uniósł wzrok, a potem zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

- Jest wysoki. I śmieje się. Wyciąga do mnie rękę i się śmieje. Ale Sue krzyczy: „Nie, nie!”, i próbuje mnie odciągnąć. Więc zamiast mnie atakuje ją. Wybija okno, za oknem jest balkon. Sue woła: „Proszę, nie!” A potem patrzę, jak on... Patrzę, jak ją wypycha... - Vickie miała urywany oddech, w jej głosie słychać było histerię.

- Vickie, wszystko w porządku. Jesteś tutaj, nie w domu

Caroline. Jesteś bezpieczna.

- Och, proszę, nie... Sue! Sue! Sue!

- Vickie, skoncentruj się na mnie. Posłuchaj. Muszę wiedzieć jeszcze tylko jedną rzecz. Popatrz na niego.

Powiedz mi, czy on nosi błękitny klejnot...

Ale Vickie szarpała głową, szlochała, z sekundy na sekundę histeryzowała coraz bardziej.

- Nie! Nie! Jestem następna! Jestem następna! - Nagle otworzyła oczy, sama wyprowadzając się z transu, krztusząc się i z trudem chwytając powietrze. A potem gwałtownie obejrzała się za siebie.

Obraz wiszący za jej plecami zaczął stukać o ścianę.

Następnie zaczęło drgać w bambusowej oprawie, a potem flakonik perfum i szminki stojącej pod obrazem toaletce. Z dźwiękiem przypominającym pęknięcie popcornu, z drzewka-stojaka zaczęły spadać kolczyki. Stukanie stawało się coraz głośniejsze. Z kołka zsunął się słomkowy kapelusz. Zdjęcia wypadały z ramy lustra. Kasety i kompaktki posypały się ze stojaka na podłogę jak tasowane przez kogoś karty.

Meredith zerwała się na równe nogi, Matt, zaciskając

pięści też.

- Niech to się skończy! Niech to się skończy! - krzy-
czała Vickie.

Ale się nie skończyło. Matt i Meredith rozglądali się
po pokoju, kiedy kolejne przedmioty rozpoczynały taniec.
Drgały, grzechotały, stukotały, jakby właśnie trwało trzęsie-
nie ziemi.

- Dość! Dość! - wrzasnęła Vickie, zakrywając uszy
dłońmi.

Bardzo blisko uderzył piorun.

Bonnie gwałtownie podskoczyła, widząc, jak zygzak błý-
skawicy przecina niebo. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby
się czegoś złapać. W rozbłyску błýskawicy wiszący na ścia-
nie pokoju Vickie plakat rozdarł się po przekątnej jak prze-
cięty niewidzialnym nożem. Bonnie zdusiła krzyk.

A potem nagle, jakby ktoś przekręcił przełącznik prądu,
wszystko ucichło.

Wszystkie przedmioty w pokoju Vickie były na swoich
miejscach, nie poruszały się. Tylko frędzelki przy abażurze
lampy jeszcze falowały. Plakat zwinął się w dwa fragmenty
o nieregularnych kształtach. Vickie powoli odjęła dłonie od
uszu.

Matt i Meredith rozglądali się po pokoju wstrząśnięci.

Bonnie z całej siły zacisnęła powieki i mruzczała pod nosem coś, co przypominało modlitwę. Dopiero kiedy znów otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, kogo trzyma za rękę. Poczowała pod palcami miękki chłód skórzanej kurtki. Trzymała za ramię Damona.

Nie odsunął się od niej. Teraz też się nie odsuwał. Lekko nachylał się w jej stronę, mrużąc oczy, uważnie obserwując wnętrze pokoju.

- Popatrzcie na to lustro – powiedział.

Wszyscy spojrzeli i Bonnie aż sapnęła, znów zaciskając palce na ramieniu Damona. Nie dostrzegła tego wcześniej, chociaż musiało się pojawić wtedy, kiedy wszystko w pokoju grzechotało.

Na szklanej tafli lustra w bambusowej ramie jaskrawo-koralową szminką Vickie ktoś nabazgrał dwa słowa.

Dobranoc, kochanie.

- O Boże – szepnęła Bonnie.

Stefano odwrócił się od lustra i spojrział na Vickie. Bonnie pomyślała, że coś w nim się zmieniło – pozornie odprężony, trzymał się prosto jak żołnierz, który właśnie dostał potwierdzenie rozkazu wymarszu do walki. Zupełnie jakby

zaakceptował jakieś rzucone jemu osobiście wyzwanie.

Sięgnął do tylnej kieszeni. Wyjął roślinę o długich zielonych listkach i małych liliowych kwiatkach.

- To werbena, świeża werbena – powiedział cicho, opowiedzianym głosem. - Zerwałem ją pod Florencją, teraz tam kwitnie. - Wcisnął pakiecik w rękę dziewczyny. - Chcę, żebyś ją zatrzymała. Zostaw odrobinę w każdym pokoju w domu i pochowaj trochę, jeśli możesz, po ubraniach rodziców, żeby mieli ją zawsze przy sobie. Kiedy nosisz przy sobie werbenę, on nie może kontrolować twojego umysłu. Może cię przestraszyć, Vickie, ale nie może zrobić ci nic złego, na przykład zmusić, żebyś mu otworzyła okno albo drzwi. I posłuchaj, Vickie, Bo to ważne.

Vickie zadrżała. Stefano ujął jej dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała, mówiąc powoli i wyraźnie:

- O ile się nie mylę, Vickie, on nie może wejść do środka, jeśli go nie zaprosisz. Więc porozmawiaj z rodzicami. Powiedz im, jakie to ważne, żeby nie zapraszali do domu nikogo obcego. Właściwie poproszę Damona, żeby taką sugestią od razu zaszczepił w ich umysłach. - Zerknął na Damona, który lekko wzruszył ramionami i pokiwał głową z taką miną, jakby

był myślami gdzie indziej. Bonnie zawstydziała się i cofnęła rękę, którą trzymała go z rękaw kurtki.

- On i tak jakoś się tu dostanie.

- Nie, Vickie, posłuchaj mnie. Od tej chwili będziemy obserwowali twój dom, zaczekamy tu na niego.

- To bez znaczenia. - Vickie nie dawała się przekonać.

- Nie zdołacie go powstrzymać. - Znow zaczęła płakać i śmiać się jednocześnie.

- Będziemy próbowali – zapewnił ją Stefano. Spojrzał na Meredith i Matta, a oni pokiwali głowami. - Od tej chwili ani na moment nie zostawimy cię samej. Zawsze ktoś z nas będzie cię obserwował.

Vickie tylko pokręciła głową. Meredith uścisnęła jej ramię i wstała, a Stefano obrócił głowę w stronę okna.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Stefano zwrócił się do wszystkich:

- Nie chcę jej zostawić bez ochrony, ale sam teraz nie mogę tu zostać. Muszę się czymś zająć i potrzeba mi będzie do tego jedna z dziewczyn. Ale z drugiej strony nie chciałbym też ani Bonnie, ani Meredith zostawić tu samej.

- Popatrzył na Matta. - Matt...?

- Ja zostanę – oświadczył Damon.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

- No cóż, to logiczne, nieprawdaż? - Damon wydawał się rozbawiony. - No bo, co twoim zdaniem któreś z nich może zrobić tamtemu?

- Mogą zawołać mnie. Potrafię monitorować ich myśli na taką odległość – powiedział Stefano, nie chcąc ustąpić.

- Ja też mogę cię zawołać, braciszku, gdybym wpadł w kłopoty. Zresztą i tak mi się już znudziło to wasze śledztwo. Równie dobrze mogę zostać tu, jak iść gdzie indziej.

- Vickie mamy chronić, a nie napastować – mruknął Stefano.

Damon uśmiechnął się ujmująco.

- Ją? - Spojrzał na dziewczynę, która siedziała na łóżku i kiwała się nad werbeną. Od potarganych włosów po boscie stopy Vickie raczej nie stanowiła ładnego widoku. - Możesz mi wierzyć na słowo, braciszku, stać mnie na coś więcej.

- Przez moment Bonnie wydawało się, że te ciemne oczy zerknęła z ukosa na nią. - Zawsze zresztą powtarzasz, jak bardzo chciałbyś móc mi zaufać – dodał Damon. - No to teraz masz szansę.

Stefano wyglądał, jakby chciał mu zaufać, jakby bardzo tego pragnął. Ale minę miał jednocześnie podejrzliwą.

Damon nic już nie powiedział, uśmiechnął się tylko tym swoim szyderczym, enigmatycznym uśmieszkiem. Prawie jakby prosił, żeby mu jednak nie ufać, pomyślała Bonnie.

Bracia stali i patrzyli na siebie, a między nimi zawisła pełna napięcia cisza. Wtedy właśnie Bonnie zauważyła rodzinne podobieństwo: Stefano był poważny i spięty, a Damon miał kpiącą minę, ale obaj byli nieludzko piękni.

Stefano powoli wypuścił powietrze z płuc.

- No dobrze – ustąpił wreszcie. Bonnie, Matt i Meredith wytrzeszczyli na niego oczy, ale on tego nie zauważał. Zwrócił się do Damona, jakby tylko oni dwaj tam byli:

- Zostań tu, blisko domu, gdzieś, gdzie nie będziesz widoczny. Wrócę i zastąpię cię, kiedy już zrobię to, co mam do zrobienia.

Meredith uniosła brwi aż po linię włosów, ale nie skomentowała decyzji Stefano. Ani Matt. Bonnie usiłowała zapanować nad ogarniającym ją niepokojem. Stefano na pewno wie, co robi, powtarzała sobie. A w każdym razie, lepiej, żeby wiedział.

- Nie marudź za długo – zakpił Damon.

I na tym sprawę zakończyli. Damon wtopił się w mrok w cieniu drzew orzecha włoskiego w ogrodzie na tyłach do-

mu Vickie, a sama Vickie nadal siedziała w swoim pokoju i ciągle się kołysała.

W samochodzie Meredith zapytała:

- Dokąd teraz?

- Muszę sprawdzić pewną teorię – odpowiedział Stefano krótko.

- Taką, że zabójca jest wampirem? - spytał Matt z tylnego siedzenia, gdzie siedział razem z Bonnie.

Stefano spojrzał na niego uważnie.

- Tak.

- To dlatego powiedziałaś Vickie, żeby nikogo nie zapraszała do środka – dodała Meredith, nie chcąc dać się pokonać w dedukcji. Wampiry, przypomniała sobie Bonnie, nie mogą wchodzić tam, gdzie mieszkają i śpią ludzie, chyba że zostaną zaproszone. - I dlatego zapytałaś, czy ten mężczyzna nosi jakiś błękitny klejnot.

- Amulet przeciwko słonecznemu światłu – wyjaśnił Stefano, wyciągając przed siebie prawą rękę. Na serdecznym palcu tkwił srebrny pierścień z oczkiem lapisu-lazuli.

- Bez takiego pierścienia wystawienie na bezpośrednie promienie słońca zabija nas. Jeśli ten morderca jest wampirem, to gdzieś przy sobie musi mieć taki kamień. - Jakby instynk-

townie Stefano uniósł rękę, żeby dotknąć czegoś, co miał pod T-shirtem. Po chwili do Bonnie dotarło czegoś.

Pierścionek Eleny. Stefano podarował go jej, a kiedy zginęła, zabrał go i nosił na łańcuszku na szyi. Żeby chociaż zawsze miał przy sobie coś, co do niej należało, tak powiedział.

Kiedy Bonnie spojrzała na siedzącego obok niej Matta, zobaczyła, że przymknął oczy.

- A więc jak możemy sprawdzić, czy to wampir? - spytała Meredith.

- Przychodzi mi na myśl tylko jeden sposób i nie jest on przyjemny. Ale trzeba to zrobić.

Bonnie zamarło serce. Jeśli Stefano mówił, że to nie jest nic przyjemnego, to mogła być pewna, że jej wyda się to jeszcze mniej przyjemne.

- Co masz na myśli? - spytała bez entuzjazmu.

- Muszę obejrzeć ciało Sue.

Zapadło grobowe milczenie. Nawet Meredith, którą zwykle tak trudno było wytrącić z równowagi, miała przerażona minę. Matt odwrócił wzrok, oparł czoło o szybę samochodu.

- Chyba sobie żartujesz – jęknęła Bonnie.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Ale... Na miłość boską, Stefano! Nie możemy! Nie wpuszczą nas. Znaczący co my im niby powiemy? „Proszę sobie nie przeszkadzać, my tylko sprawdzimy, czy w tych zwłokach nie ma jakichś dziurek”?

- Bonnie, przestań – upomniała ją Meredith.

- Nic na to nie poradzę! - Bonnie drżał głos. - To taki okropny pomysł. A poza tym policja oglądała już jej ciało. Nic nie znaleźli poza skaleczeniami, jakich doznała podczas upadku.

- Policja nie wie, czego szukać – powiedział Stefano. Głos miał stanowczy. Ten głos przypominał Bonnie o czymś, o czym zdarzało jej się zapominać. Przecież Stefano był jednym z nich. Jednym z łowców. On już widywał wcześniej martwych ludzi. Może nawet niektórych sam zabił.

On pije krew, pomyślała i zadrżała.

- A więc? - spytał Stefano. - Nadal chcecie jechać ze mną?

Bonnie skuliła się na tylnym siedzeniu. Meredith kurczowo ścisnęła kierownicę. Tylko Matt się odezwał:

- Chyba nie mamy wyboru, prawda?

- Zwłoki są wystawione od siódmej do dziesiątej w domu pogrzebowym – dodała cicho Meredith.

- No to będziemy musieli zaczekać. A kiedy zamkną dam pogrzebowy, wtedy będziemy mogli zostać z nią sami - powiedział Stefano.

- Jeszcze nigdy nie musiałam zrobić czegoś tak strasznego – szepnęła Bonnie, zrozpaczona. Kaplica pogrzebowa była mroczna i zimna. Stefano otworzył zamki zewnętrznych drzwi jakimś cienkim metalowym prętem.

Sala, w której wystawiono zwłoki, była wyłożona grubym dywanem, a jej ściany pokrywała dębowa boazeria. Nawet przy zapalonych światłach to pomieszczenie robiło przygnębiające wrażenie. Po ciemku wydawało się załoczone, duszne i wypełnione groteskowymi kształtami. Miało się wrażenie, że ktoś się czy za wieloma ustawionymi na ziemi kwiatowymi kompozycjami.

- Ja nie chcę tu być – jęknęła Bonnie.

- Po prostu zrobmy, co trzeba, dobra? - wycedził Matt przez zaciśnięte zęby.

Kiedy włączył latarkę, Bonnie starała się patrzeć wszędzie, tylko nie tam, gdzie nią świecił. Nie chciała oglądać tej trumny, nie robi tego. Wpatrywała się w kwiaty,

w serce ułożone z różowych róż. Na zewnątrz rozległ się grzmot.

- Ja otworzę... No już – mówił Stefano. Mimo swojego postanowienia Bonnie popatrzyła.

Trumna była biała, wyłożona blad różowym atłasem. Jasne włosy Sue błyszczały na tle jak włosy bajkowej śpiącej królowej. Ale Sue nie wyglądała jak uśpiona. Była zbyt blada, zbyt nieruchoma. Przypominała woskową lalkę.

Bonnie ostrożnie podeszła bliżej, nie odrywając spojrzenia od twarzy dziewczyny.

To dlatego tutaj jest tak zimno, pomyślała niemądrze. Żeby wosk się nie stopił. Ta myśl nieco ją uspokoiła.

Stefano wyciągnął rękę i dotknął różowej, zapiętej pod samą szyję bluzki Sue. Odpiął górny guzik.

- Och, na litość boską – szepnęła Bonnie oburzona.

- A twoim zdaniem po co tu jesteśmy? - syknął Stefano.

Ale zawahał się przy drugim guziku.

Bonnie przez chwilę patrzyła, a potem podjęła decyzję.

- Odsuń się – poleciała, a kiedy Stefano nie zareagował, odepchnęła go. Meredith podeszła bliżej i obie stanęły pomiędzy Sue a chłopakami. Porozumiały się wzrokiem.

Jeśli rzeczywiście trzeba będzie zdjąć bluzkę, to panowie wychodzą.

Bonnie rozpiniała małe guziczki, a Meredith świeciła latarką. Skóra Sue była równie woskowa w dotyku jak z wyglądu i zimna. Bonnie niezręcznie rozpięła bluzkę; pod spodem Sue miała białą koszulkę z koronkami. Potem zmusiła się, żeby osunąć włosy Sue z jej bladej szyi. Włosy były usztywnione lakierem.

- Żadnych ugryzień – stwierdziła, oglądając szyję Sue. Dumna była, że jej głos zabrzmiał niemal spokojnie.

- Śladu po ugryzieniach nie ma – przyznał Stefano dziwnym tonem. - Ale jest coś innego. Popatrzcie na to. - Wskazał nacięcie, blade, nieodróżniające się od reszty skóry, ale widoczne jako cienka linia biegnąca od obojczyka w stronę piersi. Ponad sercem. Stefano obrysował tę linię w powietrzu, a Bonnie zeszywniała, gotowa go uderzyć, jeśli odważy się dotknąć Sue.

- Co to jest? - spytała Meredith zdziwiona.

- Zagadka. - Stefano nadal miał dziwny głos. - Gdybym zobaczył taki ślad na ciele wampira, oznaczałby on, że wampir pozwolił napić się swojej krwi człowiekowi. Tak to się właśnie robi. Człowiek nie przegryzie skóry wampira, więc robimy takie nacięcie, jeśli chcemy się podzielić krwią. Ale

Sue nie była przecież wampirem.

- No jasne, że nie była! - prychnęła Bonnie. Próbo-
wała ignorować obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia.
Obrazy Eleny pochylającej się nad takim właśnie nacię-
ciem na skórze Stefano i przywierającej do niego ustami,
pijącej...

Zadrżała i zdała sobie sprawę z tego, że zacisnęła po-
wieki.

- Czy jeszcze coś musimy oglądać? - spytała, otwiera-
jąc oczy.

- Nie, wystarczy.

Bonnie pozapinała guziki. Ułożyła włosy Sue. A potem,
kiedy Meredith i Stefano zamykali wieko trumny, szybko
wyszła z sali. Stała przy drzwiach, obejmując się ramio-
nami.

Ktoś lekko dotknął jej łokcia. To był Matt.

- Jesteś twardsza, niż się zdaje – szepnął.

- Tak, no cóż... - Spróbowała wzruszyć ramionami.

A potem nagle rozplakała się, okropnie się rozkleiła. Matt
ją objął.

- Ja rozumiem – powiedział. Tylko tyle. Żadnych „nie

płacz” ani „nie przejmuj się”, ani „wszystko będzie dobrze”. Tylko: „rozumiem”. Głos miał smutny tak, jak jej samej było smutno.

- Oni jej spryskali włosy lakierem – szlochała. - Sue nigdy nie używała lakieru. To straszne. - W jakiś sposób ten lakier był najgorszy ze wszystkiego.

Matt ją po prostu przytulił.

Po chwili oddech Bonnie się uspokoił. Przekonała się, że niemal boleśnie mocno przytuliła się do Matta i teraz rozluźniła uścisk.

- Zmoczyłam ci całą koszulę – wymamrotała przeproszająco i pociągnęła nosem.

- Nic się nie stało.

Jego głos sprawił, że cofnęła się o krok i spojrzała na niego. Wyglądał jak wtedy na szkolnym parkingu. Taki zagubiony, taki... bezradny.

- Matt, o co chodzi? - szepnęła. - Powiedz, proszę.

- Już ci mówiłem. - Spoglądał przed siebie, w przestrzeń. - Sue leży tam martwa, a tak być nie powinno. Sama tak powiedziałaś, Bonnie. Co to za świat, jeśli zdarzają się

takie rzeczy? Dziewczyna zostaje zabita dla czyjejś rozrywki, dzieci w Afganistanie głodują, małe foki odzierane są ze skóry żywcem! Jeśli taki jest świat, jakie znaczenie ma to wszystko? I tak nic się nie da zrobić. - Przerwał na moment. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie jestem pewna. - Bonnie nawet chyba nie chciała rozumieć. To było zbyt przerażające. Ale ogarnęła ją przemożna chęć, żeby go jakoś pocieszyć, żeby jego oczy straciły ten wyraz. - Matt, ja...

- Już po wszystkim – odezwał się za ich plecami Stefano.

Kiedy Matt spojrział w stronę tego głosu, wyglądał na jeszcze bardziej zagubionego.

Czasami wydaje mi się, że nas wszystkich czeka straszny koniec – powiedział Matt, odsuwając się od Bonnie, ale nie wyjaśnił dokładniej, co miał na myśli. - Jedźmy stąd.

Rozdział 7

Stefano z ociąganiem zbliżał się do narożnego domu, zupełnie jakby się bał tego, co tam zastanie. Prawie spodziewał się, że Damon do tej pory już opuścił swój posterunek. Pewnie okazał się idiotą, polegając na Damonie.

Ale kiedy wszedł do ogrodu na tyłach domu, pomiędzy drzewami orzecha dostrzegł jakiś ruch. Wzrokiem przystosowanym do widzenia w ciemności obrzucił sylwetkę opartą o pień drzewa.

- Nie śpieszyłeś się z powrotem.

- Musiałem ich bezpiecznie odstawić do domu. I musiałem się najeść.

- Zwierzęca krew – prychnął Damon z pogardą, nie odrywając oczu od maleńkiej czerwonej plamki na T-shircie Stefano. - Sądząc po zapachu, królik. W sumie to całkiem na miejscu, prawda?

- Damon... Bonnie i Meredith też dałem werbenę.

- Mądry ruch – rzucił Damon znacząco i wyszczerzył zęby.

Stefano ogarnęła znajoma irytacja. Dlaczego Damon zawsze musiał być taki trudny? Rozmowa z nim przypomnia-

ła spacer po polu minowym.

- Pójdę sobie teraz – ciągnął Damon, przerzucając kurtkę przez ramię. - Mam własne sprawy do załatwienia. - Rzucił bratu olśniewający uśmiech przez ramię. - Nie czekaj na mnie z kolacją.

- Damon... - Damon na wpół obrócił się, nie patrząc, ale nasłuchując. - Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to żeby jakaś dziewczyna w tym mieście zaczęła krzyczeć: „Wampir!” - powiedział Stefano. - Albo mieć ślady ugryzienia. Ci ludzie już przez to przeszli, nie są ignorantami.

- Postaram się o tym pamiętać. - Zostało to powiedziane ironicznie, ale jeszcze nigdy w życiu Stefano nie usłyszał od brata, czegoś bliższego obietnicy.

- Aha, i Damon?

- Co znowu?

- Dziękuję.

Tego było już za wiele. Damon obrócił się na pięcie, a oczy miał zimne i wrogie jak oczy obcego człowieka.

- Lepiej niczego ode mnie nie oczekuj, braciszku - ostrzegł. - Bo za każdym razem się pomylisz. I nie próbuj sobie wyobrazić, że dam sobą manipulować. Te trzy ludzkie

stworzenia mogą się z tobą snuć, ale nie licz, że ja też będę. Jestem tu ze swoich własnych powodów.

Znikł, zanim Stefano zdążył odpowiedzieć zresztą to i tak nie miało znaczenia. Damon nigdy nie słuchał tego, co brat do niego mówił. Damon nawet nigdy się do niego nie zwracał po imieniu. Zawsze tylko pogardliwie: „braciszku”.

A teraz Damon pewnie postanowił udowodnić mi, że nie można na nim polegać, pomyślał Stefano. Cudownie. Pewnie robi teraz coś okropnego, żeby udowodnić, do czego jest zdolny.

Znużony Stefano oparł się o drzewo i spojrzał w nocne niebo. Próbował myśleć o najpilniejszym problemie, o tym, czego się dziś wieczorem dowiedział. Opis zabójcy, który podała mu Vickie. Wysoki, jasnowłosy, niebieskooki, myślał. Kogoś mu to przypominało. Kogoś, kogo nie spotkał, ale o nim słyszał...

Bez sensu. Nie mógł się skupić na tej zagadce. Był zmęczony, czuł się samotny i bardzo potrzebował wsparcia. A brutalna prawda była taka, że od nikogo tego wsparcia nie mógł oczekiwać.

Eleno, pomyślał. Okłamałaś mnie.

To była ta jedna rzecz, przy której się upierała, jedyna, którą mu zawsze obiecywała. „Stefano. Cokolwiek się zdarzy, ja będę przy tobie. Powiedz mi, że w to wierzysz.” A on odpowiadał, będąc całkowicie pod jej urokiem: „Och, Eleno, wierzę ci. Cokolwiek się stanie, będziemy razem.”

Ale ona go opuściła. Może nie z własnej woli, ale czy koniec końców to ma jakieś znaczenie? Odeszła.

Chwilami jedyne, czego pragnął, to podążyć jej śladem.

Pomyśl o czymś innym, o czymkolwiek, powiedział sobie, ale było za późno. Raz uwolnione obrazy Eleny otoczyły go wirem, zbyt bolesne, żeby je móc znieść, zbyt piękne, żeby je od siebie odepchnąć.

Pierwszy raz, kiedy ją pocałował. Wstrząs oszałamiającej słodczy, kiedy ich usta się spotkały. A potem wstrząs po wstrząsie, ale na jakimś głębszym poziomie. Jakby sięgała do samego dna jego duszy, dna, o którym sam niemal zapomniał.

Przerażony poczuł wtedy, że już nie umie się bronić. Wszystkie jego tajemnice, odporność, wszystkie triki, za pomocą których trzymał innych od siebie na dystans – Elena przedarła się przez wszystkie zapory, obnażając jego bezbronność.

Obnażając jego duszę.

A na koniec okazało się, że tego właśnie chciał. Chciał, żeby Elena zobaczyła go bez tych wszystkich mechanizmów obronnych, bez zapór i murów. Chciał, żeby wiedziała, jaki jest.

Przerażające? Owszem. Kiedy w końcu odkryła jego tajemnicę, kiedy przyłapała go na pożywianiu się tym ptakiem, aż skulił się ze wstydu. Był pewien, że ona się od tej krwi na jego ustach odwróci z przerażeniem. Z obrzydzeniem.

Ale kiedy spojrzał w jej oczy, zobaczył w nich zrozumienie. Przebaczenie. I miłość.

Jej miłość go uleczyła.

I wtedy zrozumiał, że zawsze będą razem.

Inne wspomnienia napłynęły gwałtownie i Stefano poddał się im, chociaż ból szarpał go jak pazurami. Tamte wrażenia Uczucie, kiedy trzymał Elenę w ramionach, taką gibką. Kiedy jej włosy muskały mu policzek, lekkie jak skrzydełko ćmy. Łuk jej warg, ich smak. Niesamowity, głęboki błękit jej oczu.

Wszystko stracone. Wszystko już na zawsze poza jego zasięgiem.

Ale Bonnie udało się skontaktować z Eleną. Duch Eleny, jej dusza, była gdzieś w pobliżu.

Ze wszystkich to on powinien być w stanie ją przywołać. Miał przecież do swojej dyspozycji moc. I miał więcej praw niż ktokolwiek inny, żeby Eleny szukać.

Wiedział, jak ma to zrobić. Zamknąć oczy. Wyobrazić sobie osobę, którą chce się do siebie przyciągnąć. To było proste. Prawie widział Elenę, prawie jej dotykał, prawie wdychał jej zapach. Potem przywołać tę osobę, pozwolić, żeby tęsknota sięgnęła daleko. Otworzyć się i dać odczuć swoją potrzebę.

Nic łatwiejszego. Nie obchodziło go niebezpieczeństwo. Skoncentrował całą tęsknotę, cały ten ból, i wysłał je na poszukiwanie niczym modlitwę.

I... nic nie poczuł.

Tylko pustkę i samotność. Tylko milczenie.

Jego moc nie była taka sama jak ta, którą miała Bonnie. Nie potrafił się skoncentrować z jedyną istotą, którą ukochał, jedyną istotą, która coś dla niego znaczyła.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny.

- Czego potrzebujesz? - spytała Bonnie

- Jakichś informacji o Fell's Church. A zwłaszcza o założycielach miasta – powiedział Stefano. Siedzieli wszyscy w samochodzie Meredith, zaparkowanym w dyskretnej odległości za domem Vickie. Był już zmierzch następnego dnia i właśnie wrócili z pogrzebu Sue – wszyscy poza Stefano.

- To ma coś wspólnego z Sue, prawda? - Ciemnymi oczami, zawsze tak spokojnymi i inteligentnymi, Meredith wpatrywała się w Stefano. - Uważasz, że udało ci się rozwiązać zagadkę.

- Być może – przyznał. Przez cały dzień rozmyślał. Zapanował nad bólem, który czuł wczorajszego wieczoru. Chociaż nie udało mu się przywołać Eleny, chciał w jakiś sposób usprawiedliwić wiarę, jaką w nim pokładała – mógł zrobić to, o co poprosiła. A w działaniu była jakaś pociecha. W trzymaniu wszelkich emocji na wodzy. Dodał: - Mam pewien pomysł w związku z tym, co się mogło tutaj stać, ale to tylko strzał w ciemno i nie chcę o tym mówić, dopóki się nie upewnię.

- Ale dlaczego? - dociekała Bonnie. Co za kontrast

w porównaniu z Meredith, pomyślał Stefano. Włosy czerwone jak ogień i pasujące do nich usposobienie. Ale ta delikatna twarz w kształcie serca i jasna cera mogły być mylące. Bonnie była inteligentna i zaradna – nawet jeśli sama dopiero zaczynała w sobie te cechy odkrywać.

- Bo jeśli się mylę, to może ucierpieć niewinna osoba. Posłuchaj, na tym etapie to tylko hipoteza. Ale obiecuję, że jeśli dziś wieczorem znajdę jakieś dowody na jej poparcie, opowiem ci wszystko.

- Powinieneś pomówić z panią Grimesby – podsunęła Meredith – Jest bibliotekarką i wie mnóstwo o założeniu Fell's Church.

- No i zawsze pozostaje jeszcze Honoria – dodała Bonnie. - Była jedną z założycieli.

Stefano rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Myślałem, że Honoria Fell przestała się z tobą komunikować – powiedział ostrożnie.

- Ja nie mówię, że będę z nią rozmawiać. Przecież ona pfff!, wyparowała – sprostowała Bonnie z niesmakiem.

- Chodziło mi o jej pamiętnik. Jest w bibliotece, obok pamiętnika Eleny. Pani Grimesby trzyma je razem w gablotce

przy kontuarze do wydawania książek.

Stefano się zdziwił. Nie do końca podobała mu się myśl, że pamiętnik Eleny jest wystawiony na widok publiczny. Ale zapiski Honorii mogły się okazać dokładnie tym, czego szukał. Honoria była kobietą nie tylko mądrą, ale i dobrze obeznaną z paranormalnymi zjawiskami. Czarownicą.

- Biblioteka, niestety będzie już zamknięta – stwierdziła Meredith.

- To jeszcze lepiej – uznał Stefano. - Nikt nie dowie się, jakie informacje nas interesują. Dwoje z nas może tam pojechać i włamać się do biblioteki, a pozostała dwójka może tu zostać. Meredith, możesz jechać ze mną...

- Wolałabym zostać, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała. - Jestem zmęczona – dodała dla wyjaśnienia, widząc wyraz jego twarzy. - A w ten sposób mogę odsiedzieć tu swoje na warcie i wrócić wcześniej do domu. Może pojedziesz z Mattem, a my byśmy tu zostały z Bonnie?

Stefano wciąż się jej przyglądał.

- W porządku. O ile Mattowi to odpowiada. - Matt wzruszył ramionami. - No to uzgodnione. To nam zajmie ze dwie godziny albo i dłużej. Zostańcie w samochodzie i pozamykajcie drzwi. W ten sposób powinniście być bez-

pieczne. - Jeśli nie mylił się w swoich podejrzeniach, przez

jakiś czas nie będzie żadnych ataków – przynajmniej przez kilka dni. Bonnie i Meredith powinny być bezpieczne. Ale nie mógł się nie zastanawiać, co kryło się za propozycją Meredith. Na pewno nie zwykłe zmęczenie, co do tego nie miał wątpliwości.

- A przy okazji, gdzie Damon? - spytała Bonnie.

Stefano poczuł ucisk w żołądku.

- Nie wiem. - Czekał, aż ktoś zada to pytanie. Nie widział brata od poprzedniego wieczoru i nie miał pojęcia, gdzie Damon się podziewa.

- Pewnie się w końcu pojawi – powiedział i zamknął drzwi za Meredith. - Tego właśnie się obawiam.

Szli z Mattem do biblioteki w milczeniu, trzymając się mroku i unikając światła. Nie mógł sobie pozwolić, żeby go zobaczono. Stefano wrócił do Fell's Church nieść pomoc mieszkańcom miasta, ale pewien był, że nikt w mieście jego pomocy nie zechce. Znów był tu obcy. Był intruzem. Gdyby do złapali, zrobili by mu krzywdę.

Zamek w drzwiach biblioteki dał się łatwo otworzyć, to był prosty mechanizm zapadkowy. A pamiętnik znalazł

tam, gdzie zdaniem Bonnie powinny się znajdować.

Stefano z trudem powstrzymał się od sięgnięcia po pamiętnik Eleny. W środku były jej zapiski z ostatnich dni. Jeśli zacznie teraz o tym myśleć...

Skupił się na leżącej obok oprawionej w skórę księdze. Trudno było doczytać wyblakły atrament na jej pożółkłych kartkach, ale po paru minutach oczy mu się przyzwyczyły do drobnego, gęstego pisma ze skomplikowanymi zawijasami.

Była to historia Honorii i jej męża, którzy razem ze Smallwoodami i kilkoma innymi rodzinami przyjechali w tę okolicę, kiedy była jeszcze zupełnie dzika. Musieli wtedy walczyć nawet z dzikimi zwierzętami. Honoria

opisywała historię walki o przetrwanie prostymi i zrozumiałymi słowami, bez sentymentalizmu.

W pamiętniku Honorii Stefano znalazł to, czego szukał.

Czując, jak unoszą mu się włoski na karku, jeszcze raz uważnie przeczytał jeden zapis. Wreszcie wyprostował się i przymknął oczy.

A więc miał rację. A to znaczy, że nie mylił się co do na-

tury zdarzeń rozgrywających się ostatnio w Fell's Church. Na sekundę poczuł obrzydzenie i gniew, który kazał mu coś rozedrzeć, zniszczyć, kogoś skrzywdzić. Sue. Śliczna Sue, przyjaciółka Eleny, umarła dla... czegoś takiego. Dla krwawego rytuału obrzydliwej inicjacji. Na samą myśl miał ochotę zabić.

Furia szybko minęła zastąpiona determinacją, żeby zakończyć to, co się tutaj działo i znów zaprowadzić porządek.

Obiecuję ci to, szepnął do Eleny w myślach. Jakoś położę temu kres. Nieważne jak.

Podniósł oczy i zobaczył, że Matt go obserwuje.

Pamiętnik Eleny był w jego rękach, założony kciukiem. W tym momencie oczy Matta były tak samo błękitne jak oczy Eleny. Zbyt ciemne, pełne udreki, żalu i czegoś w rodzaju goryczy.

- Znalazłeś to – stwierdził Matt. - I sprawa wygląda kiepsko.

- Tak.

- Spodziewałem się tego. - Matt odłożył pamiętnik Eleny do gablotki. W jego głosie pobrzmiwała wręcz satysfakcja. Jak u kogoś, kto dowiódł, że ma rację.

- Mogłem ci oszczędzić fatygowania się tutaj. - Matt rozejrzał się po pogrążonej w półmroku bibliotece, po-

brzękując drobnymi w kieszeni. Postronny obserwator mógłby uznać, że chłopak jest odprężony, ale głos go zdradzał.

Był aż ochrypły z napięcia. - Wystarczy sobie wyobrazić co tylko najgorsze i zawsze się okaże, że to prawda - powiedział.

- Matt... - Stefano ogarnął nagły niepokój o chłopaka. Od chwili powrotu do Fell's Church był za bardzo zaabsorbowany tym, co się wydarzyło w domu Caroline, żeby przyjrzeć się Mattowi. Teraz zrozumiał własną niewybaczalną głupotę. Coś tu było strasznie nie w porządku. Matt był strasznie spięty. A w jego myślach Stefano wyczuwał cierpienie i rozpacz.

- Matt, co się dzieje? - spytał cicho. Podszedł do chłopaka. - Chodzi o coś, co zrobiłem?

- Nic mi nie jest.

- Trzęsiesz się. - To była prawda. Jego mięśnie leciutko drżały.

- Mówiłem, że nic mi nie jest! - Matt odwrócił się od niego, w obronnym geście skulił ramiona. - A w każdym razie, niby czym ty mógłbyś mnie zmartwić? To znaczy poza tym, że mi odebrałeś dziewczynę i potem pozwoliłeś jej

zginać?

To był celny cios, trafił w samo serce. Jak ostrze szpady, które go już raz kiedyś zabiło. Usiłował mimo wszystko oddychać, ale nie odważył się nic powiedzieć.

- Przepraszam. - Matt oddychał z trudem, a kiedy Stefano uniósł wzrok, zobaczył jego zgarbione ramiona. - To były wredne słowa.

- Taka była prawda. - Stefano odczekał chwilę, a potem dodał spokojnie: - Ale to nie jedyny problem, prawda?

Matt nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę. Dopiero kiedy Stefano zamierzał już dać za wygraną, on zwrócił się do niego z pytaniem.

- Jaki jest naprawdę ten świat?

- Jaki jest... co?

- Ten świat. Znasz świat dużo lepiej niż ktokolwiek z nas, Stefano. Jesteś cztery czy pięć stuleci do przodu, prawda? No więc, o co w tym wszystkim chodzi? Czy to w ogóle jest miejsce, które warto próbować ratować, czy w sumie to tylko jedna wielka kupa łajna?

Stefano przymknął oczy.

- Ach.

- I co z ludźmi, Stefano, ha? Z ludzką rasą. Czy jesteśmy chorobą czy tylko jej objawem? Znaczący weźmy kogoś takiego jak... Jak Elena. - Głos Matta nieco zadrżał, ale chłopak ciągnął: - Elena zginęła, żeby dziewczyny takiej jak Sue były w Fell's Church bezpieczne. A teraz Sue nie żyje. Historia się powtarza. To się nigdy nie skończy. Nie możemy wygrać. No więc jaki jest z tego wniosek?

- Matt...

- Ja chcę zapytać, po co to wszystko? Czy to jakiś jeden wielki kosmiczny dowcip, którego nie chwytam? A może to wszystko to tylko wielka cholerna pomyłka? Rozumiesz, co ci usiłuję powiedzieć?

- Rozumiem, Matt. - Stefano usiadł i przeczesał dłońmi włosy. - A jeśli się na moment zamkniesz, spróbuję ci odpowiedzieć.

Matt przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Super. No to wal śmiało. - Spojrzenie miał twarde, wyzywające, ale pod tym spojrzeniem Stefano wyczuwał od dawna doskwierające mu poczucie krzywdy i zagubienie.

- Matt, widziałem wiele zła, więcej, niż możesz sobie wyobrazić – zaczął Stefano. - Sam czyniłem zło. Zawsze będzie częścią mnie, niezależnie jak się staram z nim walczyć. Czasami wydaje mi się, że cała ludzka rasa jest zła, a co

dopiero mówić o mnie. A czasami wydaje mi się, że w ludziach i wampirach jest dość zła, żeby to, co dotyczy reszty, nie miało już znaczenia.

- Ale kiedy się nad tym głębiej zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że nie wiem o wiele więcej niż ty. Nie umiem ci powiedzieć, czy to wszystko ma jakiś sens ani czy wszystko kiedyś dobrze się skończy. - Stefano spojrzał Mattowi w oczy i ciągnął z namysłem: - Ale mam kolejne pytanie do ciebie. I co z tego?

Matt wytrzeszczył oczy.

- Co z tego?

- No właśnie. Co z tego?

- Co z tego, że wszechświat jest zły, a my nic nie możemy zrobić, żeby był lepszy? - Matt podniósł głos, w miarę jak rosło jego zdumienie.

- Tak, co z tego? - Stefano pochylił się w jego stronę. - I co ty, Matt Honeycutt, zrobisz, jeśli wszystkie złe rzeczy, które ci powiedziałem, są prawdą? Co zrobisz ty sam? Przestaniesz walczyć i będziesz krakał jak reszta wron?

Matt przytrzymał się poręczy krzesła.

- O czym ty mówisz?

- Bo wiesz, możesz. Damon ciągle mi to powtarza. Możesz dołączyć do złej strony, do strony wygrywającej. I nikt tak naprawdę nie będzie cię mógł winić, bo jeśli taki jest świat, to dlaczego ty też nie miałbyś taki być?

- I co jeszcze, do diabła? - wybuchł Matt. Jego błękitne oczy płonęły i zerwał się z krzesła. - Może taka jest droga Damona! Ale jeśli nawet sprawa jest przegrana, to jeszcze nie powód, żeby przestać walczyć. Nawet wiedząc, że jest beznadziejna, musiałbym próbować. Muszę próbować, do cholery!

- Wiem. - Stefano lekko się uśmiechnął. To był uśmiech pełen znużenia, ale i tak zdradzał więź, jaką odczuwał w tej chwili z Mattem. I po chwili dostrzegł na twarzy Matta zrozumienie.

- Wiem, bo odbieram to tak samo – ciągnął Stefano. - Nie ma usprawiedliwienia dla tych, którzy dają za wygraną

tylko dlatego, że sprawa wydaje się beznadziejna. Musimy próbować, bo inne wyjście to się poddać.

- Ja nie jestem gotowy, żeby się poddać niczemu – wycedził Matt przez zęby. Wyglądał, jakby odkrył w sobie ogień, który zawsze płonął w głębi jego duszy. - Nigdy - powiedział.

- No cóż, „nigdy” to dosyć długo – stwierdził Stefano.

- Ale jeśli chodzi o mnie, też się nie poddam. Nie wiem, czy to możliwe, ale będę próbował.

- Przynajmniej tyle można zrobić – Matt odetchnął z ulgą. Powoli wstał z krzesła. Nie był już taki spięty, a oczy były tymi czystymi, niemal przeszywająco błękitnymi oczami, które pamiętał Stefano.

- Dobra – powiedział cicho. - Jeśli znalazłeś, po co tu przyjechałeś, to lepiej wracajmy już do dziewczyn.

Stefano zastanowił się, przestawił na inny tor myślenia.

- Matt, jeśli mam rację co do tego, co tu się dzieje, dziewczyny przez jakiś czas powinny być bezpieczne. Ale jedź tam i przejmij od nich wartę. Skoro już tu jestem, chciałbym przeczytać coś jeszcze – coś, co napisał facet imieniem Gervase z Tilbury, który żył na początku XIII wieku.

- Jeszcze nawet przed twoimi czasami, he? - zagadnął Matt, a Stefano posłał mu słaby uśmiech. Przez moment stali, patrząc na siebie.

- Okej, zobaczymy się pod domem Vickie. - Matt już był przy drzwiach, ale nagle zawrócił i wyciągnął rękę. - Stefano... Cieszę się, że wróciłeś.

Stefano uściskał podaną mu dłoń.

- Miło mi to słyszeć. - Tylko tyle powiedział, ale poczuł ciepło, które złagodziło szarpiący nim ból.

Samotność częściowo zresztą też

Rozdział 8

Siedząc w samochodzie, Bonnie i Meredith ledwie widziały okno Vickie. Lepiej byłoby może zaparkować bliżej, ale wtedy ktoś mógłby je zauważyć.

Meredith wypila resztę kawy z termosu, potem ziewnęła. Z poczuciem winy spróbowała to ziewanie opanować i zerknęła na Bonnie.

- Ty też źle sypiasz w nocy?

- Owszem. Nie mam pojęcia dlaczego – powiedziała Meredith.

- Myślisz, że faceci ucieli sobie pogawędkę?

Meredith spojrzała na nią, wyraźnie zaskoczona, a potem się uśmiechnęła. Bonnie zrozumiała, że Meredith nie spodziewała się, że ktoś przejrzy jej manewr.

- Mam taką nadzieję – przyznała Meredith. - To może Mattowi dobrze zrobić.

Bonnie pokiwała głową i umościła się wygodniej na siedzeniu. Samochód Meredith jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak przytulny.

Kiedy znów spojrzała na Meredith, przyjaciółka spała.

No to super. Świetnie. Bonnie spojrzała na fusy w swoim kubku i się skrzywiła. Nie śmiała znów się zre-

laksować, jeśli obie zasną, to by się mogło fatalnie skończyć. Wbiła paznokcie w dłonie i spojrzała w oświetlone okno Vickie.

Ale przekonała się, że obraz przed jej oczami zamazuje się i że widzi podwójnie, i zrozumiała: koniecznie musi coś zrobić.

Świeże powietrze. Powinno pomóc. Nawet niespecjalnie starając się zachowywać cicho, otworzyła drzwi z głośnym kliknięciem, ale Meredith nadal spała.

Musi być naprawdę zmęczona, pomyślała Bonnie, wysiadając. Zatrzasnęła drzwi, zamykając Meredith w samochodzie. I dopiero wtedy dotarło do niej, że nie dostanie się do auta, nie ma kluczyków.

No dobrze, więc obudzi Meredith. A tymczasem sprawdzi, co u Vickie. Vickie pewnie jeszcze nie śpi.

Niebo było zachmurzone, ale noc ciepła. Gałęzie rosnących za domem orzechów włoskich poruszały się ledwie dostrzegalnie. Grały koniki polne, ale ich monotonne cykanie wydawało się tylko podkreślać głęboką ciszę.

Bonnie poczuła zapach kapryfolium. Delikatnie zastu-

kała do okna Vickie, zaglądając przez szparę między zasłanami.

Żadnej reakcji. Na łóżku widziała koc i wystające z niego potargane jasnobrązowe włosy. Vickie też spała.

Stojąc tam, Bonnie miała wrażenie, że cisza wkoło niej gęstnieje. Świerszcze już nie cykały, a drzewa zamarły w bezruchu. A przecież czuła, że wyteżając słuch, usłyszałaby coś, co tam jest, była tego pewna.

Nie jestem tu sama, zrozumiała.

Nie powiedział jej tego żaden z normalnych zmysłów. Ale ten szósty, ten który sprawiał, że zimny dreszcz przebiegł jej ramiona i plecy, ten który od niedawna wyczuł się na obecność mocy, jednoznacznie wskazywał, że coś... było... blisko. Coś ją... obserwowało.

Odwróciła się powoli, starając się nie hałasować. Jeśli uda jej się zachowywać bezszelestnie, może to coś jej nie dopadnie. Może jej nie zauważy.

Cisza stała się ciężka, groźna. Dzwoniła jej w uszach szumem własnej krwi. I Bonnie nie mogła nie wyobrazić sobie, co za moment z tej ciszy wyskoczy na nią z wrzaskiem.

Coś z gorącymi, wilgotnymi łapami, pomyślała, wpatrując się w mrok ogrodu. Widziała tylko czerń na tle sza-

rości, czerń na tle czerni. Każdy kształt mógł być czymkolwiek innym, a cienie jakby się poruszały. Coś z gorącymi, wilgotnymi łapami i ramionami dość silnymi, żeby ją zmiażdżyć...

Odgłos łamanej gałązki odebrała jak wystrzał z karabinu.

Obróciła się w tamtą stronę, wyęzając słuch. Ale otaczały ją tylko mrok i cisza.

Czyjeś palce dotknęły jej karku.

Bonnie znów obróciła się na pięcie. Omal nie upadła i omal nie zemdlała. Była za bardzo przerażona, żeby krzyknąć. Kiedy zobaczyła kto to, poczuła ogromną ulgę. Osunęłaby się na ziemię, gdyby jej nie złapał i nie podtrzymał.

- Chyba się wystraszyłaś – powiedział cicho Damon.

Bonnie pokręciła głową. Jeszcze nie odzyskała głosu. Miała wrażenie, że może zaraz zemdleć. Ale próbowała się pozbierać.

Nie zacisnął ręki, ale też nie rozluźnił uścisku. A szarpnięcie się z nim dawało takie same szanse powodzenia co rozbijanie muru gołymi dłońmi. Nie wyrywała się i próbowała uspokoić oddech.

- Boisz się mnie? - spytał Damon. Uśmiechnął się z dezaprobatą, jakby dzieląc z nią ten wstydlivy sekret. - Nie trzeba.

Jakim cudem Elena stawiała temu czemuś czoła? Ale Elena, oczywiście, nie musiała – zdała sobie sprawę Bonnie. Elena w końcu poddała się Damonowi. Damon wygrał i mógł robić, co chciał.

Puścił jej ramię, żeby, bardzo delikatnie, obrysować jej górną wargę.

- Chyba powinienem sobie pójść – stwierdził – i już cię więcej nie straszyć. Czy tego właśnie chcesz?

Jak wąż i królik, pomyślała Bonnie. Więc królik tak się musi czuć. Tylko że on chyba nie zamierza mnie zabijać. Ale i tak mogę wyzionąć ducha. Czuła, jakby za chwilę nogi mogły się pod nią ugiać, jakby mogła osunąć się na ziemię. Cała drżała.

Wymyśl coś... szybko. Te nieprzeniknione czarne oczy przesłaniały w tej chwili cały wszechświat. Miała wrażenie, że dostrzega w nich gwiazdy. Myśl. No już.

Elenie to by się nie spodobało, pomyślała, kiedy ją pocałował. Tak, no właśnie. Ale problem w tym, że nie miała

dość siły, żeby te słowa wypowiedzieć. Robiło jej się coraz bardziej gorąco, fala ciepła rozchodziła się od palców u rąk po piąty stóp. Wargi miał chłodne jak jedwab, ale wszystko inne wydawało się takie ciepłe. Nie musiała się bać, wystarczy tylko odprężyć się i cieszyć tym, co się dzieje. Ogarnęła ją słodycz.

- Co tu się dzieje, do diabła?

Głos naruszył ciszę, przerwał czary. Bonnie drgnęła i przekonała się, że może obrócić głowę. Matt stał na skraju ogrodu, dłonie zacisnął w pięści, a oczy miał jak okruchy błękitnego lodu. Lodu tak zimnego, że aż mógłby sparzyć.

- Odsuń się od niej – powiedział Matt.

Ku zdziwieniu Bonnie Damon wypuścił ją z ramion. Odsunęła się, poprawiając bluzkę, nieco zdyszana. Odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Nic mi nie jest – odezwała się do Matta prawie normalnym tonem. - Ja tylko...

- Wracaj do samochodu i nie wychodź stamtąd.

No nie, chwileczkę, pomyślała Bonnie. Ucieszyła się, że Matt się pojawił, w odpowiedniej chwili im przeszkodził. Ale trochę zaczynał przesadzać z wcielaniem się w rolę opiekuńczego starszego brata.

- Posłuchaj, Matt...

- Idź do samochodu – polecił stanowczo, wciąż patrząc na Damona.

Meredith nie pozwoliłaby, żeby ktoś tak nią komendował. No a Elena to już na pewno. Bonnie otworzyła usta, żeby powiedzieć Mattowi, że samo może sobie iść posiedzieć w samochodzie, ale nagle coś do niej dotarło.

A mianowicie, że po raz pierwszy od miesiący widziała, żeby Matt naprawdę się czymś przejął. W jego błękitnych oczach znów pojawiło się światło – ten błysk słusznego gniewu, który nawet Tylera Smallwooda zmuszał do wycofania się. Matt odżył i był pełen energii. Znowu był sobą.

Bonnie przygryzła wargę. Przez moment walczyła z własną dumą. A potem ją zdusiła i opuściła oczy.

- Dzięki, że mnie wyratowałeś – mruknęła i wyszła z ogrodu.

Matt był taki wściekły, że nie odważył się podejść bliżej do Damona w obawie, że może się na niego rzucić. A chłód w oczach Damona mówił mu, że to może być kiepski pomysł.

Ale Damon odezwał się prawie obojętnie:

- Wiesz, moje upodobania do smaku krwi to nie jest tylko kaprys. To potrzeba, którą właśnie zakłócasz. Robię tylko to, co muszę.

Tej bezdusznej obojętności Matt znieść już nie mógł. Jesteśmy dla nich pokarmem, przypomniał sobie. To łowcy, a my jesteśmy zwierzyną. Damon miał w swoich szponach Bonnie. Bonnie, która nie poradziłaby sobie z kotakiem.

Odezwał się z pogardą:

- No to czemu nie weźmiesz się do kogoś równego sobie?

Damon uśmiechnął się i powiało chłodem.

- Na przykład ciebie?

Matt spojrzał na niego. Czuł, jak zaciskają mu się mięśnie szczęki. Po chwili odpowiedział sztywno:

- Możesz spróbować.

- Mogę nie tylko spróbować, Mat. - Damon zrobił krok w jego stronę, jak skradająca się pantera. Mattowi przyszły na myśl drapieżne koty z dżungli, ich długie skoki i ostre, rozszarpujące zwierzynę zęby. Pomyślał o tym, jak Tyler wyglądał w szopie z falistej blachy w zeszłym roku, kiedy Stefano

z nim skończył. Jak czerwone mięso. Czerwone, krwawe mięso.

- Jak się nazywał tamten nauczyciel historii? - spytał Damon głosem jak jedwab. Wydawał się rozbawiony, chętny do żartów. - Pan Tanner, prawda? Z nim nie tylko próbowałem.

- Jesteś mordercą.

Damon skinął głową nieurazony, jakby właśnie został komuś przedstawiony.

- Oczywiście, ugodził mnie nożem. Nie planowałem, że go wypiję do sucha, ale rozzłościł mnie i zmieniłem zdanie. Zaczynasz mnie właśnie złościć, Matt.

Matt użył całej siły woli, żeby nie rzucić się do ucieczki. Chodziło o coś więcej niż tylko o koci wdzięk, więcej niż o czarne oczy, nie z tego świata. W duszy Damona kryło się coś, co budziło w ludziach przerażenie. Jakaś groźba, która przemawiała bezpośrednio do krwi Matta, nakazując mu uciekać.

Ale nie chciał uciekać. Rozmowa ze Stefano już się w tej chwili jakoś zatarła w jego myślach, ale jedno z niej zapamiętał. Nawet jeśli ma tu umrzeć, nie będzie uciekał.

- Nie bądź głupi – powiedział Damon, jakby słyszał każde słowo z myśli Matta. - Jeszcze nigdy nikt cię nie pił

siłą, prawda? To boli, Matt. Bardzo boli.

Elena, przypomniał sobie Matt. Kiedy po raz pierwszy piła jego krew, był przerażony i ten strach był wystarczająco okropny. Ale wtedy zgodził się, by Elena piła jego krew. Jak to jest, kiedy się tego nie chce?

Nie uciekną. Nie odwrócę wzroku.

A na głos powiedział, nadal wpatrując się w Damona:

- Jeśli chcesz mnie zabić, lepiej przestań gadać i zrób to. Bo możesz mnie zabić, ale to wszystko, co mi możesz zrobić.

- Jesteś jeszcze głupszy niż mój brat – stwierdził Damon. Dwoma susami przesadził odległość dzielącą go od Matta. Złapał chłopaka za T-shirt. - Chyba będę ci musiał dać podobną nauczkę.

Wszystko zamarło. Matt czuł zapach własnego strachu, ale nawet nie drgnął. Teraz już nie mógł się wycofać.

Zresztą to bez znaczenia. Nie poddał się. Jeśli ma teraz umrzeć, umrze z tą świadomością.

Zęby Damona połyskiwały bielą w mroku. Ostre jak rzeźnicze noże. Matt prawie czuł ich ostre jak żyłeczka krawędzie, zanim go dotknęły.

Nie poddam się za nic, pomyślał i zamknął oczy.

Szarpnięcie sprawiło, że stracił równowagę. Potknął się przewrócił na plecy, szeroko otwierając oczy. Damon puścił go i odepchnął od siebie.

Spojrzał na Matta pozbawionymi wyrazu oczyma.

- Spróbuję ująć to w taki sposób, żebyś zrozumiał - ostrzegł. - Matt, nie chcesz ze mną zadzierać. Jestem o wiele bardziej niebezpieczny, niż możesz sobie wyobrazić. A teraz wynoś się stąd. To moja warta.

Matt wstał w milczeniu. Poprawił podkoszulek i odszedł powoli, ale nie unikał spojrzenia Damona.

Wygrałem, pomyślał. Jeszcze żyję, a więc wygrałem.

A na koniec w czarnych oczach Damona dostrzegł coś w rodzaju szacunku. To dało Mattowi do myślenia. I to dużo.

Bonnie i Meredith siedziały w samochodzie, kiedy wrócił. Obie miały zatroskane miny.

- Bardzo długo cię nie było – powiedziała Bonnie. -
Nic ci nie jest?

Matt wolałby, żeby ludzie przestali go wreszcie o to pytać.

- Nic mi nie jest – uspokoił ją, a potem dodał: -

Naprawdę. - Po chwili zastanowienia uznał, że powinien powiedzieć jeszcze coś. - Przepraszam, że na ciebie narzeszczałem, Bonnie.

- Nic nie szkodzi – odparła Bonnie chłodno. A potem dodała trochę cieplejszym tonem: - Wiesz, rzeczywiście lepiej wyglądasz. Bardziej przypominasz siebie.

- Tak? - Potarł dłońmi pognieciony podkoszulek i rozejrzył się wkoło. - No cóż, spędzanie czasu z wampirami jest widać znakomitą rozgrzewką.

- A co robiliście? Rozpędzaliście się z przeciwnych krańców ogrodu i wpadaliście na siebie z byka? - chciała wiedzieć Meredith.

- Mniej więcej. Mówił, że teraz on popilnuje Vickie.

- Myślisz, że możemy mu zaufać? - spytała Meredith z powagą.

Matt się zastanowił.

- W sumie tak. To dziwne, ale moim zdaniem on jej nie skrzywdzi. A jeśli napatoczy się ten morderca, to chyba czeka go niespodzianka. Damon aż się pali do bójki. Równie dobrze możemy wracać do biblioteki po Stefano.

Pod biblioteką go nie zobaczyli, ale kiedy samochód raz

a potem drugi przejechał powoli ulicą, Stefano nagle wyłonił się z ciemności. Miał ze sobą grubą książkę.

- Włamanie z wtargnięciem i kradzież książki z biblioteki – stwierdziła Meredith. - Ciekawe, ile się za to teraz dostaje?

- Pożyczyłem ją sobie – powiedział Stefano z urażoną miną. - Przecież od tego są biblioteki? No i wypisałem sobie to, co chciałem, z pamiętnika.

- Chcesz powiedzieć, że znalazłeś? Wiesz, o co chodzi? No to opowiedz nam wszystko, jak obiecałeś – ponagliła go Bonnie. - Jedźmy do pensjonatu.

Stefano zdziwił się, kiedy usłyszał, że Damon pojawił się i zmienił ich na warcie przed domem Vickie, ale nie skomentował tego ani słowem. Matt nie opowiedział mu, w jaki sposób Damon się pojawił, i zauważył, że Bonnie też się do tego nie rwie.

- Już prawie wiem, co się dzieje w Fell's Church. W każdym razie rozwiązałem połowę zagadki – uściślił Stefano, kiedy rozgościli się na poddaszu pensjonatu. - Ale można tego dowieść tylko w jeden sposób i tylko w jeden sposób da się rozwiązać pozostałą część zagadki. Potrzebuję

pomocy, ale trudno mi o nią prosić tak od niechcienia. -

Mówiąc to, spojrział na Bonnie i Meredith.

- Ten facet zabił naszą przyjaciółkę – oświadczyła Meredith. - Druga o mało nie oszalała. Jeśli potrzebujesz naszej pomocy, możesz na nią liczyć.

- Chodzi o coś niebezpiecznego, tak? - spytał ostro Matt. Nie mógł się opanować. Jakby Bonnie jeszcze za mało przeszła...

- Tak, to niebezpieczne. Ale to również ich walka, wiesz.

- Dokładnie tak, do diabła! - powiedziała Bonnie. Wi-
dać było, że Meredith próbuje stłumić uśmiech. Wreszcie odwróciła głowę i wtedy uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wrócił dawny Matt – wyjaśniła, kiedy Stefano spytał, co ją tak cieszy.

- Tęskniłyśmy za tobą – dodała Bonnie. Matt nie bardzo rozumiał, czemu wszyscy się do niego uśmiechają, zrobiło mu się zresztą od tego gorąco i poczuł się niewyraźnie. Podszedł do okna.

- To jest niebezpieczne. Nie będę próbował wam tu

ściemniać – powiedział Stefano do dziewczyn. - Ale to nasza jedyna szansa. Wszystko trochę się skomplikowało i lepiej będzie, jeśli zacznę od początku. Musimy zacząć od założenia Fell's Church...

Mówił jeszcze długo w noc.

Czwartek, 11 czerwca, 7.00

Drogi Pamiętniku

nie mogłam pisać wczoraj wieczorem, bo wróciłam za późno. Mama znów się zdenerwowała. Dostałaby hysterii, gdyby wiedziała, co naprawdę robiła. Że wąsałam się z wampirami i planowałam coś, w trakcie czego mogę zginąć. Wszyscy możemy zginąć.

Stefano wymyślił pewien plan, że zwabić w pułapkę faceta, który zabił Sue. Przypomina mi to jeden z planów Eleny, i właśnie to mnie niepokoi. One zawsze brzmiały świetnie, ale dość często nie wypalały.

Rozmawialiśmy o tym, kto weźmie na siebie najbardziej niebezpieczne zadanie i zdecydowaliśmy, że Meredith. Ja nie mam nic przeciwko, to znaczy ona jest silniejsza i bardziej wysportowana, i zawsze w trudnych sytuacjach zachowuje spokój. Ale trochę mnie drażni, że wszyscy tak szybko zdecydowali, że właśnie ona,

a zwłaszcza Matt. To znaczy ja przecież nie jestem zupełnie do niczego. Wiem, że nie jestem tak bystra jak inni, i na pewno nie tak wytrenowana i w sytuacjach

podbramkowych tracę panowanie nad sobą, ale przecież nie jestem totalnie beznadziejna. Do czegoś się nadaję.

W każdym razie mamy zamiar zrobić to po zakończeniu roku szkolnego. Wszyscy weźmiemy udział w uroczystości, poza Damonem, który będzie pilnował Vickie. To dziwne, ale teraz wszyscy mu ufamy. Nawet ja. Mimo tego, co próbował ze mną zrobić wczoraj wieczorem. Moim zdaniem on raczej nie skrzywdzi Vickie.

Elena już mi się nie śniła. Jeśli znów mi się przyśni, chyba zwariuję i zacznę krzyczeć. Albo już nigdy nie zdołam zasnąć. Po prostu nie mam już na to siły.

No dobrze, pora iść. Mam nadzieję, że do niedzieli rozwiążemy zagadkę, a zabójca zostanie złapany. Ufam Stefano.

Mam tylko nadzieję, że nie zapomnę swojej roli.

Rozdział 9

Panie i panowie, prosimy pogratulować rocznikowi dziewięćdziesiąt dwa!

Bonnie rzuciła swój biret w powietrze razem ze wszystkimi. Udało nam się, pomyślała. Cokolwiek nas czeka dziś wieczorem, przynajmniej Mattowi, Meredith i mnie udało się skończyć szkołę. W czasie tego ostatniego roku szkolnego zdarzały się momenty, że naprawdę w to wątpiła.

Ze względu na śmierć Sue Bonnie spodziewała się, że ceremonia zakończenia roku szkolnego będzie ponura. Ale tak nie było. Dało się wyczuć tylko nienaturalne ożywienie. Jakby wszyscy cieszyli się z tego, że żyją... jeszcze.

Zrobiło się głośno kiedy rodzice podeszli, a uczniowie maturalnej klasy Liceum imienia Roberta E. Lee rozeszli się we wszystkie strony, pokrzykując i się wygłupiając. Bonnie odnalazła swój biret, a potem spojrzała w obiektyw aparatu fotograficznego matki.

Zachowuj się normalnie, to bardzo ważne, przykazała sobie. Kątem oka dostrzegła ciocię Judith i Roberta Maxwella,

za którego ciocia Eleny niedawno wyszła, stali nieco na uboczu. Robert trzymał za rączkę młodszą siostrzyczkę Eleny, Margaret. Kiedy zobaczyli Bonnie, uśmiechnęli się do niej dzielnie, ale poczuła się niezręcznie, kiedy skierowali się w jej stronę.

- Och, proszę pani... Nie powinni byli państwo... - wymamrotała kiedy ciocia Judith wręczyła jej niewielki bukietik różowych róż.

Ciocia Judith uśmiechnęła się, chociaż w oczach miała łzy.

- To byłby bardzo ważny dzień dla Eleny – powiedziała.
- I chcę, żeby dla ciebie i Meredith też taki był.

- Och, ciociu Judith! - Impulsywnym gestem Bonnie rzuciła się kobiecie na szyję. - Tak strasznie mi przykro - szepnęła. - Wie pani jak bardzo.

- Wszyscy za nią tęsknimy – szepnęła ciocia Judith. A potem odsunęła się, uśmiechnęła i cała trójka odeszła. Bonnie popatrzyła za nimi, a potem odwróciła się ze ściśniętym gardłem i spojrzała na nienaturalnie rozbawiony tłum.

Widziała tam Raya Hernandeza, chłopaka, z którym poszła na bal, zapraszając potem wszystkich do niego do domu na imprezę. Kumpla Tylera, Dicka Cartera, który jak

zwykle robił z siebie głupka. Tyler szczerzył się bezczelnie do zdjęć, które pstrykał mu co chwilę ojciec. Matt słuchał z obojętną miną jakiegoś faceta, który chciał go zrekrutować

do drużyny futbolowej Uniwersytetu Mason. Meredith stała w pobliżu z melancholijną miną, z bukietem czerwonych róż w rękach.

Vickie nie było. Rodzice zatrzymali ją w domu, twierdząc, że nie jest w stanie się pokazać. Caroline też nie przyszła. Została w mieszkaniu, które wynajęli w Heron. Jej matka powiedziała matce Bonnie, że Caroline ma grypę, ale Bonnie wiedziała, że to nie prawda. Caroline się bała.

I być może ma rację, pomyślała Bonnie, ruszając w stronę Meredith. Być może Caroline jako jedyna przetrwa nadchodzący tydzień.

Wyglądaj normalnie, zachowuj się normalnie. Dołączyła do grupki, w której stała Meredith. Meredith smukłymi palcami owijała łądygi bukietu czerwono-czarną wstążką zdjętą z biretu.

Bonnie rozejrzała się dokoła. Dobrze. To właściwe miejsce. I właściwa pora.

- Uważaj na te kwiaty, bo je zniszczysz – powiedziała głośno.

Wyraz twarzy Meredith się nie zmienił. Dalej wpatrywała się we wstążkę, skręcając ją.

- To nie w porządku – stwierdziła – że my je dostałyśmy, a Elena nie. To nie fair.

- Wiem, to okropne – zgodziła się Bonnie. Ale strąła się mówić lekkim tonem. - Szkoda, że nie możemy nic na to poradzić. No ale nie możemy.

- To jest po prostu podłe – ciągnęła Meredith, jakby w ogóle jej nie słyszała. - My tu sobie spacerujemy po słoneczku, kończymy szkołę, a ona tam leży... Pod nagromną płytą.

- Wiem, wiem – powtórzyła Bonnie uspokajająco.

- Meredith, sama się wpędzasz w melancholię. Spróbuj

może pomyśleć o czymś innym. Posłuchaj, jak już będziesz po obiedzie z rodzicami, może chciałabyś pójść na imprezę do Raymonda? Co z tego, że nie jesteśmy zaproszone, możemy się wkręcić.

- Nie! - Meredith zaprotestowała zaskakująco gwałtownie. - Nie chcę iść na żadną imprezę. Jak w ogóle mo-

żesz myśleć o czymś takim, Bonnie? Jak możesz być taka płytka?

- No cóż, coś musimy robić...

- Powiem ci, co ja zrobię. Wieczorem wybiorę się na cmentarz. Położę to na grobie Eleny. Zasłużyła na tę wstążkę. - Kłykcie palców Meredith aż zbieleły, kiedy skręcała w dłoniach wstążkę od biretu.

- Meredith nie wygłupiaj się. Nie możesz tam iść, a już na pewno nie po zmroku. To wariactwo. Matt powie ci to samo.

- No cóż. Nie pytam Matta o zdanie. Nikogo nie pytam. Sama pójdę.

- Nie wolno ci. Boże, Meredith, zawsze mi się wydawało, że masz trochę rozumu.

- A mnie się zawsze wydawało, że masz odrobinę wrażliwości. Ale najwyraźniej ty nawet nie chcesz pamiętać o Elenie. Może dlatego, że masz teraz ochotę na jej byłego chłopaka?

Bonnie ją spoliczkowała.

To był mocny policzek, wymierzony ze sporą siłą. Meredith gwałtownie zaczerpnęła powietrza, jedną dłoń unosząc do czerwieniejącego policzka. Wszyscy się na nie gapili.

- Mam cię dosyć, Bonnie McCullough! - krzyknęła Meredith – Nigdy w życiu już się do ciebie słowem nie odezwę. - Zawróciła na pięcie i odeszła.

- No i bardzo dobrze! - odkrzyknęła Bonnie w stronę jej oddalających się pleców.

Ludzie pośpiesznie odwracali wzrok, kiedy Bonnie rozejrzała się wokół. Ale trudno było nie zauważyć, że przez ostatnich parę minut ona i Meredith stanowiły centrum uwagi. Bonnie przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać, i podeszła do Matta, który już pozbył się faceta od rekrutacji.

- Jak wypadłam? - mruknęła.

- Dobrze.

- Myślisz, że z tym plaskaczem przesadziłam? W sumie nie miałyśmy tego w planach, zrobiłam to odruchowo. Może to było trochę zbyt teatralne...

- Nie, w porządku, zupełnie w porządku. - Matt miał taką minę, jakby coś go absorbowało. To nie było tamto apatyczne, obojętne, zwrócone do wewnątrz spojrzenie z ostatnich miesięcy, ale zdecydowanie jednak roztargnione.

- O co chodzi? Coś nie tak z naszym planem? - spytała Bonnie.

- Nie, nie. Posłuchaj, Bonnie, tak się zastanawiałem. To ty znalazłaś ciało pana Tannera w Nawiedzonym Domu w Halloween, prawda?

Zaskoczył ją. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- No cóż, ja pierwsza zorientowałam się, że on nie żyje, że naprawdę nie żyje, a nie odgrywa swoją rolę. Na litość boską, dlaczego akurat teraz ci się przypomniało?

- Bo być może będziesz mogła mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy pan Tanner mógł ugodzić nożem Damona?

- Co takiego?

- No jak, mógł?

- Ja... - Bonnie zamrugnęła i zmarszczyła brwi. A potem wzruszyła ramionami. - Chyba tak. To miała być scena

ofiary składanej przez druidów, pamiętasz, a nuż był faktycznie ostry. Rozmawialiśmy o tym, czy nie posłużyć się atrapą, ale skoro pan Tanner miał go mieć u swojego boku, stwierdziliśmy, że to będzie zupełnie bezpieczne. Tak w sumie... - zmarszczka między brwiami Bonnie pogłębiła się

- wydaje mi się, że kiedy znalazłam ciało, nóż leżał w innym miejscu niż początkowo. No ale jakiś dzieciak mógł go przesunąć. Matt, dlaczego o to pytasz?

- Chodzi o coś, co powiedział mi Damon – wyjaśnił Matt. - Zastanawiałem się, czy to może być prawda.

- Aha. - Bonnie czekała, aż Matt powie coś jeszcze, ale milczał. - No cóż – odezwała się wreszcie. - Jeśli wszystko się wyjaśniło, to czy możemy, proszę, wracać na ziemię? I może mógłbyś mnie objąć ramieniem? Żeby pokazać, że stoisz po mojej stronie i że nie zanosi się, że dziś wieczorem pojawisz się przy grobie Eleny z Meredith?

Matt parsknął, ale nie miał już tego nieobcego spojrzenia. Na krótką chwilę objął Bonnie ramieniem i uściaskał.

Deja vu, pomyślała Meredith przy bramie cmentarza. Problem w tym, że nie mogła się zorientować, które z poprzednich przeżyć związanych z cmentarzem przypominała jej ta noc. Wiele ich było.

W pewien sposób to tutaj wszystko się zaczęło. To tutaj Elena przysięgała, że nie spocznie, dopóki Stefano nie będzie do niej należał. Zmusiła też Bonnie i Meredith do przysięgi, że jej w tym pomogą, przypieczętowanej krwią. To była bardzo odpowiednia przysięga, pomyślała teraz

Meredith.

I to tutaj Tyler napadł Elenę w nocy po balu. Stefano przyszedł jej na pomoc i tak się wszystko między nimi zaczęło. Ten cmentarz wiele widział.

Widział nawet, jak całą wspinali się zeszłego grudnia na cmentarne wzgórze, szukając kryjówki Katherine. Zeszli do krypty: Meredith, Bonnie, Matt i Elena, a z nimi Stefano, Damon i Alaric. Ale nie wszyscy wrócili te nocy z krypty. Kiedy zabrali stamtąd Elenę, to po to, żeby ją pochować.

Ten cmentarz stanowił początek, a zarazem i koniec. A może dziś wieczorem jeszcze coś się to skończy.

Meredith ruszyła przed siebie.

Szkoda, że cię tu teraz nie ma, Aleric, pomyślała. Przydałby mi się twój optymizm i twoja wiedza o zjawiskach paranormalnych, a i nie miałabym nic przeciwko twoim mięśniom.

Nagrobek Eleny stał na nowym cmentarzu, oczywiście, tam, gdzie trawę nadal koszono, a wieńce z kwiatów ozdabiały groby. Płyta nagrobna była bardzo prosta, nie-

mal zwyczajna, z lakonicznym napisem. Meredith pochyliła się i ułożyła pod nim bukiet róż. Potem powoli położyła obok czerwono-czarną wstążkę ze swojego biretu. Po ciemku oba kolory wyglądały tak samo jak zakrzepła krew. Przyklękła i spokojnie złożyła dłonie do modlitwy. I czekała.

Na cmentarzu panował cisza. Zdawało się, że czeka razem z nią, niecierpliwie wstrzymując oddech. Rzędy białych kamiennych nagrobków ciągnęły się po obu stronach, lekko połyskując. Meredith nasłuchiwała.

A potem usłyszała ciężkie kroki.

Nie podniosła głowy, udawała, że niczego nie zauważyła.

Kroki się zbliżały. Ten ktoś nawet nie próbował skradać się niepostrzeżenie.

- Cześć, Meredith.

Meredith się obejrzała.

- Och... Tyler – sapnęła. - Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że to... No, nieważne.

- Tak? - Tyler wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- No cóż, przykro mi, że cię rozczarowałem. Ale to tylko ja,

a nie kto inny.

- Co ty tu robisz, Tyler? Nie było dziś żadnych interesujących imprez?

- Mógłbym cię zapytać o to samo. - Tyler spojrział na nagrobek i leżącą na nim wstążkę. Twarz mu pociemniała. - Ale chyba już znam odpowiedź. Przyszłaś tu dla niej. „Elena Gilbert, światło w ciemności” - odczytał z ironią.

- No właśnie. Elena oznacza światło, wiesz. I z całą pewnością otaczał ją mrok. Prawie ją zwyciężył, ale ostatecznie to ona wygrała.

- Być może – wycedził Tyler, w zamyśleniu drapiąc się po brodzie i mrużąc oczy. - Ale wiesz, Meredith, to zabawna rzecz, ta ciemność. Zawsze może być gęstsza.

- Jak dziś wieczorem – powiedziała Meredith, spoglądając w niebo. Było bezchmurne, poznaczone bladymi gwiazdami. - Dzisiaj jest bardzo ciemno, Tyler. Ale prędzej czy później słońce wstanie.

- Tak, najpierw jednak wszędzie księżyc. - Tyler nagle zachichotał, jakby rozbawił go żart, który tylko on rozumiał.

- Hej, Meredith, widziałaś kiedyś kwaterę Smallwoodów? Chodź, pokażę ci ją. To niedaleko.

Tak samo jak pokazał ją Elenie, pomyślała Meredith. W pewnym sensie bawiła ją ta słowna potyczka, ale ani na

moment nie zapomniała, po co tu przyszła. Chłodne palce wsunęła do kieszeni kurtki, w której trzymała małą gałązkę werbeny.

- Nie trzeba, Tyler. Wolę zostać tutaj.

- Jesteś pewna? Cmentarz to niebezpieczne miejsce, żeby tak siedzieć samej.

Niespokojne dusze, pomyślała ponuro Meredith. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Wiem.

Znow się szeroko uśmiechnął, pokazując te zęby przypominające rząd nagrobków.

- W każdym razie, jeśli masz dobry wzrok, to i stąd możesz ją zobaczyć. Popatrz tam, w stronę starego cmentarza. Widzisz takie coś w rodzaju czerwonego błysku?

- Nie. - Nad drzewami na wschodzie rysowała się biała poświata. Meredith nie spuszczała z niej oczu.

- No, Meredith. Nawet nie chcesz się postarać. Ale kiedy księżyc wzejdzie, zobaczysz to wyraźniej.

- Tyler, nie mam czasu dłużej tu siedzieć. Idę stąd.

- A nie, nie idziesz – powiedział. A potem, kiedy zacisnęła palce na schowanej w dłoni werbenie, dodał takim

tonem, jakby chciał się jej podlizać: - To znaczy, chyba nie pójdziesz, dopóki nie opowiem ci historii tamtego nagrobka, prawda? To świetna historia. Widzisz, nagrobek został zrobiony z czerwonego marmuru, jako jedyny na całym cmentarzu. A ta kula na szczycie... widzisz ją? Ona waży chyba z tonę. Ale się porusza. Obraca się, kiedy któryś ze Smallwoodów ma umrzeć. Dziadek nie chciał w to wierzyć, zrobił na niej z przodu nacięcie. Miał taki zwyczaj, że mniej więcej co miesiąc przychodził tu i sprawdzał, czy się przesunęło. I kiedyś, pewnego dnia, przyszedł i zobaczył, że nacięcie jest z tyłu. Kula się obróciła o sto osiemdziesiąt stopni. Próbował z całej siły ją obrócić, ale nie mógł. Była za ciężka. I tej nocy umarł. Pochowali go pod nią.

- Pewnie dostał ataku serca od nadmiernego wysiłku

- orzekła Meredith oschle, ale palce zaczęły ją mrowić.

- Zabawna jesteś, wiesz? Zawsze taka chłodna. Zawsze taka opanowana. To nie takie łatwe, zmusić cię, żebyś wrzasnęła, prawda?

- Idę już, Tyler. Wystarczy.

Pozwolił jej przejść parę kroków, a potem powiedział:

- Ale tamtej nocy w domu Caroline darłaś się, nie?

Meredith zawróciła.

- Skąd o tym wiesz?

Tyler przewrócił oczami.

- Doceń choć trochę moją inteligencję, dobra? Ja sporo wiem, Meredith. Na przykład wiem, co masz w kieszeni.

Palce Meredith znieruchomiały.

- O co ci chodzi?

- O werbenę, Meredith. *Verbena officinalis*. Mam przyjaciela, który zna się na takich rzeczach. - Tyler zdawał się teraz skupiony, uśmiechał się szerzej, wpatrywał się w jej twarz, jakby to był jego ulubiony program telewizyjny. Jak kot znudzony zabawą z myszą szykował się do skoku. - I wiem też, przed czym ma chronić. - Rzucił za siebie przesadnie ostrożne spojrzenie i położył palec na ustach. - Cii. Wampiry – szepnął. A potem odrzucił głowę w tył i roześmiał się na cały głos.

Meredith cofnęła się o krok.

- Myślisz, że to ci coś pomoże, tak? Ale zdradzę ci pewien sekret.

Meredith mierzyła wzrokiem odległość dzielącą ją od ścieżki. Na zewnątrz zachowała spokój, ale w duchu zaczynała mocno dygotać. Nie wiedziała, czy uda jej się z tej sy-

tuacji wyplątać.

- Nigdzie nie pójdziesz, koteczku – oświadczył Tyler i wielką łapą chwycił Meredith za nadgarstek. Ta łapa, którą czuła poniżej mankietu kurtki, była gorąca i wilgotna. Zostaniesz tu, bo mam dla ciebie niespodziankę.

- Pochylił się teraz do niej, na ustach miał pożądlivy uśmiech.

- Puszczaj, Tyler. To boli! - Pod dotykiem Tylera Meredith zeszywniała. Ale łapa ścisnęła ją jeszcze mocniej, miażdżąc ścięgna i kości nadgarstka.

- To tajemnica, kotku, o której nikt nie wie – wydyszał Tyler, przyciągając ją do siebie i owiewając jej twarz gorącym oddechem. - Przyszłaś tu zabezpieczona przeciwko wampirem. Ale ja nie jestem wampirem.

Serce Meredith waliło.

- Puszczaj!

- Najpierw chcę, żebyś tam popatrzyła. Teraz już widać ten nagrobek – powiedział, obracając ją, i nie miała wyjścia, musiała popatrzeć. Miał rację, rzeczywiście, widać stąd było coś w rodzaju czerwonego pomnika z kulą na szczycie.

A może nie kulą. Ten marmurowy przedmiot Przypomi-

nał... przypominał...

- A teraz popatrz na wschód. Co tam widzisz, Meredith?

- ciągnął Tyler ochryłym głosem.

Księżyc był w pełni. Wzeszedł, kiedy Tyler z nią rozmawiał, a teraz zawisł nad wzgórzami, idealnie okrągły, niesamowicie rozdęty, jak wielka czerwona kula.

Dokładnie taka jak na nagrobku. Jak księżyc w pełni skąpany we krwi.

- Przyszłaś tu zabezpieczona przeciwko wampirom, Meredith – odezwał się Tyler z za jej pleców jeszcze bardziej ochryłym głosem. - Ale Smallwoodowie wcale nie są wampirami. Jesteśmy czymś innym.

I wtedy zaryczał.

Człowiek nie wydałby z siebie takiego dźwięku. Nie naśladował żadnego zwierzęcia, to był prawdziwy ryk. Wściekły, gardłowy ryk, który wciąż się wzmaczał. Szarpnął Meredith i musiała obrócić głowę, żeby na niego spojrzeć. Wytrzeszczyła oczy z niedowierzania. Widziała coś tak

okropnego, że jej umysł nie chciał przyjąć tego do wiadomości...

Meredith krzyknęła.

- Mówiłem ci, że to będzie niespodzianka. I jak ci się podoba? - powiedział Tyler. Głos miał zmieniony od nadmiaru śliny, a czerwony jęzor wił się wśród rzędu ostrych, psich zębów. Jego twarz już nie przypominała ludzkiej twarzy. Wyciągnęła się groteskowo w jakiś pysk, a oczy pożółkły i miały pionowe źrenice. Czerwonożółta szczecina porosła mu policzki i kark. Jak futro. - Możesz sobie wrzeszczeć, ile chcesz, i tak nikt cię tu nie usłyszy – warknął.

Meredith stała jak sparaliżowana. Próbowwała się od niego odsunąć. To była podświadoma reakcja, nie zdołałaby jej powstrzymać, nawet gdyby chciała. Oddech miał gorący i cuchnący jak u zwierzęcia. Paznokcie, które wbijał w jej nadgarstek, zmieniły się w poczerniałe pazury. Nie miała siły, żeby znów krzyknąć.

- Poza wampirami są jeszcze inne stworzenia, którym smakuje krew – wycedził Tyler tym swoim nowym, zaślionionym głosem. - A ja mam ochotę spróbować twojej. Ale najpierw trochę się zabawimy.

Chociaż nadal stał na dwóch nogach, jego ciało pochyliło się i dziwnie zmieniło kształt. Meredith walczyła bezskutecznie, kiedy pchnął ją na ziemię. Była silną dziewczyną, ale on miał znacznie więcej siły, mięśnie rysowały się pod

koszulą, kiedy przygwoździł ją do ziemi.

- Zawsze uważałaś, że jesteś dla mnie za dobra, prawda? No to teraz przekonasz się, co cię ominęło.

Nie mogę oddychać, pomyślała przerażona Meredith. Ramieniem przycisnął jej szyję, tamując dopływ powietrza. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Jeśli teraz zemdleje...

- Pożałujesz, że nie umarłaś tak szybko jak Sue. - Twarz Tylera rozmywała się nad nią, czerwona jak księżyc, z wiel-

kim, wywalonym na wierzchu jęzorem. Drugą ręką przytrzymał jej rękę nad głową. - Słyszałaś kiedyś bajkę o Czerwonym Kapturku?

W ciemności pojawiły się drobne światełka. Jak gwiazdy, pomyślała Meredith. Zapadam się pomiędzy gwiazdy...

- Tyler, zabierz od niej łapy! Puszczaj ją, ale już! - rozległ się głos Matta.

Warczenie Tylera przeszło w zdumiony skowyt. Rozluźnił uchwyt i powietrze napełniło płuca Meredith.

- Długo czekałem na ten moment, Tyler – syknął Matt, odciągając płonoczerwony łeb za włosy. A potem Matt trzasnął pięścią Tylera w twarz przypominającą pysk. Z nosa trysnęła krew.

Odgłos, który wydał z siebie Tyler, zmroził krew w żyłach Meredith. Tyler rzucił się na Matta, zawisł w powietrzu z wyciągniętymi przed siebie pazurami. Matt runął na plecy, a Meredith, oszołomiona, spróbowała podnieść się z ziemi. Nie mogła, wszystkie mięśnie drżały jej spazmatycznie. Jednak ktoś inny ściągnął Tylera z Matta jednym ruchem, jakby Tyler ważył tyle co szmaciana lalka.

- Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów, Tyler – powiedział Stefano, stawiając Tylera na nogach i ustawiając się naprzeciwko niego.

Tyler przez chwilę wytrzeszczał oczy, a potem spróbował rzucić się do ucieczki.

Był szybki i ze zwierzęcą zręcznością zaczął się przemykać między rzędami nagrobków. Ale Stefano był szybszy i zastąpił mu drogę.

- Meredith, zrobił ci krzywdę? Meredith! - Bonnie krzyknęła koło przyjaciółki. Meredith zaprzeczyła ruchem głowy, bo mówić nadal nie mogła. Bonnie podtrzymała jej głowę. - Wiedziała, że powinniśmy mu przeszkodzić wcześniej, wiedziałam – ciągnęła Bonnie zmartwiona.

Stefano ciągnął Tylera z powrotem.

- Zawsze wiedziałem, że z ciebie palant – stwierdził i pchnął Tylera na jakiś nagrobek. - Ale nie wiedziałem, że jesteś aż tak głupi. Myślałam, że się nauczyłeś, żeby nie napadać dziewczyn na cmentarzach, a jednak nie. I jeszcze musiałeś się pochwalić tym, co zrobiłeś Sue. To nie było mądre, Tyler.

Meredith popatrzyła na nich, stojących naprzeciw siebie. Tacy odmienni, pomyślała. Chociaż obaj w pewien sposób należeli do świata ciemności. - Stefano był blady, jego zielone oczy pałały gniewem, czaiła się w nich groźba, ale była w nim jakaś godność, niemal czystość. Przypominał anioła wyrzeźbionego w marmurze. Tyler wyglądał po prostu jak zwierzę schwyte w pułapkę. Skulił się, oddychał z trudem, krew i ślina skapywały mu na pierś. Żółte oczy połyskiwały nienawiścią i strachem, a palcami poruszał, jakby próbował coś pochwycić. Z gardła wydarł mu się niski, chrapliwy dźwięk.

- Nie martw się, tym razem nie będę cię bił – powiedział Stefano. - Chyba, że będziesz próbował uciekać. Wszyscy teraz pójdziemy do kościoła na pogawędkę. Lubisz opowiadać historie, Tyler, na pewno opowiesz mi teraz jedną z nich.

Tyler rzucił się na niego, skoczył bez rozbiegu prosto

do gardła Stefano. Ale Stefano był na ten ruch przygotowany. Meredith podejrzewała, że i Stefani, i Matt świetnie się bawili w ciągu następnych kilku minut, wyładowując na nim skumulowaną agresję, ale jej to nie bawiło, więc odwróciła wzrok.

Na koniec Tyler został związany jak baleron nylonową linką. Mógł chodzić, a przynajmniej powłóczyć nogami, a Stefano trzymał tył jego koszuli i niezbyt delikatnie poprowadził go ścieżką w stronę kościoła.

W kościele Stefano pchnął Tylera na ziemię koło otwartego nagrobka.

- A teraz – oświadczył – porozmawiamy sobie. I będziesz współpracował, Tyler, albo bardzo, ale to bardzo pożałujesz.

Rozdział 10

Meredith przysiadła na wysokim do kolan murze zrujnowanego kościoła.

- Mówiłeś, że to będzie niebezpieczne, Stefano, ale nie mówiłeś, że pozwolisz mu mnie podduścić.

- Przepraszam cię. Liczyłem na to, że poda jeszcze jakieś informacje, zwłaszcza że przyznał się, że był w domu Caroline, kiedy zginęła Sue. Nie powinienem był zwlekać.

- Do niczego się nie przyznałem! Nic mi nie udowodnisz! - krzyknął Tyler. Jego głos przypominał zwierzęcy skowyt, ale w czasie spaceru na wzgórze jego twarz i ciało znów przybrały normalny wygląd. A przynajmniej człowieka, pomyślała Meredith. Opuchlizna, siniaki i zaschnięta krew normalnie nie wyglądały.

- Nie jesteśmy w sali sądowej, Tyler – powiedziała. - Ojciec ci teraz nie pomoże.

- A nawet gdybyśmy byli w sądzie – dodał Stefano – łatwo udowodnić, że mamy rację. Dostyc dowodów, żeby cię skazać na współudział w morderstwie, jak sądzę.

- To znaczy, o ile ktoś nie przetopi łyżeczek swojej babci na srebrne kule – wtrącił Matt.

Tyler przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Nic wam nie powiem.

- Tyler, wiesz, kto ty jesteś? Bydlak, który się znęca nad słabszymi – powiedziała Bonnie. - A tacy zawsze kłapią ozorem.

- Nie boisz się rzucić dziewczyny na ziemię i jej grozić

- wycedził Matt. - Ale kiedy pojawiają się jej przyjaciele, si-
kasz w gacie ze strachu.

Tyler w milczeniu piorunował ich wzrokiem.

- No cóż, skoro ty nie chcesz mówić, ja będę musiał zacząć – stwierdził Stefano. Wziął do ręki grubą książkę zabraną z biblioteki. Stawiając stop na krawędzi nagrobka, oparł książkę na kolanie i otworzył.

W tej chwili, pomyślała Meredith, bardzo przypomina Damona.

- To książka autorstwa Gervasy'ego z Tilbury – wyjaśnił. - Napisano ją około roku 1210. Mówi między innymi o wilkołakach.

- Niczego nie wskórasz! Nie masz żadnych dowodów.

- Zamknij się Tyler! - Stefano patrzył na niego. - Ja nie muszę niczego udowadniać, ja to widzę, choćby i w tej

chwili. Zapomniałeś, kim jestem? - Zapadła cisza i Stefano mówił dalej. - Kiedy tu przyjechałem kilka dni temu, zastałem pewną tajemnicę. Zginęła dziewczyna. Ale kto ją zabił? I dlaczego? Wszystkie wskazówki, na jakie trafiłem, wydawały się sobie wzajemnie przeczyć. To nie było jakieś zwyczajne morderstwo, nie zrobił tego pierwszy lepszy człowiek, psychopata z ulicy. Miałem na to słowa zaufanej osoby... i pewien dowód. Zwyczajny zabójca nie potrafi telepatycznie kierować planszą do wywoływania duchów. Zwyczajny zabójca nie sprawi, że setki kilometrów dalej pójdą bezpieczniki w elektrowni. Nie, to był ktoś o niesamowitej fizycznej i psychicznej mocy. Wszystko, co powiedziały mi Vickie, wskazywało na to, że to wampir – ciągnął Stefano. - Ale przecież nikt nie pił krwi Sue Carson. Wampir wypiłby jej chociaż trochę. Żaden wampir by się ni powstrzymał, a już na pewno nie wampir, który ją zabił. To z tego bierze się euforia, to dla tej euforii się zabija. Ale lekarz policyjny nie znalazł na jej ciele żadnych ugryzień, krwawiła nieznacznie. To wszystko nie miało sensu. No i jeszcze jedno. Ty byłeś w tamtym domu, Tyler.

Zrobiłeś błąd, to tamtej nocy złapałeś Bonnie za rękę, a potem, następnego dnia, popełniłeś kolejny, bo kłapałeś ozorem i mówiłeś rzeczy, o których nie mógłbyś wiedzieć, gdyby cię tam nie było. No więc, co mieliśmy do dyspozycji? Doświadczonego wampira, bezwzględnego zabójcę o potężnej mocy? Czy byczka z liceum, który nie umiałby zorganizować wycieczki do toalety, nie potykając się przy tym o własne nogi? Które z dwojga? Poszlaki prowadziły w oby kierunkach i nie umiałem się zdecydować. A potem sam się wybrałem obejrzeć ciało Sue. I tam natknąłem się na największą tajemnicę ze wszystkich. Nacięcie zrobione tutaj.

Stefano nakreślił linię od obojczyka w dół.

- Typowe, tradycyjne cięcie, jakie robią wampiry, kiedy chcą się podzielić z kimś własną krwią. Ale przecież Sue nie była wampirem i sama nie zrobiła sobie tego nacięcia. Ktoś inny je wykonał, kiedy leżała, umierająca.

Meredith przymknęła oczy i usłyszała, jak siedząca obok niej Bonnie z trudem przełyka ślinę. Sięgnęła ręką, złapała dłoń Bonnie i przytrzymała mocno, ale słuchała dalej. Stefano im jeszcze tego tak szczegółowo nie wyjaśniał.

- Wampiry nie muszą robić podobnych nacięć nie cie-

le swoich ofiar, od tego mają zęby – kontynuował. Uniósł

lekko górną wargę i pokazał swoje. - Ale gdyby wampir chciał upuścić krwi dla kogoś innego, żeby ten ktoś mógł się napić, to mógłby zrobić nacięcie zamiast gryźć. Gdyby wampir chciał dać komuś po raz pierwszy zasmakować krwi, mógłby to właśnie tak zrobić. I to dało mi do myślenia na temat krwi. Krew jest ważna, widzicie. Wampirom daje życie i moc. Tylko tego potrzebujemy, żeby przetrwać, a są chwile, kiedy ta potrzeba może nas doprowadzić do szaleństwa. Ale krew przydaje się też do czegoś innego. Na przykład... do inicjacji.

Stefano nabrał powietrza.

- Inicjacja i moc. Myślałem o tych dwóch rzeczach, zestawiając je z tym, co zapamiętałem na twój temat, Tyler, ze swojej poprzedniej wizyty w Fell's Church. Takie drobiazgi, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Ale przypomniałem sobie coś, co Elena mówiła o historii twojej rodziny, i zdecydowałem, że sprawdzę to w pamiętniku Honorii Fell.

Stefano spomiędzy stronic trzymanej książki wyjął kartkę papieru.

- I znalazłem zapis zrobiony ręką Honorii. Skopiowałem tę stronę, żeby móc ci ją przeczytać. Między tymi linijkami da się odkryć mały rodzinny sekret Smallwoodów.

Patrzając na kartkę, przeczytał:

- „Dwunastego listopada. Świece zrobione. Len uprzedł. Trochę mało mamy mąki kukurydzianej i soli, ale zimę jakoś przetrwamy. Wczoraj w nocy alarm: wilki zaatakowały Jacoba Smallwooda, kiedy wracał z lasu. Opatrzyłam ranę czernicą i korą wierzby, ale jest głęboka i budzi moje obawy. Po powrocie do domu wróżyłam z runów. O wynikach wróżby powiedziałam wyłącznie Thomasowi”. Z runów można przepowiedzieć przyszłość

- wyjaśnił Stefano. - Honoria była, może tak chyba powiedzieć, czarownicą. Tutaj mówi dalej o „kłopotach z wilkami” w innych miejscach ich osadzi... zdaje się, że nagłe ataki zrobiły się częstsze, zwłaszcza na młode dziewczyny. Opowiada, jak z mężem zaczęli się coraz bardziej niepokoić. I wreszcie to:

„Dwudziestego grudnia. Znów kłopoty z wilkiem u Smallwoodów. Usłyszeliśmy krzyki parę minut temu

i Thomas powiedział, że już czas. Kule zrobił wczoraj. Załadował strzelbę i pójdziemy tam razem. Jeśli przetrwamy, napiszę więcej”.

„Dwudziestego pierwszego grudnia. Wczoraj wieczorem byliśmy u Smallwoodów. Jacob dotknięty nieszczęściem. Wilk zabity. Pochowamy Jacoba na małym cmentarzu u stóp wzgórza. Oby po śmierci jego dusza odnalazła spokój”. W oficjalnej historii Fell's Church – powiedział Stefano – zinterpretowano to w ten sposób, że Thomas Fell i jego żona poszli do Smallwoodów i przekonali się, że Jacoba Smallwooda znów zaatakował i zabił wilk. Ale tak nie było. Tak naprawdę tu nie jest napisane, że wilk zabił Jacoba Smallwooda, ale że to Jacob Smallwood, wilkołak, został zabity.

Stefano zamknął książkę.

- Twój prapra-czy-coś-dzidek był wilkołakiem, Tyler. Stał się nim po tym, jak sam został przez wilkołaka zaatakowany. I przekazał ten wilkołaczy gen swojemu synowi, który urodził się osiem i pół miesiąca później. Tak samo jak twój ojciec przekazał go tobie.

- Zawsze wiedziałam, że z tobą, Tyler, coś jest nie tak
- powiedziała Bonnie, a Meredith szeroko otworzyła oczy.
- Nigdy nie umiałam stwierdzić, co to takiego, ale zawsze

w głębi ducha czułam, że jesteś porabany.

- Kiedyś sobie z tego żartowałyśmy – dodała Meredith zduszonym głosem. - Z tego twojego „zwierzęcego magnetyzmu” i z tych twoich wielkich białych zębów. Nie miałyśmy nawet pojęcia, jak bliskie byłyśmy prawdy.

- Czasem da się fizycznie coś takiego wyczuć – przyznał Stefano. - Czasami nawet zwykli ludzie to potrafią. Ja powinienem był to zauważyć, ale byłem zajęty czym innym. Oczywiście, to żadna wymówka. I najwyraźniej ktoś inny... ten morderca o parapsychicznych zdolnościach... zauważył to od razu. Prawda, Tyler? Przyszedł do ciebie mężczyzna w znoszonym prochowcu. Wysoki, jasnowłosy, z błękitnymi oczami. I dobił z tobą pewnego rodzaju targu. W zamian za coś obiecał pokazać ci, jak możesz odzyskać swoje dziedzictwo. Jak stać się prawdziwym wilkołakiem. Bo według Gervasy'ego z Tilbury – Stefano postukał w trzymaną na kolanach książkę – wilkołak, który sam nie został ugryziony, musi przejść inicjację. To znaczy, że możesz mieć geny wilkołaka i nigdy się nawet tego nie dowiedzieć, bo nie zostały uaktywnione. Całe pokolenia Smallwoodów żyły i umiera-

ły, a gen pozostawał uśpiony, bo nie znali sekretu uaktyw-
nienia. Ale ten mężczyzna w prochowcu go znał. Wiedział,
że musisz zabić i posmakować świeżej krwi. A potem, pod-
czas pierwszej pełni księżyca będziesz mógł się przemienić.

Stefano podniósł oczy i Meredith poszła za jego wzro-
kiem, patrząc na biały krąg księżyca na niebie. Teraz spra-
wiało wrażenie czystego i dwuwymiarowego, już nie był roz-
dętą czerwoną kulą.

Na twarzy Tylera pojawiła się podejrzliwość, a potem
ponownie furia.

- Bardzo sprytne – przyznała Meredith, a Matt dodał:

- Ale jazda. - Bonnie zwilżyła palec i narysowała je-
dynkę na wyimaginowanej tablicy do zapisów punktów

- Wiedziałem, że nie zdołasz się oprzeć, żeby nie śle-
dzić jednej z tych dwóch dziewczyn, jeśli będziesz myślał,
że idzie gdzieś sama – oznajmił Stefano. - Uznasz, że cmen-
tarz to idealne miejsce, żeby kogoś zabić, bylibyście tu zu-
pełnie sami. I wiedziałem, że nie zdołasz się oprzeć, żeby się
nie pochwalić tym, co zrobiłeś. Miałem nadzieję, że opo-
wiesz Meredith więcej o tym drugim zabójcy, tym, który

sam wypchnął Sue przez okno, tym który zrobił to nacięcie, żebyś mógł posmakować świeżej krwi. Ten wampir, Tyler. Kim on jest? Gdzie się ukrywa?

Wyraz zapiekłej nienawiści na twarzy Tylera zmienił się w szyderczy uśmieszek.

- Myślisz, że wam powiem? To mój przyjaciel.

- To nie jest twój przyjaciel, Tyler. On cię wykorzystuje. I jest mordercą.

- Nie pogrążaj się jeszcze bardziej, Tyler – powiedział Matt.

- Już jesteś tylko narzędziem. Dzisiaj wieczorem próbowałeś zabić Meredith. Niedługo nie będziesz w stanie się wycofać, nawet jeśli będziesz chciał. Oprzytomniej i przerwij to teraz. Powiedz nam, co wiesz.

Tyler obnażył zęby.

- Nic wam nie powiem. I niby jak mnie zmusicie?

Pozostali wymienili spojrzenia. Atmosfera zmieniła się, zgęstniała od napięcia, kiedy wszyscy odwrócili się znów w stronę Tylera.

- Ty naprawdę nie rozumiesz, prawda? - spytała Meredith. - Tyler, ty pomogłeś zabić Sue. Ona zginęła dla jakiegoś parszywego rytuału, żebyś ty mógł się zamienić w to coś. Uważasz, że ktoś się będzie nad tobą litował?

Uważasz, że cię tu przyprowadziliśmy po to, żeby się z tobą cackać?

Zapadła cisza. Szyderczy uśmiech zbladł na wargach Tylera. Patrzył to na jedną twarz, to na drugą.

Wszystkie były nieprzejednane. Nawet na drobnej buzi Bonnie nie było śladu litości.

- Gervase z Tilbury wspomina o pewnej interesującej sprawie – ciągnął Stefano niemal miłym tonem. - Jest jeszcze jedno lekarstwo na wilkołaki, pomijając tę tradycyjną srebrną kulę. Posłuchajcie. - Przy świetle księżyca zaczął odczytywać z książki: - „Mówi się powszechnie, a utrzymują to również światli i mądrzy medycy, iż jeśli wilkołakowi urznąć jeden z członków, w pełni powróci do swej dawnej postaci”. Gervase dalej opowiada historię pewnego Raimbauda z Auvergne, wilkołaka, który został uleczone, kiedy stolarz odciął mu jedną łapę. Oczywiście, to musiało okropnie boleć, ale historia dalej mówi, że Raimbaud podziękował stolarzowi za „wieczne wyzwolenie z tej obmierzłej i godnej potępienia postaci”. - Stefano uniósł głowę. - No cóż, tak sobie myślę, że jeśli Tyler nie będzie

chciał podzielić się z nami informacjami, to powinniśmy przynajmniej zadbać, żeby nie zaczął znów zabijać. Co wy na to?

Matt zabrał głos.

- Moim zdaniem uleczenie go to nasz obowiązek.

- Przecież wystarczy pozbawić go jednego z członków

- zgodziła się Bonnie.

- Mnie już nawet jeden przychodzi na myśl – mruknęła Meredith pod nosem.

Tyler wytrzeszczył oczy. Pod brudem i krwią jego zwykle ogorzała twarz zbladła.

- Blefujecie.

- Idź po siekiere, Matt – polecił Stefano. - Meredith, zdejmij mu but.

Kiedy spróbowała to zrobić, Tyler zaczął wierzgać, usiłując trafić ją w twarz. Matt unieruchomił go chwytem zapalczywym.

- Tyler, nie pogarszaj sprawy.

Stopa obnażona przez Meredith była wielka, a jej podeszwa tak samo spocona jak dłoń Tylera. Palce stóp po-

rastały gęste włosy. Meredith aż skóra cierpła ad tego widoku.

- Miejmy już to za sobą – powiedziała.

- Kpicie sobie ze mnie! - ryknął Tyler i zaczął się szarpać, więc Bonnie musiała podejść, złapać go za drugą nogę i na niej usiąść. - Nie możecie tego zrobić! Nie możecie!

- Przytrzymajcie go mocno – polecił Stefano.

Rozciągnęli Tylera na ziemi. Matt ramieniem unieruchamiał mu głowę, dziewczyny usiadły każda na jednej nodze. Pilnując, żeby Tyler wszystko widział, Stefano ułożył na krawędzi nagrobka kij gruby na mniej więcej pięć centymetrów. Uniósł siekierkę, a potem jednym uderzeniem przeciął kij na pół.

- Wystarczająco ostra – ocenił. - Meredith, podwiń mu nogawkę. A potem podwiąż nogę powyżej kostki tą linką, jak najmocniej, niech to będzie opaska uciskowa. Inaczej się wykrwawi.

- Nie możecie tego zrobić! - wrzeszczał Tyler. Nie możecie tego zroooobić!

- Wrzeszcz sobie, ile chcesz, Tyler. Nikt cię tu nie usłyszy, prawda? - powiedział Stefano.

- Nie jesteś lepszy ode mnie! - Tyler darł się, pryskając wkoło śliną. - Też zabijasz!

- Doskonale wiem, kim jestem. Wierz mi, Tyler. Wiem to. Wszyscy gotowi? Dobrze. Przytrzymajcie go, bo kiedy to zrobię, podskoczy.

Krzyki Tylera stały się niezrozumiałe. Matt trzymał go w taki sposób, żeby widział, jak Stefano klęka i przymierza się do ciosu, unosząc ostrze siekiery nad kostką nogi.

- Teraz – powiedział Stefano, unosząc siekiere.

- Nie! Nie! Powiem wam! Powiem! - wrzasnął Tyler.

Stefano spojrzał na niego.

- Za późno – stwierdził i uniósł siekiere.

Siekiera uderzyła w kamienną podłogę, posypały się iskry. Zdawało się, że dopiero po paru minutach do Tylera dotarło, że ostrze nie dotknęło jego stopy. Przestał wrzeszczeć, żeby nabrać oddechu, dopiero kiedy zaczął się krztusić, a potem spojrzał na Stefano oszalałym wzrokiem.

- Zaczynaj mówić – poradził Stefano chłodnym i pozbawionym współczucia tonem.

Z gardła Tylera wydobywały się ciche jęki, usta miał zaślinione.

- Ja nie wiem, jak on się nazywa – wysapał. - Ale wyglą-

da, jak powiedziałaś. I masz rację, jest wampirem! Widziałem go, jak wykrwawił żywcem dorosłego jelenia. Okłamał mnie - dodał Tyler skamlącym tonem. - Powiedział mi, że będę silniejszy niż wszyscy, taki silny jak on. Powiedział, że będę mógł mieć każdą dziewczynę, której zapragnę i to tak, jak będę chciał. Bydlak mnie okłamał.

- Obiecał ci, że będziesz mógł zabijać i że ci to ujdzie na sucho – podsunął Stefano.

- Tamtego wieczoru oświadczył, że mogę załatwić Caroline. Zasłużyła sobie, kiedy mnie rzuciła. Chciałem ją zmusić, żeby błagała o życie, ale jakoś udało jej się wydostać z domu. Powiedział, że mogę załatwić Caroline i Vickie. On chciał dla siebie tylko Bonnie i Meredith.

- Ale właśnie próbowałeś zabić Meredith.

- To było wtedy. A teraz sprawy wyglądają inaczej, głupku. Powiedział, że mogę.

- Dlaczego? - Meredith spytała Stefano przyciszonym tonem.

- Może dlatego, że swoją rolę już odegraliście – sprowadziłyście mnie tutaj. - A potem zwrócił się do Tylera: - No dobra, pokaż nam, że będziesz współpracował. Powiedz,

jak możemy dorwać tego faceta.

- Dorwać go?! Powariowaliście! - Tyler wybuchł szyderczym śmiechem, a Matt zacisnął ramię na jego szyi.

- Hej, duś mnie, ile chcesz, taka jest prawda. On mi powiedział, że jest jednym ze Starszych, jednym z Pierwszych, cokolwiek to znaczy. Powiedział, że przemiana ludzi w wampiry z czasów piramid. Powiedział, że zawarł pakt z diabłem. Można mu przebić serce drewnianym kołkiem, a jemu to nic nie zaszkodzi. Nie da się go zabić. - Zaczął się śmiać jak szalony.

- Gdzie on się ukrywa, Tyler? - drażył Stefano. - Każdy wampir potrzebuje miejsca do spania. Gdzie to jest?

- Zabiłby mnie, gdybym wam powiedział. Człowieku, on by mnie zjadł. Boże, gdybym wam powiedział, co zrobił temu jeleniowi, zanim on zdechł... - Śmiech Tylera zaczął przechodzić w coś w rodzaju szlochu.

- No to lepiej byłoby, gdybyś pomógł nam go znaleźć, zanim on ciebie dopadnie, nieprawdaż? Jaki jest jego słaby punkt? Przed czym nie może się bronić?

- Boże, ten biedny jelen... - bełkotał Tyler.

- A co z Sue?? Nad nią też płakałeś? - spytał Stefano ostro. Podniósł siekiere. - Moim zdaniem marnujesz nasz czas.

- Nie! Nie! Powiem wam. Powiem wam coś. Posłuchajcie, jest jakiś rodzaj drewna, którym można mu zrobić krzywdę: nie zabić, ale zranić. Przyznał to, ale nie wyjawiał mi, co to za drewno. Przysięgam wam, że to prawda!

- To nie wystarczy, Tyler! - stwierdził Stefano.

- Na litość boską... Powiem wam, gdzie on jest dziś wieczorem. Jeśli dostaniecie się tam szybko, to może zdążycie go powstrzymać!

- Co masz na myśli? Gdzie on jest? Mów szybko, Tyler!

- Wybierał się do Vickie, dobra? Powiedział, że dziś wieczorem każdy z nas weźmie sobie po jednej. Tym wam pomogę, prawda? Jeśli się pośpieszycie, to może zdążycie!

Stefano zamarł, a Meredith serce zaczęło walić jak młotem. Vickie. Nawet nie pomyśleli na ataku na Vickie.

- Damon jej pilnuje – powiedział Matt. - Prawda, Stefano? Prawda?

- Powinien. Zostawiłem go tam o zmierzchu. Gdyby coś się działo, powinien mnie wezwać...

- Chłopaki... - szepnęła Bonnie. Oczy miała rozsze-

rzony, usta jej drżały. - Chyba lepiej jedźmy tam od razu.

Na moment znieruchomiali, a potem ruszyli jednocześnie.

- Hej, nie możecie mnie tu tak zostawić! Nie mogę prowadzić! On tu po mnie przyjdzie! Wróćcie i rozwiążcie mi ręce! - darł się Tyler. Nikt mu nie odpowiedział.

Zbiegli ze wzgórza, a potem stłoczyli się w samochodzie Meredith. Meredith ruszyła, niebezpiecznie szybko pokonując zakręt i ignorując znaki stopu, ale jakaś część jej umysłu wcale nie chciała pojechać do domu Vickie. Ta część wolałaby pojechać w przeciwnym kierunku.

Jestem spokojna, ja zawsze jestem spokojna, myślała. Ale ten jej spokój był pozorny. Meredith doskonale wiedziała, jak spokojnie można wyglądać na zewnątrz, kiedy w środku w człowieku wszystko się rozsypuje.

Minęli ostatni zakręt, wjechali w Birch Street i Meredith ostro zahamowała.

- O Boże! - krzyknęła Bonnie z tylnego siedzenia. - Nie! Nie!

- Szybko – popędził ich Stefano. - Jeszcze jest może jakaś szansa. - Szarpnięciem otworzył drzwi i wyskoczył

z samochodu, zanim się zatrzymał. Ale na tylnym siedzeniu
Bonnie płakała.

Rozdział 11

Samochód przystanął za jednym z wozów policyjnych, które zaparkowały w poprzek ulicy. Wszędzie były światła, światła migające na czerwono, niebiesko i żółto, światła buchające z okien domu Vickie.

- Zostańcie tutaj! - rzucił Matt i śladem Stefano wyskoczył z samochodu.

- Nie! - Bonnie uniosła głowę i chciała złapać go, zatrzymać w aucie. Nie mogła się uporać z zawrotami głowy i mdłościami, które ogarnęły ją, kiedy Tyler wspomniał imię Vickie. Było za późno, wiedziała od pierwszej chwili, że jest za późno. Matt też da się zabić.

- Zostań tu, Bonnie. Nie otwieraj drzwi. Ja idę z nimi

- mówiła Meredith.

- Nie! I mam dosyć tego mówienia mi, że mam zaczekać! - zawołała Bonnie, wyplątując się z pasa bezpieczeństwa. Wreszcie go jakoś odpięła. Nadal płakała, ale widziała na tyle wyraźnie, że zdołała wysiąść z samochodu i ruszyć biegiem w stronę domu Vickie. Tuż za sobą słyszała

Meredith.

Przed domem panowało zamieszanie: ludzie coś wołali, krzyczała jakaś kobieta, dało się słyszeć trzaski policyjnego

radia. Bonnie i Meredith od razu skierowały się na tyły domu, pod okno pokoju Vickie. Coś tu jest nie tak, myślała Bonnie. Że coś jest nie tak w widoku, który miała przed oczami, nie ulegało wątpliwości, ale trudno było powiedzieć konkretnie, o co chodzi. Okno pokoju Vickie było otwarte, ale przecież nie mogło być otwarte, środkowy panel okien wykuszowych nigdy się nie otwiera, myślała Bonnie. No ale, w takim razie, jakim cudem zasłony mogły powiewać na zewnątrz jak wystające za spodni poły koszuli?

Nie otwarte, ale wyłamane. Na zwirowanej ścieżce było pełno szkła, chrzęściło im pod nogami. W resztkach ramy widniały odłamki przypominające wyszczerzone w uśmiechu zęby. Ktoś się do domu Vickie włamał.

- Ona go zaprosiła do środka! - zawołała Bonnie z pełną bólu wściekłością. - Dlaczego to zrobiła? Dlaczego?

- Zostań tutaj – powiedziała Meredith, próbując obli-
zać spierzchnięte wargi.

- Przestań mi to powtarzać! Poradzę sobie, Meredith.
Jestem wściekła, to wszystko. Nienawidzę go. - Złapała
Meredith za ramię i razem ruszyły do okna.

Zasłony w otworze po oknie falowały. Były rozsunięte
na tyle, że dało się zajrzeć do pokoju.

W ostatniej chwili Meredith odepchnęła Bonnie
na bok i zajrzała pierwsza. Ale to nie miało znaczenia.
Parapsychiczne zdolności Bonnie były rozbudzone i już jej
mówiły, co tam jest. Wnętrze przypominało krater utwo-
rzony w ziemi po uderzeniu meteoru albo szkielet wypa-
lonego w pożarze lasu. W powietrzu wciąż wibrowała moc
i przemoc, ale już było po wszystkim. Pokój został spluga-
wiony.

Meredith odsunęła się od okna, zgięta w pół. Dostała
wymiotów. Zaciskając pięści tak, że paznokcie wbiły jej się
w dłonie. Bonnie wychyliła się i zajrzała do środka.

Najpierw uderzył ją zapach. Wilgotny, gęsty i metalicz-

ny. Prawie czuła go w ustach, a smakował jak przygryziony przypadkowo język. Sprzęt stereo grał coś, co zagłuszały krzyki od frontu i dudnienie krwi w uszach. Oczy, przyzwyczajając się do światła po panującym na zewnątrz mroku, widziały tylko czerwień. Wyłącznie czerwień.

Bo taki był nowy kolor pokoju Vickie. Znikł pastelowy błękit. Czerwone tapety, czerwona kołdra. Wielkie czerwone plamy na podłodze. Zupełnie jakby jakiś dzieciak dostał w swoje ręce kubełek czerwonej farby, a potem oszalał.

Utwór skończył się i zaczął odtwarzać od początku.

Zaszokowana Bonnie rozpoznała początek piosenki.

To było *Dobranoc, kochanie*.

- Ty potworze – sapnęła Bonnie. Żołądek ścisnął jej się z bólu. Dłoń zaciskała na ramie okna, coraz mocniej i mocniej. - Ty bydlaku. Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Meredith usłyszała ją i odwróciła się w jej stronę. Drżącą ręką odgarnęła włosy i kilka razy odetchnęła głęboko, próbując zrobić minę, jakby zdolna była się z tym wszystkim uporać.

- Skaleczysz sobie rękę – powiedziała. - Daj, zobaczę.

Bonnie nawet nie zdawała sobie sprawy, że złapała się odłamków szkła. Pozwoliła Meredith wziąć się za rękę, ale zamiast dać jej obejrzeć skaleczenie, obróciła dłoń i sama mocno ścisnęła rękę Meredith. Meredith wyglądała okropnie, jej ciemne oczy płonęły, wargi miała sinoniebieskie i cała się trzęsła. Ale nadal próbowała zaopiekować się Bonnie, nadal próbowała wszystko jakoś ogarnąć.

- No już – odezwała się Bonnie. - Płacz, Meredith.

Wrzeszcz, jeśli chcesz. Ale jakoś to z siebie wyrzucić. Nie musisz być teraz spokojna i dusić tego wszystkiego w sobie. Dzisiaj masz pełne prawo nie panować nad sobą.

Przez chwilę Meredith stała i dygotała, ale potem pokręciła głową i zdobyła się na jakąś upiorną namiastkę uśmiechu.

- Dam radę. Ja po prostu nie działałam w taki sposób.

Pozwól mi obejrzeć twoją rękę.

Bonnie chciała się spierać, ale wtedy zza rogu domu wyszedł Matt. Drgnął, widząc obie dziewczyny.

- Co wy tu...? - zaczął. A potem zobaczył okno.

- Ona nie żyje – powiedziała Meredith głucho.

- Wiem. - Matt wyglądał jak własna prześwietlona fotografia. - Powiedzieli mi to przed domem. Właśnie zabierają... - urwał.

- Nawaliliśmy I to po wszystkim, co jej obiecaliśmy...

- Meredith też urwała. Nic więcej nie można było dodać.

- Ale policja teraz będzie musiała nam uwierzyć. -

Bonnie spoglądała na Matta, a potem na Meredith, czepiając się tej jednej rzeczy, którą można było się pocieszyć. - Będą musieli.

- Nie – powiedział Matt. - Oni nie uwierzą, Bonnie.

Bo mówią, że to było samobójstwo.

- Samobójstwo? Czy oni widzieli ten pokój? Coś takiego nazywają samobójstwem?! - zawołała Bonnie podniesionym głosem.

- Mówią, że była psychicznie nie zrównoważona.

Mówią, że ona... Że dorwała się do jakichś nożyczek...

- O mój Boże – westchnęła Meredith.

- Myślą chyba, że czuła się winna po śmierci Sue.

- Ktoś się włamał do tego domu – powiedziała Bonnie ostro. - Muszą to przyznać!

- Nie. - Głos Meredith brzmiał miękko, jakby była szalenie zmęczona. - Popatrz na okno. Całe szkło jest na zewnątrz. Ktoś je wybił od środka. - Ach, i to jest to, co mi nie pasowało, zdała sobie sprawę Bonnie.

- Pewnie on to zrobił, żeby się wydostać – wywnioskował Matt. Popatrzyli po sobie w milczeniu, pokonani.

- Gdzie Stefano? - Meredith spytała cicho Matta. - Jest przed domem, gdzie każdy może go zobaczyć?

- Nie, kiedy się dowiedzieliśmy, że ona nie żyje, zawróciłem. Właśnie szedłem go poszukać. Musi to gdzieś być niedaleko...

- Cii! - syknęła Bonnie. Hałas od frontu ucichł. Kobięce krzyki też. W tej względnej ciszy dosłyszeli cichy głos dobiegający zza drzew orzecha na tyłach ogrodu.

- ...i to kiedy miałaś się nią opiekować!

Ton głosu sprawił, że Bonnie dostała gęsiej skórki na ra-

mionach.

- To on! - powiedział Matt. - I jest tam z Damonem.

Chodźcie!

Kiedy znaleźli się między drzewami, Bonnie słyszała Stefano wyraźniej. Bracia stali zwrócenii do siebie twarzami w świetle księżyca.

- Ufałem ci, Damon! Ufałem ci! - krzyczał Stefano.

Bonnie go jeszcze nie widziała tak wściekłego, nawet na cmentarzu. Ale to było coś więcej niż zwykły gniew. - A ty pozwoliłeś, żeby to się stało – ciągnął Stefano, nie patrząc na nadchodzącą Bonnie ani na pozostałych i nie pozwalając Damonowi wtrącić choć słowa. - Dlaczego czegoś nie zrobiłeś?! Jeśli za wielki z siebie tchórz, żeby z nim walczyć, to mogłeś przynajmniej mnie wezwać. A ty tak po prostu sobie stałeś!

Twarz Damona była nieprzenikniona. Jego czarne oczy błyszczały, a w postawie nie było teraz nic swobodnego ani rozleniwionego. Miał zaciętą minę. Otworzył usta, ale Stefano mu przerwał.

- To moja wina. Powinienem być mądrzejszy. Miałem przecież nauczkę. Oni wszyscy wiedzieli i ostrzegali mnie, a ja nie chciałem słuchać.

- Och, ostrzegali cię? - Damon zerknął na Bonnie z ukosa. Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Stefano, zaczekaj – powiedział Matt. - Moim zdaniem...

- Dlaczego ich nie posłuchałem? - wściekał się Stefano. Chyba nawet Matta nie słyszał. - Sam powinienem był z nią zostać. Obiecałem jej, że będzie bezpieczna, i skłamałem! Umarła, myśląc, że ją okłamałem! - Bonnie zobaczyła na twarzy Stefano poczucie winy trawiące go niczym żrący kwas. - Gdybym tylko tu został...

- To też byś zginął! - syknął Damon. - Nie masz do czynienia ze zwykłym wampirem. Złamałby cię na pół tak jak suchą gałązkę...

- I może tak byłoby najlepiej! - krzyknął Stefano. Klatka piersiowa unosiła mu się i opadała. - Wolałbym już raczej zginąć niż stać i na to patrzeć! Co się stało. Damon?

- Już się opanował i uspokoił. Był aż za spokojny, jego zielone oczy płonęły gorączkowo w bladej twarzy, a kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał zjadliwie: - Za bardzo się zająłeś ganianiem po krzakach jakiejś dziewczyny? A może po prostu mało cię to wszystko interesuje, żeby się wtrącać?

Damon nic nie powiedział. Był równie blady jak brat, mięśnie mu stężały. Promieniowała od niego wściekła furia, kiedy tak patrzył na Stefano.

- A może nawet cię to wszystko ucieszyło – ciągnął Stefano; podchodząc do niego jeszcze o krok, rzucał te słowa Damonowi prosto w twarz. - Tak, pewnie to o to chodziło, podobało ci się towarzystwo innego zabójcy. Miło było, Damon? Pozwolił ci popatrzeć?

Damon uderzył Stefano.

Stefano upadł jak długi. Meredith coś krzyknęła, a Matt zastąpił drogę Damonowi.

Odważnie, pomyślała oszołomiona Bonnie, ale nie-mądre. Powietrze aż trzaskało od elektryczności. Stefano

uniósł dłoń do ust. Krwawił.

Damon znów ruszył w jego stronę. Matt cofnął się przed nim, ale potem ukląkł obok Stefano na piętach i uniósł jedną rękę.

- Chłopaki, dość! Dostyc! Dobra? - zawołał.

Stefano usiłował podnieść się na nogi. Matt i Bonnie przytrzymała go mocno.

- Nie! Stefano, nie! Nie! - błagała Bonnie. Meredith złapała go za drugą rękę.

- Damon, przestań! Po prostu przestań! - rzucił ostro Matt.

Wszyscy powariowaliśmy, że się w to wtrącamy, pomyślała Bonnie. Że próbujemy przerwać bójkę dwóch rozłoszczonych wampirów. Przecież oni nas pozabijają tylko po to, żebyśmy się zamknęli. Damon rozgniecie Matta jak muchę.

Ale Damon przestał. Matt wciąż zagradzał mu drogę.

Przez chwilę nic się nie działo, nikt się nie poruszał, wszyscy zamarli. A potem, powoli, Damon rozluźnił się i stanął swobodniej.

Dłonie miał opuszczone i już ni zaciskał ich w pięści.

Powoli odetchnął. Bonnie zdała sobie sprawę, że sama też wstrzymywała oddech i teraz wypuściła powietrze z płuc.

Twarz Damon była zimna jak pomnik wykuty z lodu.

- Dobrze, jak chcecie – powiedział głosem równie zimnym. - Ale ja mam tego dość. Wynoszę się stąd. I tym razem, braciszku, jeśli za mną pójdziesz, zabiję cię. Obiecałem czy nie.

- Nie pójdę za tobą – oświadczył Stefano, nie podnosząc się z ziemi. Jego głos brzmiał tak, jakby nałykał się tłuczonego szkła.

Damon przerzucił kurtkę przez ramię. Rzucił Bonnie spojrzenie, które ledwie ją musnęło, i zawrócił. A potem jeszcze raz na nich spojrzął i odezwał się głośno i wyraźnie, a każde jego słowo było jak strzała wymierzona w Stefano.

- Ostrzegałem cię – powiedział. - O tym, kim jestem i o tym, która strona wygra. Powinieneś był posłuchać mnie, mały braciszku. Może dzisiejsza noc czegoś cię na-

uczy.

- Nauczyłem się, że nie warto ci ufać – wycedził

Stefano. - Wynoś się stąd, Damon. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Bez jednego słowa Damon odwrócił się i odszedł w mrok.

Bonnie puściła ramię Stefano i ukryła twarz w dłoniach.

Stefano wstał, otrząsając się jak kot, którego trzymano na kolanach wbrew jego własnej woli. Odszedł nieco na bok, odwracając od nich twarz. A potem po prostu tam stał. Wydawało się, że gniew opuścił go równie szybko, jak się pojawił.

Co my teraz powiemy? - zastanowiła się Bonnie, unosząc wzrok. Co można powiedzieć? Stefano miał rację co do jednego: ostrzegali go przed Damonem, a on ich nie słuchał. Naprawdę wydawało się, że wierzy, że jego bratu można zaufać. A potem wszyscy byli nieostrożni, polegając na Damonie, bo tak było łatwiej i dlatego też, że jego pomocy zwyczajnie potrzebowali. Nikt się nie sprzeciwiał postawie-

niu dziś wieczorem na warcie Damona.

Wszyscy byli winni. Ale to Stefano będzie się teraz zadreślał z powodu tego nieszczęścia. Wiedziała, że właśnie to kryło się za jego niekontrolowaną wściekłością na Damona: jego własny wstyd i żal. Zastanawiała się, czy Damon o tym wiedział i czy w ogóle go to obchodziło.

I zastanawiała się też, co tak naprawdę dziś wieczorem się wydarzyło. Tera, kiedy Damon odszedł, pewnie nigdy się już tego nie dowiedzą.

Ale nieważne, pomyślała. Mimo wszystko lepiej, że już go nie ma.

Przed domem hałasy znów się wzmagaly: po ulicy jechały samochody, rozlegały się krótkie sygnały syren, trzaśkały drzwi. Na razie wśród drzew orzecha włoskiego byli bezpieczni, ale nie mogli tu długo zostać.

Meredith jedną dłoń przyciskała do czoła, przymykając oczy. Bonnie popatrzyła na nią, a potem na Stefano, na światła w cichym domu Vickie za drzewami. Poczwała

ogromne znużenie. Cała adrenalina zniknęła. Już nie czuła gniewu z powodu śmierci Vickie, tylko przygnębienie, żal i wielkie, wielkie zmęczenie. Żałowała, że nie jest u siebie w domu, gdzie mogłaby się wśliznąć do łóżka i nakryć głowę kołdrą.

- Tyler – powiedziała na głos. A kiedy wszyscy obrócili się i patrzyli na nią, dodała: - Zostawiliśmy go w ruinach kościoła. A on jest teraz naszą ostatnią nadzieją. Trzeba go zmusić, żeby nam pomógł.

To poderwało wszystkich na nogi. Stefano zawrócił i nie odzywając się do nikogo ani nikomu nie patrząc w oczy, poszedł ich śladem w stronę ulicy. Samochody policyjne i karetki już odjechały. Bonnie, Meredith, Matt i Stefano niepokojeni przez nikogo pojechali samochodem Meredith w stronę cmentarza.

Ale kiedy dotarli do ruin kościoła, Tylera nie było.

- Nie związaliśmy mu nóg – powiedział Matt, z grymasem niezadowolenia. - Pewnie poszedł piechotą, bo jego

samochód nadal stoi.

A może został stąd zabrany, pomyślała Bonnie. Na kamiennej posadzce nie było żadnych śladów, które mogłyby im wskazać, co się stało.

Meredith podeszła do wysokiego do kolan muru i usiadła na nim, jedną dłonią ściskając sobie skrzydełka nosa.

Bonnie ciężko oparła się o dzwonnice.

Kompletnie zawiedli. Tylko tak można było podsumować dzisiejszy wieczór. Przegrali, a on wygrał. Wszystko, co dziś zrobili, skończyło się porażką.

A Stefano, o ile widziała, nadal całą odpowiedzialnością obarczał siebie.

Zerkała na niego, kiedy jechali z powrotem do pensjonatu. Siedział z opuszczoną głową. Przyszła jej do głowy kolejna myśl, od której dreszcz przebiegł jej po plecach. Teraz, kiedy Damon odszedł, mógł ich ochronić tylko Stefano.

A jeśli będzie słaby i wycieńczony...

Bonnie przygryzła wargę, kiedy Meredith zaparkowała pod stodołą. W jej głowie zaczął się rysować pewien

plan. Przyprawił ją o niepokój, a nawet strach, ale kolejne spojrzenie Stefano tylko umocniło jej postanowienie.

Ferrari nadal stało pod stodołą – najwyraźniej porzucone przez Damona. Bonnie zastanawiała się, jak on zamierza podróżować po kraju, a potem pomyślała o skrzydłach. Miękkich jak aksamit, silnych, czarnych wronich szkrzydłach, o piórach, w których światło odbija się tęczą. Damon nie potrzebował samochodu.

Weszli do pensjonatu tylko na chwilę, żeby Bonnie mogła zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że dziś zanocuje u Meredith. Taki miała pomysł. Ale kiedy Stefano wspiał się po schodach do swojego pokoju na poddaszu, Bonnie zatrzymała Matta na frontowej werandzie.

- Matt? Mogę cię prosić o przysługę?

Obejrzał się na nią, oczy mu się rozszerzyły.

- To słowa z podtekstem. Ile razy Elena je wypowiedała...

- Nie, nie, to nic takiego strasznego. Chciałam tylko, żebyś się zaopiekował Meredith, dopilnował, żeby bezpiecznie dotarła do domu, i tak dalej. - Wskazała ręką na przyjaciółkę, która już zmierzała w stronę samochodu.

- Ale przecież ty jedziesz z nami.

Bonnie zerknęła stronę samochodów.

- Nie. Chyba tu jeszcze trochę zostanę. Stefano mnie potem odwiezie. Chciałabym jeszcze z nim o czymś porozmawiać.

- Ale o czym porozmawiać? - Matt się zdziwił.

- O czymś. Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Zrobisz to dla mnie, Matt?

- Ale... Och, no dobra. Jestem zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Rób, co chcesz. Do zobaczenia jutro. - Odszedł, wyraźnie skonsternowany i trochę zły.

Bonnie zdziwiła się trochę, że tak łatwo ustąpił.

Zmęczony czy nie, dlaczego miał się przejmować tym, że ona chce porozmawiać ze Stefano? Ale nie miała czasu łamać sobie tym głowy. Spojrzała na schody, wyprostowała ramiona i weszła na górę.

Brakowało żarówki w lampie na poddaszu i Stefano zapalił świeczkę. Rzucił się jak długi na łóżko. Jedną nogą zwi-
sała z łóżka, oczy miał zamknięte. Możliwe, że spał. Bonnie

podeszła na palcach i dla dodania sobie odwagi głęboko ode-
tchnęła.

- Stefano?

Otworzył oczy.

- Myślałem, że pojechaliście.

- Oni pojechali, ja nie.

Boże, ale on jest blady, pomyślała Bonnie. Od razu
przeszła do rzeczy.

- Stefano, zastanawiałam się nad czymś. Kiedy Damona
nie ma, tylko ty stoisz pomiędzy nami a tym zabójcą. A to zna-
czy, że musisz być silny, tak silny, jak tylko się da. I, no wiesz,
pomyślałam sobie, że może... No wiesz... Że potrzebu-
jesz... - Urwała. Nieświadomie bawiła się jednorazowy-
mi chusteczkami, którymi miała opatrzone skaleczenie na
dłoni. Nadal mocno krwawiło w miejscu, gdzie zraniła się

szkłem.

Powiódł za jej spojrzeniem i też popatrzył na skaleczenie. A potem szybko uniósł wzrok do jej twarzy i wyczytał w niej zgodę. Na długą chwilę zapadła cisza.

A potem pokręcił głową.

- Ale dlaczego? Stefano, ja nie chcę poruszać spraw zbyt osobistych, niemniej moim zdaniem nie wyglądasz za dobrze. Nikomu na wiele się nie zdasz, jeśli załabniesz. No i... Ja nie mam nic przeciwko, o ile wypijesz tylko troszkę. To znaczy, przecież ja nawet tego nie odczuję, prawda? I na pewno aż ta bardzo nie boli. No i... - Głos uwiązał jej w gardle. On patrzył na nią w milczeniu, co bardzo ją zbijało z tropu. - No co, dlaczego nie? - spytała ostro nieco zawiedziona.

- Ponieważ – powiedział cicho – złożyłem obietnicę.

Może nie słowami, ale mimo wszystko obietnicę. Nie będę się pożywiał ludzką krwią, bo to oznacza wykorzystywanie

człowieka, jakby był żywym inwentarzem. I z nikim krwi

nie wymienię, bo to symbol miłości, a ja... - Tym razem to on nie zdołał dokończyć zdania. Ale Bonnie zrozumiała.

- Już nigdy nie będzie nikogo innego, prawda? - domyśliła się.

- Nie. Nie dla mnie. - Stefano był tak zmęczony, że tracił panowanie nad sobą i Bonnie zdołała dojrzeć, co kryje się za jego maską. I znów dostrzegła ból i potrzebę tak wielkie, że musiała odwrócić wzrok.

Serce jej ścisnęły dziwne, niewyraźne przeczucie i jakiś niepokój. Kiedyś zastanawiała się, czy Matt kiedykolwiek dojdzie do siebie po śmierci Eleny i wydawało jej się, że się pozbierał. Ale Stefano...

Stefano był inny, zdała sobie sprawę i zrobiło jej się jeszcze zimniej. Nieważne, ile czasu minie, nieważne, co będzie robił, jego rana nigdy się do końca nie zagoi. Bez Eleny już zawsze będzie tylko własnym cieniem.

Musiała coś wymyślić, musiała coś zrobić, żeby odsunąć od siebie to okropne uczucie niepokoju. Stefano potrzebował Eleny jak powietrza. Dziś wieczorem zaczął się załamywać, szarpał się między samokontrolą a wybuchami gwał-

townego gniewu. Gdyby tylko mógł chociaż na moment zobaczyć Elenę i z nią porozmawiać...

Przyszła tutaj zaoferować Stefano dar, którego nie chciał. Ale istniało jeszcze coś, czego naprawdę pragnął, rozumiała Bonnie, i tylko w jej mocy było ten dar mu ofiarować.

Nie patrząc na niego, spytała:

- Czy chciałbyś zobaczyć Elenę?

Zapadła cisza. Bonnie usiadła, obserwując cienie chwiejące się i migoczące w pokoju. Wreszcie odważyła się zerknąć na Stefano kątem oka.

Z trudem oddychał, oczy miał mocno zaciśnięte, ciało napięte jak cięciwa łuku. Bonnie stwierdziła, że on próbuje zebrać siły, żeby oprzeć się pokusie.

I przegrał w tej walce. Bonnie to widziała.

Elena zawsze stanowiła dla niego nieodpartą pokusę.

Kiedy znów spojrział jej w oczy, patrzył ponuro, zaciskając usta w wąską kreskę. Jego skóra już nie była blada, ale

zarumieniona. Nadal był spięty.

- Bonnie, możesz zrobić sobie krzywdę.

- Wiem.

- Otworzysz się na moc, której nie możesz kontrolować. A ja nie jestem w stanie zagwarantować, że cię przed nią obronię.

- Wiem. No to jak, chcesz to zrobić?

Złapał ją za rękę gwałtownym ruchem.

- Bonnie, dziękuję ci – szepnął.

Krew napłynęła jej do twarzy.

- Nie ma za co – westchnęła. Dobry Boże, ależ on był przystojny. Te oczy... Za chwilę mogła się na niego rzucić albo rozkleić się kompletnie na tym łóżku. Z przyjemnie bolesnym przekonaniem o własnej cnocie wysunęła dłoń z jego uścisku i obróciła się w stronę świecy. - Może spróbuję wpaść w trans i ją odnaleźć, a potem, kiedy już nawiążę kontakt, postaram się wrócić i zabrać cię ze sobą? Myślisz, że to się uda?

- Możliwe, jeśli ja też będę szukał kontaktu tobą – powiedział, już nie patrząc na nią tak natarczywie i przenosząc

spojrzenie na świecę. - Mogę czytać w twoich myślach...

Kiedy będziesz gotowa, ja to poczuję.

- Dobrze. - Świeca była biała, gładka i błyszcząca.

Płomień migotał. Bonnie wpatrywała się w niego tak długo, aż się w nim zatraciła i pokój się rozmył. Był tylko ten płomień, ona sama i płomień. Wnikała w ten płomień.

Otoczyła ją nieznośna jasność. A potem, przez nią,

Bonnie weszła w mrok.

W domu pogrzebowym było zimno. Bonnie rozejrzała się z niepokojem, zastanawiając się, jakim cudem się tutaj znalazła, próbując jakoś pozbierać myśli. Była zupełnie sama i z jakiegoś powodu ją to niepokoiło. Czy nie powinien tu być z nią ktoś inny? Poszukała tego kogoś wzrokiem.

W pomieszczeniu obok dostrzegła światło. Ruszyła w tamtą stronę i serce zaczęło jej walić. To był pokój, w którym wystawiono ciało zmarłego i pełno w nim stało wysokich kandelabrow, w których płonęły białe świece. Pomiędzy

nimi stała biała trumna z otwartym wiekiem.

Krok po kroku, jakby coś ją przyciągało, Bonnie podeszła do trumny. Nie chciała do niej zaglądać. Ale musiała.

W tej trumnie coś na nią czekało.

Salę powijało ciepłe światło świec. Zupełnie jak na jakiejś pływającej wyspie światłości. Ale nie chciała patrzeć...

Poruszając się jak na zwolnionym filmie, podeszła do trumny i spojrzała na wyściełający ją biały atlas. Trumna była pusta.

Bonnie zamknęła ją i cichym westchnieniem oparła się o wieko.

A potem kątem oka dostrzegła jakiś ruch i obróciła się gwałtownie.

To była Elena.

- O Boże, ale mnie przestraszyłaś – powiedziała.

- Myślałam, że ci mówiłam, żebyś tu nie przychodziła

- odparła Elena.

Tym razem włosy miała rozpuszczone. Bładozłote, spływały jej na ramiona jak biały płomień świecy. Miała na

sobie cienką białą suknię, która lekko połyskiwała w świetle świec. Sama wyglądała jak świeca, promieniejąca, rozświetlona. Była bosa.

- Przyszłam tu, żeby... - zaczęła Bonnie, bo jakaś myśl przemknęła jej przez głowę. To był jej sen, jej trans. Musiała sobie to coś przypomnieć. - Przyszłam tu, żeby ci umożliwić spotkanie ze Stefano. - dokończyła.

Elena szerzej otworzyła oczy, rozchyliła usta. Bonnie rozpoznała ten wyraz tęsknoty, nieznośnego pragnienia. Niecały kwadrans temu widziała go na twarzy Stefano.

- Och... - szepnęła Elena. Przełknęła z trudem, a jej oczy pociemniały. - Och, Bonnie... Ale ja nie mogę.

- Dlaczego nie?

W oczach Eleny lśniły teraz łzy, a jej wargi drżały.

- A co, jeśli zaczną się zmiany? Jeśli on się pojawi i...

- Dotknęła dłonią ust i Bonnie przypomniał się ten ostatni sen, z wypadającymi zębami. Bonnie spojrzała Elenie w oczy z przestraczem i zrozumieniem. - Nie rozumiesz?

Nie zniósłabym, gdyby coś takiego miało się stać – szepnęła

Elena. - Jeśli zobaczy mnie w taki stanie... A ja tu nie mogę niczego kontrolować, nie mam dość siły. Bonnie, proszę, nie sprowadzaj go tu. Powiedz mu, jak bardzo mi przykro. Powiedz mu... - Zacisnęła powieki, popłynęły spod nich łzy.

- Dobrze. - Bonnie czuła, że sama się za moment rozpłaczę, ale Elena miała rację.

Sięgnęła do umysłu Stefano, żeby mu to wyjaśnić, żeby mu pomóc znieść to rozczarowanie. Ale kiedy tylko dotknęła jego myśli, wiedziała, że zrobiła błąd.

- Stefano, nie! Elena mówi... - Ale to już nie miało znaczenia. Jego umysł był silniejszy i w tej samej chwili, w której nawiązała kontakt, on przejął kontrolę. Wyczuł

sens jej rozmowy z Eleną, ale nie zamierzał zaakceptować odmownej odpowiedzi. Bezradna Bonnie czuła, jak Stefano przejmuje kontrolę, czuła, jak jego umysł zbliża się, jest coraz bliżej kręgu światła uformowanego przez kandelabry. Poczwała jego obecność, zaczął przybierać konkretny kształt.

Obejrzała się i zobaczyła go, ciemne włosy, spięta twarz, zielone oczy wojownicze jak u sokoła. A potem, wiedząc, że już nic więcej nie może zrobić, wycofała się, żeby mogli na trochę zostać sami.

Rozdział 12

Stefano usłyszał cichy, pełen bólu szept:

- Och, nie...

Ten głos, którego już nigdy nie miał usłyszeć, którego nigdy nie zapomni. Po skórze przebiegły mu dreszcze i zaczął dygotać. Obrócił się w stronę tego głosu, natychmiast koncentrując na nim swoją uwagę i niemal odcinając działanie umysłu, bo nie mógł sobie poradzić z tak wieloma gwałtownymi emocjami naraz.

Obraz przed oczyma miał rozmazany i widział tylko plamę jasności jak od tysiąca świec. Ale to nie miało znaczenia. Wyczuwał ją. Tę samą obecność, którą poczuł tego pierwszego dnia w Fell's Church, białozłote światło, które zajaśniało w jego świadomości. Pełne chłodnego piękna, pasji i wibrujące życiem. Domagające się, by ruszył w jego stronę i by zapomniał o wszystkim innym.

Elena. To naprawdę była Elena.

Jej obecność go przeniknęła, napełniła po koniuszki palców. Wszystkie jego wygłodniałe zmysły skoncentrowały się na tej plamie światła, szukając Eleny. Potrzebując jej.

A potem się ukazała.

Poruszała się powoli, z wahaniem. Jakby ledwie mogła się do tego zmusić. Stefano paraliżowały emocje.

Elena.

Zobaczył jej twarz jakby po raz pierwszy. Bładozłote włosy tworzące aureolę. Jasna, idealna cera. Szczupłe, gibkie ciało w tej chwili odsuwające się od niego, z jedną dłonią uniesioną.

- Stefano – dobiegł go szept i to był jej głos. Jej głos, który powtarzał jego imię. Ale tyle w nim było bólu, że zapragnął pobiec do niej, utulić ją, obiecać, że już wszystko będzie w porządku. - Stefano, proszę... Ja nie mogę...

Mógł teraz dostrzec jej oczy. Ciemny błękit lapisu-lazuli, w tym świetle nakrapiany złotem. Rozszerzone bólem i pełne łez. Serce mu pękało od tego widoku.

- Nie chcesz mnie oglądać. - Jego głos był suchy jak przydrożny kurz.

- Nie chcę żebyś ty oglądał mnie. Och, Stefano, on tu może wszystko zmienić. A znajdzie nas. Przyjdzie tu...

Ogromna radość ogarnęła Stefano. Ledwie mógł zrozumieć sens tego, co Elena mówiła, ale to nie miało znaczenia. Sposób w jaki wymawiała jego imię, uszczęśliwiał go. To „Och, Stefano” powiedziało mu wszystko.

Podszedł do niej, chciał dotknąć jej dłoni. Zobaczył, że przecząco kręci głową, że rozchyła wargi, szybko oddychając. Z bliska jej skóra skrzyła się poświatą jak płomień prześwitujący przez wosk świecy. Łzy błyszczały na jej rzęsach jak diamenty.

Chociaż wciąż kręciła głową, jednak nie cofnęła ręki. Stefano

delikatnie dotykał opuszek jej palców.

A z tak bliskiej odległości nie mogła unikać jego wzroku. Wpatrywali się w siebie jak zahipnotyzowani. Aż wreszcie przestała powtarzać „Stefano, nie” i już tylko szeptała jego imię.

Nie mógł myśleć. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Nic już nie miało znaczenia poza tym, że ona tu była, że byli tu razem. Nie dostrzegał dziwnego otoczenia, nie obchodziło go, kto może ich obserwować.

Z czułością zamknął jej dłoń w swojej, splatając jej palce ze swoimi. Drugą dłonią dotykał jej twarzy.

Przymknęła oczy, przyciskając policzek do dłoni ukochanego. Poczul spływające łzy. Łzy ze snu. Ale one były przecież prawdziwe. Ona była prawdziwa.

Elena.

Było mu tak słodko i dobrze, aż bolało. Kciukiem ścierał łzy z jej twarzy.

Cała czułość, której nie mógł okazać przez ostatnie pół roku, wszystkie emocje, które na tak długo zamknął w swoim sercu, popłynęły rwącym strumieniem, którego nurt porwał Stefano. Porwał ich oboje. Tak niewiele trzeba było zrobić, żeby znów trzymać Elenę w ramionach.

Anioł w jego objęciach emanujący pięknem. Istota utkana ze światła i z powietrza. Zadrzała w jego uścisku, a potem, z

zamkniętymi oczami, rozchyliła usta.

Pocałunek nie miał w sobie nic z chłodu śmierci. Stefano ogarnęły płomienie. Poczul, że traci panowanie nad sobą. Emocje, którym do tej pory nie pozwalał sobą zawładnąć, uwolniły się. Również po jego policzkach popłynęły łzy, gdy tulił Elenę, chcąc sprawić, by stali się jednością. Żeby nic już nigdy nie mogło ich rozdzielić.

Oboje płakali nie przerywając pocałunku. Elena przyłgnęła do niego każdym centymetrem ciała tak, jakby tylko tu było jej miejsce. Wargi miał słone od jej łez.

Wiedział, że jest coś, o czym powinien pomyśleć. Ale jej dotyk sprawił, że zapomniał o wszystkim. Świat mógł się rozpaść, a jemu byłoby wszystko jedno, póki tylko mógł ją trzymać w ramionach.

Elena drżała.

Nie tylko z wrażenia, nie tylko od tej intensywności uczuć, od której kręciło mu się w głowie, pijanemu szczęciem. Drżała ze strach. Wyczuwał to w jej myślach i pragnął ja chronić, stać się jej tarczą i jej obrońcą i zabić wszystko, co ośmielało się przyprawić ją o lęk. Uniósł głowę szukając tego, co zagrażało Elenie.

- Co to? - spytał. - Jeśli coś próbuje cię skrzywdzić...

- Nic mnie nie może skrzywdzić. - Spojrzała mu w twarz. - Boję się o ciebie, Stefano, o to, co on może zrobić tobie. I o to, co może ci kazać zobaczyć... - Jej głos zadrżał. - Och, Stefano, idź już,

zanim on się pojawi. On cię wyczuje poprzez mnie. Proszę, proszę, idź...

- Poproś mnie o cokolwiek innego, a zrobię to – obiecał Stefano. Zabójca musiałby go rozedrzeć na kawałki, mięsień po mięśniu, komórka po komórce, żeby zmusić, by opuścił Elenę.

- Stefano, to tylko sen – tłumaczyła mu Elena, a po jej policzkach znów popłynęły łzy. - Naprawdę nie możemy się dotykać, nie możemy być razem, to niedozwolone.

Stefano nic to nie obchodziło. Wcale nie miał wrażenia, że to sen. Wszystko wydawało się realne. Nawet we śnie nie miał zamiaru porzucać Eleny, dla nikogo. Żadna siła na niebie i ziemi nie mogły go zmusić, żeby...

- A tu się mylisz, koleś. Niespodzianka! - usłyszał czyjś głos, głos, którego Stefano jeszcze nigdy nie słyszał. Ale rozpoznał go instynktownie jako głos zabójcy. Łowcy wśród łowców. A kiedy się obejrzał, przypomniał sobie, co powiedziała o nim Vickie, biedna Vickie.

On wygląda jak diabeł.

O ile diabeł jest przystojny i ma jasne włosy.

Miał na sobie znoszony prochowiec, dokładnie jak to opisała Vickie. Brudny i zniszczony. Wyglądał jak przeciętny przechodzień na ulicy jakiegoś wielkiego miasta, poza tym że był taki wysoki, a oczy miał niesamowicie jasne, przenikliwe. Jaskrawobłękitne jak

niebo w czasie mrozów. Włosy, niemal białe, sterczały zmierzwiłone podmuchami zimnego wiatru. Od jego szerokiego uśmiechu Stefano zrobiło się niedobrze.

- Salvatore, jak mniemam – powiedział przybysz z niedbałym ukłonem. - I, oczywiście, nasza piękna Elena. Piękna zmarła Elena. Chcesz do niej dołączyć, Stefano? Jesteście przecież stworzeni dla siebie.

Wyglądał młodo, na kogoś starszego od Stefano, ale jednak młodego. Chociaż młody nie był.

- Stefano, odejź już – poprosiła Elena. - On mnie nie może skrzywdzić, ale ciebie tak. Może sprawić, że coś pójdzie twoim śladem, kiedy wyjdiesz z tego snu.

Stefano nie cofnął ramienia, którym ją obejmował.

- Brawo! - przyklasnął mężczyzna w prochowcu, rozglądając się wkoło, jakby zachęcał do oklasków jakąś niewidzialną publiczność. Lekko się zachwiał i gdyby był człowiekiem, Stefano pomyślałby, że jest pijany.

- Stefano, proszę... - szepnęła Elena.

- Niegrzecznie byłoby odejść, zanim zostaliśmy sobie przedstawieni – stwierdził jasnowłosy mężczyzna.

Z rękoma w kieszeniach płaszcza podszedł bliżej. - Nie chcesz wiedzieć, kim jestem?

Elena pokręciła głową w poczuciu porażki i oparła ja na

ramieniu Stefano. Pogłaskał ją po włosach, chcąc chronić przed szaleńcem.

- Chcę wiedzieć – powiedział, ponad jej głową spoglądając na jasnowłosego.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego od razu mnie o to nie spytałeś – odparł mężczyzna, drapiąc się w policzek środkowym palcem – zamiast wypytywać innych. Tylko ja mogę ci wszystko powiedzieć. A jestem na tym świecie już dość długo.

- Jak długo? - spytał Stefano obojętnie.

- Bardzo długo... - Oczy jasnowłosego mężczyzny stały się rozmarzone, jakby wspominał minione lata. - Rozdzierałem śliczne białe gardziołka, kiedy twoi przodkowie budowali Koloseum. Zabijałem z armią Aleksandra. Walczyłem pod Troją. Jestem stary, Salvatore. Jestem jednym z Pierwszych. W moich najwcześniejszych wspomnieniach noszę siekierą z brązu.

Stefano pokiwał głową.

Słyszał o Starszych, oczywiście. Szeptało się o nich wśród młodych wampirów, ale Stefano nie znał żadnego, który był kiedyś Starszego osobiście spotkał. Każdego wampira stwarzał jakiś inny wampir, przemieniał go poprzez wymianę krwi. Ale gdzieś, u zarania dziejów, musieli istnieć ci Pierwsi, ci, którzy nie zostali przemienieni przez kogoś innego. To od nich zaczyna się linia wampirów. Nikt nie wiedział, jak oni sami stali się wampirami. Ale

ich moc była legendarna.

- Pomagałem zniszczyć cesarstwo rzymskie – ciągnął mężczyzna zamyślony. - Nazywali nas barbarzyńcami... oni nic nie rozumieli! Wojna, Salvatore! Nie ma nic lepszego od niej. Europa była wtedy ciekawym miejscem. Postanowiłem na trochę pomieszkać na wsi i się nią nacieszyć. Dziwne, wiesz, ale ludzie jakoś nigdy nie czuli się przy mnie swobodnie. Zwykle rzucali się do ucieczki albo zegnali znakiem krzyża. - Pokręcił głową. - Ale jedna kobieta kiedyś przyszła do mnie po pomoc. Służyła na dworze pewnego barona i jej młoda pani chorowała. Powiedziała, że jest umierająca, chciała, żebym ją uratował. A więc... - Uśmiech powrócił, coraz szerszy i szerszy. - Zrobiłem to. Ładniutkie z niej było stworzenie.

Stefano obrócił się, żeby zasłonić Elenę przed tym jasnowłosym mężczyzną, a teraz, na chwilę, odwrócił też głowę. Powinien był wiedzieć, powinien był się tego domyślić. I wszystko znów do niego wróciło. Za śmierć Vickie i Sue winę ostatecznie należało przypisać jemu. To on uruchomił domino wydarzeń, które do tego doprowadziły.

- Katherine – powiedział, unosząc głowę, żeby spojrzeć na kobietę. - Jesteś wampirem, który przemienił Katherine.

- Żeby uratować jej życie – podkreślił mężczyzna takim tonem, jakby Stefano był za głupi, żeby samemu zrozumieć dawaną

mu lekcję. - To, które jaj potem odebrała twoja ukochana.

Imię. Stefano szuka w pamięci imienia, wiedząc, że Katherine kiedyś mu je zdradziła, tak samo, jak to, że raz kiedyś mu już tego mężczyznę opisywała. W myślach znów usłyszał słowa Katherine: „Obudziłam się w środku nocy i zobaczyłam mężczyznę, którego sprowadziła Gudren, moja służąca. Przeraziłam się. Na imię miał Klaus i słyszałam, że ludzie w wiosce mówili, że jest wcieleniem zła...”

- Klaus – powiedział jasnowłosa mężczyzna łagodnym tonem, jakby czemuś przytakując. - A przynajmniej ona tak mnie nazywała. Wróciła do mnie, kiedy rzuciło ją dwóch młodych włoskich chłopców. Zrobiła dla nich wszystko, przemieniła ich w wampiry, obdarzyła nieśmiertelnością, ale oni okazali się niewdzięczni i ją odrzucili. Bardzo dziwne.

- To nie było tak – wycedził przez zęby Stefano.

- A co jeszcze dziwniejsze, nigdy nie zdołała zapomnieć o tobie, Salvatore. Właśnie o tobie. Zawsze czyniła niepoehlebne dla mnie porównania. Próbowałem wbić jej do głowy nieco rozumu, ale nigdy mi się to tak naprawdę nie udało. Może sam powinienem był ją zabić, nie wiem. Ale wtedy już zdążyłem się przyzwyczaić, że się przy mnie kręci. Nigdy nie była specjalnie bystra. Ale przyjemnie się na nią patrzyło i lubiła się bawić. A na koniec chyba trochę straciła rozumu. No ale, co z tego? Przecież nie dla rozumu ją

trzymałem.

W sercu Stefano nie został już nawet okruch dawnej miłości do Katherine, ale przekonał się teraz, że nadal potrafi czuć nienawiść do tego, który zrobił z niej to, czym się pod koniec stała.

- Ja? Ja, kochany? - Klaus z niedowierzaniem uderzył się w pierś. - To ty sprawiłeś, że Katherine stała się tym, czym się stała na koniec, a raczej sprawiła to twoja nowa dziewczyna. W tej chwili Katherine jest pyłem. Pokarmem dla robaków. Ale na razie, twoja ukochana jest jakby poza moim zasięgiem. Wibruje na wyższym poziomie, czy nie tak określają to mistycy, Eleno? Może jednak powibrowałabyś niżej, razem z nami wszystkimi?

- Gdybym tylko mogła – szepnęła Elena, unosząc głowę i spoglądając na niego z nienawiścią.

- Och, co zrobić. A tymczasem mam twoich przyjaciół. Sue była taką słodką dziewczynką, rozumiesz. Delikatna, ale pełna aromatu, o przyjemnym bukiecie. Raczej jak dziewiętnastolatka niż siedemnastolatka.

Stefano zrobił krok na przód, ale Elena go powstrzymała.

- Stefano, nie! To jego terytorium, a moc ma większą niż my. On tu wszystko kontroluje.

- No właśnie. To moje terytorium. Nierzeczywistość. - Klaus wyszczerzył zęby, w tym swoim zwykłym psychopatycznym uśmiechu. - To tu twoje najgorsze koszmary się spełniają. Na

przykład – dodał, patrząc na Stefano – jakby ci się podobało popatrzeć sobie, jak twoja ukochana teraz naprawdę wygląda? Bez tego makijażu?

Elenie wyrwał się zduszony jęk. Stefano przytulił ją mocniej.

- Ile to czasu minęło, odkąd umarła? Mniej więcej sześć miesięcy? Wiesz, co się dzieje z ciałem, które przeleżało w ziemi sześć miesięcy? - Klaus znów oblizwał wargi językiem, zupełnie jak pies.

Teraz Stefano zrozumiał. Elena dygotała, nie podnosiła głowy i próbowała się od niego odsunąć, ale objął ją mocniej ramionami.

- Wszystko w porządku – powiedział do niej miękko. A do Klausy syknął: - Zapominasz się. Ja nie jestem człowiekiem, który podskakuje ze strachu na widok jakiegoś cienia albo krwi. Klaus, ja wiem, co to śmierć. Ona mnie nie przeraża.

- Nie, ale czy cię zachwyca? - Głos Klausy obniżył się, pobrzmiwała w nim groźba. - Czy zachwyca cię smród rozkładu, gnijące i rozplywające się ciało? Świetna sprawa, nie?

- Stefano, puść mnie. Proszę. - Elena trzęsła się. Odpychała go, przez cały czas odchylając głowę, żeby nie mógł dostrzec jej twarzy. Po głosie słyszał, jak bliska jest płaczu. - Proszę cię.

- Jedyna moc, jaką dysponujesz, to moc iluzji – powiedział Stefano do Klausy. Przyciągnął do siebie Elenę, przytulając policzek do jej włosów. Czuj zmiany zachodzące w jej ciele. Włosy pod jego

policzkiem stawały się coraz bardziej szorstkie, a Elena jakby zapadała się w siebie.

- W pewnych typach gleby skóra potrafi wyprawić się na rzemień – zapewnił go Klaus, uśmiechnięty od ucha do ucha, o rozjarzonych oczach.

- Stefano, ja nie chcę, żebyś na mnie patrzył...

Nie spuszczać wzroku z Klause, Stefano łagodnie odgarnął pobielające, sztywne włosy i pogłaskał Elenę po policzku, ignorując szorstkość, jaką wyczuwał pod palcami.

- Ale, oczywiście, w większości przypadków następuje zwykły rozkład. Ale ekstra! Traci się wszystko: skórę, ciało, mięśnie, organy wewnętrzne... Wszystko wraca z powrotem do ziemi...

Ciało objęciach Stefano kurczyło się. Zamknął oczy i przytulił je mocniej, czując palącą nienawiść do Klause. Iluzja, to wszystko tylko iluzja...

- Stefano... - Szept cichy jak szelest papieru przesuwanego podmuchem wiatru po chodniku. Ten szept na moment zawisł w próżni, a potem ucichł, a Stefano poczuł, że trzyma w objęciach stos kości.

- No i wreszcie tak to się kończy, ponad dwustoma osobnymi, łatwymi do poskładania elementami układanki. Dostarczane w eleganckim, drewnianym opakowaniu przenośnym... - Na zewnątrz oświetlonego kręgu coś skrzypiało. Stojąca tam biała trumna

otwierała się sama, jej wieko się unosiło. - Może zechcesz pełnić honory domu, Salvatore? Idź, odłóż Elenę na miejsce, jak trzeba.

Stefano osunął się na kolana, rozedrgany, spoglądając na trzymane w dłoniach białe, delikatne kostki. To wszystko było tylko złudzeniem – Klaus tylko kontrolował trans Bonnie i pokazywał Stefano to, co sam chciał mu pokazać. Tak naprawdę nie mógł skrzywdzić Eleny, ale furia, która ogarnęła Stefano, sprawiła, że nie chciała tego zrozumieć. Ostrożnie złożył na ziemi kruche kości i dotknął ich raz, łagodnie. A potem podniósł wzrok na Klause, z pogardą obnażając zęby.

- To nie jest Elena – powiedział.

- Ależ oczywiście, że jest. Wszędzie bym ją rozpoznał. - Klaus rozłożył ręce i wyrecytował: - „Znałem kobietę o pięknym szkielecie...”

- Nie. - Na czole Stefano perlił się pot. Odciął się do głosu Klause i zaczął koncentrować, zaciskając pięści, napinając mięśnie aż do bólu. Walka z wpływem Klause przypominała toczenie pod górę skalnego głazu. Ale leżące na posadzce delikatne kości zaczęły drgać i otoczyła je lekka złota poświata.

- „Łachman, i kość, i garść włosów... idiota nazywał je swą słodką damą...”

Światło połyskiwało, tańczyło, łączyło ze sobą poszczególne kości. Ciepłe i złote, ogarniało je, odziewało, kiedy zarysów postaci

zbudowana z miękkiego światła. Pot zalał oczy Stefano i wydawało mu się, że zaraz płuca mu eksplodują z wysiłku.

- „Glina w bezruchu, ale krew w podróży...”

Włosy Eleny, długie, jedwabiste i jasnozłote, rozsypały się wokół świetlistych ramion. Rysy początkowo były rozmyte, a potem stawały się coraz wyraźniejsze. Stefano z miłością odtwarzał każdy szczegół. Gęste rzęsy, mały nosek, rozchylone wargi jak płatki róży. Białe światło spowiło jej postać, tworząc cienką suknię.

- „... a pęknięcie w filiżance otwiera ścieżką do krainy umarłych...”

- Nie. - Stefano zakręciło się w głowie, kiedy poczuł, jak z ostatnim westchnieniem korzysta z resztek mocy. Oddech uniósł pierś postaci przed nim, a oczy o barwie lapisu-lazuli się otworzyły.

Elena uśmiechnęła się, a on poczuł, jak fala jej miłości płynie mu na spotkanie.

- Stefano. - Głowę trzymał wysoko, dumna jak królowa.

Stefano obrócił się do Klause, który urwał i piorunował ich wzrokiem w milczeniu.

- To – powiedział dobitnie Stefano – jest Elena. Nie ta skorupa, którą zostawiła po sobie w ziemi. To jest Elena i w żaden sposób nie zdołasz tego zmienić.

Wyciągnął dłoń, a ona ujęła ją i podeszła do niego. Kiedy się dotknęli, doznał wstrząsu, a potem poczuł, jak napełniła go jej moc,

jak podtrzymuje na siłach. Stali razem, ramię przy ramieniu, naprzeciw jasnowłosego mężczyzny. Stefano jeszcze nigdy w życiu nie zaznał podobnego uczucia triumfu, jeszcze nigdy nie czuł się tak silny.

Klaus przyglądał się im przez kilkanaście sekund, a potem dostał szału.

Twarz wykrzywiła nienawiść. Stefano czuł fale złej mocy, które uderzały w niego i w Elenę, i z całej siły starał się stawić mu opór. Wodny wir ciemnej wściekłości usiłował ich rozdzielić, z wyciem okrążając salę, niszcząc wszystko na swojej drodze. Świece pogasły. Powietrze porwało jej jak tornado. Otaczający ich sen rwał się, rozpadał na strzępy.

Stefano chwycił drugą dłoń Eleny. Wiatr rozwiewał jej włosy, przesłaniał nimi jej twarz.

- Stefano! - krzyknęła, próbowała przekrzyczeć wichur. A potem usłyszał jej głos w myślach. - Stefano, posłuchaj mnie! Możesz robić tylko jedno, żeby go powstrzymać. Potrzebna ci ofiara, Stefano, znajdź jedną z jego ofiar. Tylko ona będzie wiedziała...

Hałas osiągnął nieznośny poziom, jakby rozdzierały się przestrzeń i czas. Stefano poczuł, że coś wyrywa dłoń Eleny z jego uścisku. Z okrzykiem rozpaczony znów po nią sięgnął, ale nic już nie poczuł. Wysięk związany z próbą przeciwstawienia się Klausowi

osłabił go już i nie mógł dłużej zachować świadomości. Porwała go ciemność.

Bonnie wszystko widziała.

Dziwne, ale kiedy już usunęła się na bok, żeby Stefano mógł podejść do Eleny, poczuła, że w tym śnie traci swoją fizyczną obecność. Zupełnie jakby przestawała być aktorem, a stawała się sceną, na której rozgrywa się akcja sztuki. Mogła patrzeć, ale nie mogła nic zrobić.

Na koniec zaczęła się bać. Nie miała dość siły, żeby podtrzymać ten sen i wszystko wreszcie eksplodowało, wypychając ją z transu prosto w środek pokoju Stefano.

Leżał na podłodze i wyglądał jak martwy. Taki biały, taki nieruchomy. Ale kiedy Bonnie pociągnęła go, usiłując wciągnąć na łóżko, jego pierś uniosła się w oddechu i usłyszała, jak z trudem chwycił w powietrze.

- Stefano? Nic ci nie jest?

Rozejrzał się nieprzytomnie po pokoju, jakby usiłował coś znaleźć.

- Elena! - powiedział, a potem urwał, bo zaczęła mu wracać pamięć.

Skrzywił się. Przez jedną straszną chwilę Bonnie myślała, że on się rozpłacze, ale jedynie zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

- Straciłem ją. Nie mogłem jej zatrzymać.

- Wiem. - Bonnie przyglądała mu się chwilę, a potem, zbierając się na odwagę, uknęła przed nim, dotknęła jego ramienia. - Przykro mi.

Nagłym ruchem uniósł głowę. Oczy były suche, ale źrenice tak rozszerzone, że zielone tęczęwki wydawały się czarne. Skrzydełka nosa mu drgały, rozchylił wargi, obnażył zęby.

- Klaus! - wypluł to imię jak przekleństwo. - Widziałas go?

- Tak. - Bonnie z trudem przełknęła ślinę, żołądek podskoczył jej do gardła. - On jest szalony, prawda, Stefano?

- Tak. - Stefano wstał. - I trzeba go powstrzymać.

- Ale jak? - Od chwili, kiedy zobaczyła Klause, Bonnie była jeszcze bardziej przerażona i traciła pewność siebie. - Co go może powstrzymać, Stefano? Ja jeszcze nigdy w życiu nie czułam czegoś takiego jak jego moc.

- Ale ty nie...? - Stefano obrócił się do niej szybkim ruchem. - Bonnie, nie słyszałaś, co Elena powiedziała na koniec?

- Nie. O czym ty mówisz? Nic nie słyszała. Wiesz, tam pod koniec wiał przecież huragan.

- Bonnie... - Spojrzenie Stefano zrobiło się odległe, zamyslił się i zaczął mówić, jakby do samego siebie: - To znaczy, że on prawdopodobnie też tego nie słyszał. A więc nie wie i nie będzie nas próbował powstrzymać.

- Przed czym? Stefano, co ty wygadujesz?

- Przed znalezieniem ofiary. Posłuchaj, Bonnie, Elena powiedziała mi, że jeśli uda nam się znaleźć ofiarę Klausa, która przeżyła jego atak, to możemy odkryć, w jaki sposób da się go powstrzymać.

Bonnie zupełnie to przerosło.

- Ale... jak to?

- Bo wampiry i ich dawcy, ich ofiary, kiedy wymieniają krew, przez chwilę łączą się w jeden umysł. Czasami dawca może się w ten sposób czegoś o wampirze dowiedzieć. Nie zawsze, ale jednak się zdarza. I właśnie coś takiego musiało się zdarzyć, a Elena o tym wie.

- No to wszystko bardzo pięknie, pomijając jeden drobny szczegół – stwierdziła kwaśno Bonnie. – Zechcesz mi może powiedzieć, kto, u licha, mógł przetrwać atak Klausa?

Spodziewała się, że Stefano straci zapał, ale o dziwo tak się nie stało.

- Wampir – odparł po prostu. - Człowiek, którego Klaus przemienił w wampira, mógłby się liczyć jako jego ofiara. Jeśli wymieniali krew, to na moment połączyli też umysły.

- Och. Och. A więc... Jeśli udałoby nam się znaleźć wampira, którego on przemienił... No ale gdzie?

- Może w Europie. - Stefano zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Historia Klausa jest bardzo długa i na pewno są tam jakieś

wampiry przemienione przez niego. Chyba będę musiał tam pojechać i ich poszukać.

Bonnie okropnie się zaniepokoiła.

- Ależ, Stefano, nie możesz nas tu zostawić samych. No, nie możesz!

Stefano przestał krążyć po pokoju i stanął w kompletnym bezruchu. A potem odwrócił się do niej.

- Nie chcę tego – powiedział cicho. - I będę najpierw próbował znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Może znów uda nam się dopaść Tylera. Poczekam jeszcze tydzień, do przyszłej soboty. Ale może się zdarzyć tak, że będę musiał jechać, Bonnie. Rozumiesz to równie dobrze jak ja.

Na bardzo długą chwilę zapadła cisza. Bonnie walczyła ze łzami napływającymi jej do oczu, tłumacząc sobie, że będzie dorosła i dzielna. Nie jest już dzieckiem i dowiedzie tego teraz, raz na zawsze. Pochwyciła spojrzenie Stefano i powoli pokiwała głową.

Rozdział 13

19 czerwca, piątek, 23.45

Drogi pamiętniku,

o Boże i co ja teraz zrobię? To był najdłuższy tydzień mojego życia. Dzisiaj ostatni raz byliśmy w szkole, a jutro Stefano wyjeżdża. Wybiera się do Europy, szukać jakiegoś wampira przemienionego przez Klause. Mówi, że nie chce zostawiać nas bez ochrony, ale że musi jechać. Nie możemy znaleźć Tylera. Jego samochód zniknął spod cmentarza, ale on sam nie pojawił się już w szkole. W tym tygodniu opuścił wszystkie końcowe sprawdziany. Nie żeby reszta z nas radziła sobie z nimi jakoś śpiewająco. Wolalabym, żeby w Liceum imienia Roberta E. Lee, tak jak w innych szkołach testy końcowe odbywały się przed uroczystością zakończenia roku. W ostatnich dniach sama nie wiem, czy piszę angielski, czy suahili.

Nienawidzę tego Klause. Z tego co widzę, jest tak samo zdolny jak Katherine – i bardziej okrutny. To, co zrobił Vickie... Ale nie mogę o tym pisać, bo znów się rozplaczę. Na imprezie u Caroline on się z nami tylko bawił jak kot z myszką. I jeszcze, że zrobił to właśnie w urodziny Meredith... Chociaż pewnie tego akurat nie mógł wiedzieć. A jednak wydaje się, że wie sporo. Wcale nie mówi jak obcokrajowiec, nie tak jak Stefano zaraz po przyjeździe do Ameryki,

i wie mnóstwo o amerykańskich zwyczajach, zna nawet te piosenki z lat pięćdziesiątych. Może zdążył tu spędzić jakiś czas...

Bonnie przerwała pisanie. Zaczęła się zastanawiać. Przez cały czas myśleli o jakichś jego ofiarach w Europie, o wampirach. Ale sądząc po sposobie mówienia, Klaus musiał spędzić w Ameryce sporo czasu. Wcale nie brzmiał jak cudzoziemiec. I skoro zdecydował się zaatakować dziewczyny w urodziny Meredith...

Bonnie wstała, sięgnęła po telefon i wybrała numer Meredith. Usłyszała zaspany męski głos.

- Dobry wieczór panu, tu Bonnie. Czy mogę mówić z Meredith?

- Bonnie! Czy ty zdajesz sobie sprawę, która godzina?

- Tak. - Bonnie myślała intensywnie. - Ale to... To znaczy, chodzi o test, który miałyśmy dzisiaj. Proszę, ja muszę z nią pomówić.

Przez chwilę panowała cisza, a potem ojciec Meredith ciężko westchnął.

- Ale tylko na minutę.

Czekając, Bonnie nerwowo postukiwała palcami. Wreszcie z kliknięciem ktoś uniósł drugą słuchawkę.

- Bonnie? - odezwała się Meredith. - Co się stało?

- Nic. To znaczy... - Bonnie była świadoma, że ojciec Meredith

nie odłożył swojej słuchawki. Mógł nadal słuchać. - Bo widzisz... To ćwiczenie z niemieckiego, o którym rozmawialiśmy. Na pewno pamiętasz. To, którego nie umialiśmy zrobić przed testem. Pamiętasz, zastanawialiśmy się, kto mógłby nam pomóc je zrobić? No cóż, ja już chyba wiem kto.

- Naprawdę? - Bonnie czuła, że Meredith szuka właściwych słów. - No i... Kto to? Czy będziemy musiały dzwonić gdzieś do Niemiec?

- Nie – powiedziała Bonnie. - Niekoniecznie. To o wiele bliżej domu, Meredith. Naprawdę, zupełnie blisko. W sumie można powiedzieć, że na naszym podwórku i na własnym drzewie genealogicznym.

Cisz trwała tak długo, że Bonnie zastanawiała się, czy Meredith jeszcze tam jest.

- Meredith?

- Zastanawiam się. Jak na to wpadłaś? Przypadkiem?

- Nie. - Bonnie odprężyła się i uśmiechnęła ponuro. Meredith już wiedziała, o co biega. - Żadnym przypadkiem. Widzisz, historia się powtarza. Powtarza się regularnie, o ile mnie rozumiesz.

- Tak – przytaknęła Meredith. Brzmiało to tak, jakby dochodziła do siebie po jakimś wstrząsie. W sumie trudno się dziwić. - Wiesz, możliwe, że masz rację. Ale nadal jeszcze trzeba będzie przekonać tę osobę, żeby nam pomogła.

- Myślisz, że to może być problem?

- Tak mi się wydaje. Czasami ludzie łatwo się złością...

Kiedy sprawa dotyczy jakiegoś testu. Czasami nawet w pewien sposób im odbija.

Bonnie się zmartwiła. Czegoś takiego nie brała wcześniej pod uwagę. No bo co, jeśli on nie będzie w stanie niczego im powiedzieć? Jeśli kompletnie już postradał zmysły?

- Zawsze możemy spróbować – powiedziała Bonnie, starając się mówić jak najbardziej optymistycznym tonem. - Jutro będziemy musiały spróbować.

- Dobrze. Przyjadę po ciebie w południe. Dobranoc, Bonnie.

- Dobranoc, Meredith... Przepraszam cię – dodała Bonnie.

- Nie, moim zdaniem tak będzie najlepiej. Żeby historia nie powtarzała się bez końca. Na razie.

Bonnie nacisnęła klawisz kończący połączenie. A potem siedziała przez parę minut z palcem na tym klawiszu i wpatrywała się w ścianę. Wreszcie odłożyła słuchawkę i znów wzięła do ręki pamiętnik. Postawiła kropkę przy ostatnim zdaniu i zaczęła nowe.

Jutro pojedziemy w odwiedziny do dziadka Meredith.

- Jestem idiotą. - Stefano był na siebie wściekły.

Byli w drodze do Wirginii Zachodniej, do zakładu, w którym

przebywał dziadek Meredith. Czekala ich długa jazda.

- Wszyscy jesteŝmy idiotami. Poza Bonnie. - zgodził się ze Stefano Matt. Mimo dręczącego ją niepokoju Bonnie po tych słowach zrobiło się przyjemnie.

Ale Meredith pokręciła głową, nie odrywając oczu od drogi.

- Stefano, nie mogłeś tego wiedzieć, więc przestań sam sobie dokopywać. Nie wiedziałeś, że atak Klausa na imprezie u Caroline nastąpił w rocznicę ataku na mojego dziadka. A Mattowi ani mnie nie przyszło do głowy, że Klaus może być w Ameryce od dawna, bo nigdy nie widzieliśmy Klausa ani nie słyszeliśmy, jak mówi. Myśleliśmy o ludziach, których mógł atakować w Europie. Naprawdę, tylko Bonnie mogła to wszystko poskładać w jakąś całość, bo tylko ona miała wszystkie informacje.

Bonnie pokazała jej język. Meredith zobaczyła to we wstecznym lusterku i uniosła brew.

- Nie chcę, żeby zupełnie przewróciło ci się w głowie - wyjaśniła.

- Nie przewróci się, skromność to jedna z moich najbardziej czarujących cech – odparła Bonnie.

Matt parsknął, ale potem dodał:

- I tak uważam, że to było genialne.

A jej znów zrobiło się bardzo miło.

To było okropne miejsce. Bonnie ze wszystkich sił starała się

ukryć przerażenie i niesmak, ale wiedziała, że Meredith je wyczuwa. Prowadziła ich korytarzami, szpitala. Bonnie, znająca ją od tak wielu lat, dostrzegła upokorzenie przyjaciółki. Rodzice Meredith uznawali stan jej dziadka za taki wstyd, że nigdy nie pozwalali rozmawiać o nim z osobami postronnymi. To kładło się cieniem na całą ich rodzinę.

A teraz Meredith po raz pierwszy zdradzała sekret obcym ludziom. Bonnie poczuła przyływ czułości i podziwu dla przyjaciółki. To takie do Meredith podobne, że nie zrobiła przy tym zamieszania i zachowywała się z godnością, nie okazując, ile ją to kosztowało. Ale tak czy inaczej, ten zakład był straszny.

Nie był brudny ani nie snuli się tu po korytarzach niebezpieczni szaleńcy, ani nic takiego. Pacjenci było zadbani. Ale w tych sterylnych szpitalnych zapachach i w korytarzach pełnych wózków oraz obojętnych oczu było coś takiego, że Bonnie miała ochotę stąd uciec.

Zupełnie jak budynek pełen zombie. Bonnie dostrzegła starszą panią, której różowa czaszka prześwitywała przez rzadkie siwe włosy, opierającą obojętnie głowę na stole obok gołej plastikowej lalki. Kiedy Bonnie desperackim ruchem wyciągnęła rękę, napotkała dłoń Matta, którą już do niej wyciągał. Szli w ten sposób za Meredith, ściskając się za ręce tak mocno, że aż bolało.

- To jego pokój.

Wewnątrz zobaczyli kolejnego zombie, tym razem z siwymi włosami pośród których tu i tam widniało jeszcze jakieś ciemne pasemko, podobnej barwy jak u Meredith. Twarz stanowiła płataninę zmarszczek i bruzd, a zaczerwienione oczy łzawiły. Wpatrywały się gdzieś w pustkę.

- Dziadku... - odezwała się łagodnie Meredith, przyklękając przed jego wózkiem. - Dziadku, to ja, Meredith. Przyszłam do ciebie z wizytą. Muszę ci zadać bardzo ważne pytanie.

Staruszek nawet nie mrugnął.

- Czasami nas poznaje – wyjaśniła Meredith cicho, bez emocji.
- Ale ostatnio najczęściej nie.

Stary człowiek nadal wpatrywał się w przestrzeń.

Stefano przykucnął obok.

- Pozwól mi spróbować – powiedział. Zajrzał w pomarszczoną twarz i zaczął mówić cicho, uspokajającym tonem jak kiedyś do Vickie.

Ale te zamglone ciemne oczy nawet nie mrugnęły. Dalej wpatrywały się w przestrzeń bez celu. Jedyne pokrzywione reumatyzmem dłonie spoczywające na oparciach fotela na kółkach lekko, ale stale drżały.

I niezależnie od wszelkich wysiłków Meredith i Stefano, tylko taką reakcję udało im się uzyskać.

Wreszcie Bonnie spróbowała użyć swoich zdolności

parapsychicznych. Coś wyczuła w tym starym człowieku, jakąś iskierkę życia uwięzioną w jego ciele. Ale nie umiała jej rozdmuchać.

- Przykro mi – powiedziała, odsuwając się i odgarniając włosy z oczu. - To na nic. Nic nie da się zrobić.

- Może moglibyśmy przyjechać kiedy indziej – powiedział Matt, ale Bonnie wiedziała, że to nieprawda. Jutro Stefano miał wyjechać i nie będzie już okazji do następnych odwiedzin. A wydawało się, że to taki wspaniały pomysł... To niedawne przyjemne uczucie rozwiało się teraz zupełnie i serce ciążyło jej jak kawał ołowiu. Odwróciła się i zobaczyła, że Stefano zawraca do drzwi pokoju.

Matt wziął ją pod łokieć, pomógł jej wstać i wyprowadził ją z pokoju. Chwilę stała z opuszczoną głową, rozczarowana. Trudno jej było wykrzesać z siebie dość energii, żeby stawiać jedną stopę przed drugą. Obejrzała się ze znużeniem, sprawdzić, czy Meredith za nimi idzie...

I wrzasnęła. Meredith stała na środku pokoju, zwrócona do drzwi z miną rozczarowania na twarzy. Ale za nią postać siedząca na wózku poruszyła się wreszcie. Czaiła się tuż za Meredith, załzawione oczy i usta były szeroko otwarte. Dziadek Meredith wyglądał, jakby został przyłapany na próbie skoku – ramiona rozczapierzone, usta uchylone w milczącym krzyku. Wrzask Bonnie

odbił się echem po całym pomieszczeniu.

A wtedy wszystko zaczęło się dziać naraz. Stefano jednym susem zawrócił, Meredith okręciła się na pięcie, Matt wyciągnął do niej rękę. Ale starzec nie skoczył na nią. Stał, górując nad nimi, wpatrując się w jakiś punkt nad ich głowami, jakby widział tam coś, czego oni dostrzec nie mogli. Z jego ust wreszcie zaczęły się wydobywać jakieś dźwięki, które złożyły się w jedno słowo:

- Wampir! Wampir!

W pokoju pojawili się pielęgniarze, odsuwając na bok Bonnie i jej przyjaciół, i obezwładnili pacjenta. Ich krzyki jeszcze powiększyły zamieszanie.

- Wampir! Wampir! - krzyczał dziadek Meredith, jakby chciał ostrzec całe miasto. Bonnie zaczęła ogarniać panika - czy on patrzy na Stefano? Czy to było ostrzeżenie?

- Proszę teraz wyjść. Przykro mi, ale musicie wyjść - powtarzała pielęgniarzka. Wyprowadziła ich, ale Meredith stawiała opór, kiedy wypychano ją na korytarz.

- Dziadku!

- Wampir! - zawodził.

A potem:

- Drewno jesionu! Wampir! Drewno jesionu...

Drzwi się zatrzasnęły.

Meredith z trudem łapała oddech i walczyła ze łzami. Bonnie

wbiła paznokcie w ramię Matta. Stefano obrócił się do nich, z oczyma rozszerzonymi zdumieniem.

- Mówiłam już, musicie wyjść – powiedziała zdenerwowana pielęgniarka. Cała czwórka ją zignorowała. Wszyscy patrzyli po sobie, a na ich twarzach zaskoczenie i oszołomienie powoli ustępowało zrozumieniu.

- Tyler powiedział, że tylko jeden rodzaj drewna może mu zrobić krzywdę... - zaczął Matt.

- Jesion – dokończył Stefano.

- Będziemy musieli dowiedzieć się, gdzie się ukrywa - powiedział Stefano, kiedy jechali do domu. Sam prowadził, bo Meredith była zbyt zdenerwowana. - To pierwsza rzecz, Jeśli zrobimy coś zbyt pochopnie, niepotrzebnie go ostrzeżemy.

Zielone oczy błyszczały mu dziwną mieszaniną triumfu i ponurej determinacji, mówił głosem urywanym. Wszyscy mamy nerwy w strzępach, pomyślała Bonnie. Zupełnie jakbyśmy cały wieczór opijali się dopalaczami. Byli tak podenerwowani, że byle drobnostka mogła spowodować wybuch.

Przeczuwała ten nadchodzący kataklizm. Jakby zbliżało się rozwiązanie, jakby wszystko, co zaczęło się w dniu urodzin Meredith, zmierzało do ostatecznej konkluzji.

Dziś wieczorem, pomyślała. Dziś wieczorem wszystko się skończy. Pomyślała, że nawet dość właściwie, że wszystko skończy

się w wigilię przesilenia.

- Jaką wigilię? - spytał Matt.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos.

- Letniego przesilenia – wyjaśniła. - To dzisiaj. Dzisiaj jest ostatni wieczór przed letnim przesileniem.

- Niech zgadnę. Znów druidzi, prawda?

- Czčili ten dzień – wyjaśniła Bonnie. - To dzień odpowiedni dla magii, dla zaznaczenia zmiany w porach roku. I... - zawahała się.

- No cóż, to taki sam świąteczny dzień jak inne, na przykład Halloween czy przesilenie zimowe. Taki dzień, kiedy granica między światem widzialnym a niewidzialnym robi się wąska. Kiedy można zobaczyć duchy, jak to kiedyś mówiono. Kiedy zdarzają się różne rzeczy.

- Różne rzeczy – powtórzył Stefano, skręcając na autostradę wiodącą do Fell's Church – na pewno będą się działy.

Nie mieli pojęcia, że tak szybko.

Pani Flowers była w ogrodzie na tyłach domu. Pojechali prosto do pensjonatu, żeby jej poszukać. Przycinała krzewy róż i otaczał ją zapach lata.

Zmarszczyła brwi i zamrugła, kiedy ją otoczyli i pytali, jedno przez drugie, gdzie mogą znaleźć drewno jesionu.

- Zaraz, powolutku – powiedziała, zerkając na nich spod ronda słomkowego kapelusza. - Czego znów potrzebujecie? Jesionowego

drewna? Jesion rośnie zaraz za tymi dębami, tam z tyłu. Ale, chwileczkę... - dodała, kiedy już rzucili się w tamtą stronę.

Stefano odciął gałąź jesionu składanym nożem, który Matt wyjął z kieszeni. A to ciekawe, od kiedy zaczął przy sobie nosić nóż. - zastanowiła się Bonnie. Zastanawiał się też, co sobie o nich pomyśli pani Flowers, kiedy wrócili pod pensjonat, a dwóch chłopaków targało ulistnioną, trzymetrowej długości gałąź.

Ale pani Flowers nie skomentowała tego, zawołała tylko do Stefano:

- Chłopcze, przyszła do ciebie przesyłka!
- Do mnie?!
- Było na niej twoje nazwisko. Paczka i jakiś list. Znalazłam je dziś po południu na frontowej werandzie. Położyłam na górze w twoim pokoju.

Bonnie patrzyła na Meredith, a potem na Matta i Stefano, napotykając ich zdumione spojrzenia. Nagle powietrze zgęstniało od niemal nieznośnego oczekiwania.

- Ale kto mógł to przysłać? Kto wie, że tu jesteś... - zaczęła, kiedy pięli się po schodach na poddasze. A tam przystanęła, bo strach pozbawił ją oddechu. Złe przeczucie dokuczało jej niczym natrętna mucha, ale odepchnęła je od siebie. Tylko nie teraz, pomyślała. Nie teraz.

Nie mogła jednak nie zauważyć paczki leżącej na biurku

Stefano. Chłopcy oparli gałąź jesionu o ścianę i podeszli do biurka. Paczka była długa, raczej płaska, opakowana w brązowy papier, na niej leżała kremowa koperta.

Na niej znajomym szalonym charakterem pisma napisano: „Stefano”.

Charakterem pisma z tamtego lustra.

Stali, wpatrując się w paczkę, jakby to był skorpion.

- Uważaj! - krzyknęła Meredith. Kiedy Stefano powoli po nią sięgnął. Bonnie zrozumiała, o co jej chodzi. Sama miała wrażenie, że paczka może eksplodować albo strzyknąć trującym gazem, albo zmienić się w coś z ostrymi zębami i kłami.

Koperta, którą Stefano wziął do ręki, była kwadratowa i gruba, zrobiona z porządnej jakości, połyskliwego papieru. Jak zaproszenie na bal do księcia, pomyślała Bonnie. Ale, co dziwne, na jej powierzchni było kilka odcisków brudnych palców, a rogi miała usmolone. No cóż, w tym śnie Klaus bynajmniej nie wyglądał na czyściocha.

Stefano obejrzał kopertę dokładnie, a potem rozdarł. Wyjął pojedynczą kartkę grubego papieru. Pozostała trójka zaglądała mu przez ramię, kiedy rozkładał kartkę. Matt zawołał:

- Co u... Jest niezapisana!

Bo była czysta. Czysta z obu stron. Stefano obrócił ją w palcach i dokładnie obejrzał. Twarz miał spiętą. Ale Bonnie,

Meredith i Matt odprężyli się i westchnęli z niesmakiem. Idiotyczny dowcip. Meredith sięgnęła po paczkę, która wyglądała na tak płaską, że równie dobrze mogła być pusta, ale Stefano nagle zeszywniał, z sykiem zaczerpnął powietrza. Meredith zastygła w bezruchu, a Matt zaklął.

Na białej kartce zaczynały pojawiać się litery. Czarne, z długimi ogonkami, jakby każdą z osobna pod spojrzeniem Bonnie wydrapywał nóż. Kiedy czytała wiadomość, jej zdenerwowanie rosło.

Stefano,

Może rozwiążemy ten problem jak dżentelmeni? Mam dziewczynę. Przyjdź na starą farmę w lesie po zmierzchu, to porozmawiamy, tylko my dwaj. Przyjdź sam, a ją uwolnię. Przyprowadź kogoś, a zginie.

Nie było podpisu, ale na dole kartki pojawiły się słowa:

To ma zostać między nami.

- Jaką dziewczynę? - spytał Matt, patrząc na Bonnie, to na Meredith, jakby chciał się upewnić, że obie tam jeszcze są. - Jaką dziewczynę?

Jednym ruchem Meredith rozdarła opakowanie paczki i wyjęła jej zawartość. Bladozieloną apaszkę z wzorem w winorośl i liście. Bonnie doskonale ją pamiętała i momentalnie zobaczyła przed oczami ten obraz. Konfetti, prezenty urodzinowe, orchidee i czekolada.

- Caroline – szepnęła.

Te ostatnie dwa tygodnie były takie dziwne, takie odmienne od zwyczajnych dni szkolnego życia, że prawie zapomniała o istnieniu Caroline. Caroline wyjechała, zamieszkała w mieszkaniu wynajętym w innym mieście, żeby uciec, żeby być bezpieczna, ale Meredith na początku powiedziała jej: „Jestem pewna, że on może cię znaleźć w Heron”.

- Znow się tylko nami bawił – mruknęła Bonnie. - Pozwolił nam zejść tak daleko, a nawet pojechać zobaczyć się z twoim dziadkiem, Meredith, a potem...

- Musiał wiedzieć – zgodziła się Meredith. - Przez cały czas musiał wiedzieć, że szukamy tej ofiary. A teraz dał nam szach mata. Chyba że... - Jej ciemne oczy rozjaśniły się nagłą nadzieją. - Bonnie, nie sądzisz, że Caroline mogła zgubić tę apaszkę? I że może on ją tylko znalazł?

- Nie. - Bonnie usiłowała ignorować coraz gorsze przeczucie. Nie chciała go, nie chciała wiedzieć. Ale była pewna co do jednego: to nie był blef. Klaus miał Caroline.

- Co teraz zrobimy? - spytała cicho.

- Wiem, czego nie zrobimy, czyli, że nie będziemy go słuchać – powiedział Matt. - „spróbujmy rozwiązać ten problem jak dżentelmeni?” To szumowina, a nie dżentelmen. To pułapka.

- Oczywiście, że to pułapka – zniecierpliwiła się Meredith. - Czekaj, aż się dowiemy, jak go zranić, i teraz próbuje nas rozdzielić. Ale to mu się nie uda!

Bonnie przyglądała się Stefano z rosnącym niepokojem. Bo kiedy Matt i Meredith z oburzeniem rozmawiali, on spokojnie złożył list i wsunął go z powrotem do koperty. A teraz stał i się gapił, i nic z tego, co się dokoła działo, nie docierało do niego. Popatrzył na przestraszoną Bonnie.

- Możemy się postarać, żeby ten plan obrócił się przeciwko niemu, prawda, Stefano? - mówił Matt. - Nie sądzisz?

- Sądzę – zaczął Stefano ostrożnie, koncentrując się na każdym wymawianym słowie – że pójdę do lasu po zmierzchu.

Matt pokiwał głową i jak typowy rozgrywający, którym przecież był, zaczął konstruować plan akcji.

- Dobra, ty odwrócisz jego uwagę. A tymczasem nasza trójka...

- Wasza trójka – ciągnął Stefano tak samo dobitnie, patrząc mu prosto w oczy – pójdziecie do domu. I położy się spać.

Zdenerwowanej Bonnie cisza dzwoniła w uszach. Pozostali gapili się tylko na Stefano.

Wreszcie Meredith powiedziała lekkim tonem:

- No cóż, trudno nam go będzie złapać, leżąc w łóżkach, chyba że okaże się tak uprzejmym, żeby odwiedzić nas w domu.

To przełamało napięcie i odezwał się Matt:

- Dobra, Stefano, ja rozumiem twoje zdanie w tej sprawie... -

Ale Stefano mu przerwał.

- Matt, ja mówię śmiertelnie poważnie. Klaus ma rację, to sprawa między nim a mną. A zapowiedział, że jeśli nie przyjdę sam, skrzywdzi Caroline. Więc idę sam. Taka jest moja decyzja.

- Wybierasz się na własny pogrzeb – wycedziła Bonnie. - Stefano, zwariowałeś. Nie możesz.

- No to się przekonasz.

- Nie pozwolimy ci...

- A uważasz – spytał Stefano, patrząc na nią – że możesz mnie w jakiś sposób powstrzymać?

Zapadło bardzo niezręczne milczenie. Patrząc na niego, Bonnie miała wrażenie, że Stefano się zmienia na jej oczach. Rysy twarzy stały się ostrzejsze, postawa się zmieniła, jakby dla przypomnienia, że pod ciuchami kryły się gibkie, sprężyste mięśnie drapieżnika. Nagle zrobił się zupełnie niedostępny, jakby obcy. Przerazający.

Bonnie odwróciła wzrok.

- Porozmawiajmy rozsądnie – łagodził Matt, zmieniając taktykę. - Uspokójmy się i omówmy to...

- Nie ma co omawiać. Ja idę. Wy nie.

- Jesteś nam winien coś więcej, Stefano – straciła się Meredith i Bonnie poczuła wdzięczność za ten jej spokojny głos. - No i dobra, możesz nas tu porozdzielać na strzępy, świetnie, wcale nie twierdzimy, że nie. Sami widzimy. Ale po wszystkim, przez co przeszliśmy razem, zasługujemy na rozmowę, zanim tam pognasz.

- Mówiłeś, że dziewczyny też mają prawo do tej walki - dodał Matt. - Kiedy zmieniłeś zdanie?

- Kiedy się dowiedziałem, kim jest zabójca! - powiedział Stefano. - Klaus jest tu ze względu na mnie.

- Nie, nieprawda! - zawołała Bonnie. - Czy to ty zmusiłeś Elenę do zabicia Katherine?

- Przeze mnie Katherine wróciła do Klause! Tak to wszystko się zaczęło. I to ja wmieszałem w to Caroline, gdyby nie ja, nigdy nie znienawidziłaby Eleny, nigdy nie zeszlaby się z Tylerem. Mam wobec niej pewne zobowiązanie.

- Ty po prostu chcesz w to wierzyć! - Bonnie prawie wrzasnęła. - Klaus nienawidzi nas wszystkich! Czy ty naprawdę myślisz, że on ci pozwoli stamtąd odejść? Uważasz, że planuje nam dać potem wszystkim spokój?

- Nie – powiedział Stefano i wziął do ręki gałąź opartą o ścianę. Wyjął nóż Matta z własnej kieszeni i zaczął nim ostrugiwać ją z mniejszych gałązek, zamieniając w prostą, białą włócznię.

- Och, super, więc szykujesz się do walki jeden na jednego! - wyrzucił Matt wściekły. - Czy ty nie widzisz, jaka to głupota? Pchasz się prosto w zastawioną pułapkę! - Podszedł o krok do Stefano. - Może wydaje ci się, że nasza trójka nie zdoła cię powstrzymać...

- Nie, Matt. - Głos Meredith był cichy i spokojny. - To na nic. - Stefano spojrzał na nią, ale ona wstrzymała jego spojrzenie z twarzą spokojną i opanowaną. - Więc postanowiłeś spotkać się z Klausem w pojedynkę, Stefano.

W porządku. Ale zanim pójdziesz, przynajmniej zapewnij sobie w tej walce jakieś szanse. - Zaczęła rozpinać guziki bluzki.

Bonnie drgnęła, chociaż zaledwie tydzień temu sama proponowała mu coś podobnego. Ale to było na osobności, na litość boską, pomyślała. A potem wzruszyła ramionami. Publicznie czy na osobności, co za różnica?

Popatrzyła na Matta, na twarzy którego odbiło się zakłopotanie. A potem zobaczyła, że Matt marszczy brwi, a na jego twarzy pojawia się ten uparty, zajadły wyraz, którego zawsze okropnie bali się trenerzy przeciwnych drużyn futbolowych. Spojrzał na nią niebieskimi oczyma i ona też pokiwała głową, wysuwając podbródek. Bez słowa rozpięła lekką wiatrówkę, którą miała na sobie, a Matt zaczął ściągać T-shirt.

Stefano ponuro przenosił wzrok z jednej ludzkiej postaci na

drugą, kiedy tak rozbierali się w jego pokoju, i usiłował ukryć zdumienie. Ale pokręcił głową, włącznie trzymając przed sobą.

- Nie.

- Stefano, nie bądź idiotą – rzucił Matt. Nawet w tej okropnej chwili Bonnie nie mogła nie podziwiać jego obnażonego torsu. - Jest nas troje. Powinieneś móc sporo się napić, nie robiąc nikomu z nas krzywdy.

- Powiedziałem, nie! Nie dla zemsty i nie po to, żeby zło zwalcza złem! Z każdego powodu, nie. Myślałem, że ty będziesz potrafił to zrozumieć. - W spojrzeniu, jakie rzucił Mattowi, widać było gorycz.

- Ja rozumiem tylko, że ty tam idziesz na śmierć! - krzyknął Matt.

- On ma rację! - Bonnie przycisnęła zbielełe palce do ust. To złe przeczucie przełamywało jej opory. Nie chciała go do siebie dopuszczać, ale nie miały siły dłużej mu się opierać. Z dreszczem poczuła, jak się do niej przebija, i w myślach usłyszała słowa: - „Nikt nie zdoła z nim walczyć i przeżyć” - wyszeptała z bólem. - Tak powiedziała Vickie i to jest prawda! Stefano, ja to czuję. Nikt nie zdoła z nim walczyć i przeżyć!

Przez chwilę, przez jedną chwilę, sądziła, że on jej wysłucha. Ale odezwał się chłodno:

- To nie twój problem. Pozwól, że sam się tym zajmę.

- Ale jeśli nie można wygrać... - zaczął Matt.
- Bonnie tego nie powiedziała! - uciął Stefano z irytacją.
- Owszem, powiedział! Do diabła, co ty w ogóle wygadujesz! -

krzyknął Matt. Niełatwo było wyprowadzić Matta z równowagi, ale kiedy już raz stracił panowanie nad sobą, nie odzyskiwał go łatwo. - Stefano, mam dość...

- Ja też! - huknął Stefano tonem, jakiego Bonnie jeszcze u niego nie słyszała. - Mam was dość, mam dość tych waszych sprzeczek, i tego tchórzostwa, i tych waszych przeczuć też! To mój problem.

- Myślałem, że działamy wspólnie...! - zawołał Matt

- Nie działamy wspólnie. Wy jesteście tylko bandą głupich ludzi! Nawet po wszystkim, co was spotkało, w głębi ducha chcecie tylko żyć tym swoim bezpiecznym życiem w tych swoich bezpiecznych domkach, póki nie pochowają was w bezpiecznych grobikach! Ja nie jestem taki jak wy i nie chcę taki być! Znosiłem waszą obecność tak długo, bo nie miałem wyjścia, ale dosyć tego wszystkiego. - Patrzył na nich, a potem powiedział dobitnie, podkreślając każde słowo: - Żadnego z was nie potrzebuję. Nie chcę was przy sobie i nie chcę, żebyście się za mną snuli. Tylko mi popsujecie strategię. Każdego, kto odważy się pójść za mną, zabiję.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Rozdział 14

Kompletnie oszalał – stwierdził Matt, patrząc na drzwi, za którymi przed chwilą znikł Stefano.

- Nieprawda. - Meredith miała smutny głos. Lecz brzmiała też w nim nuta niepowstrzymanego śmiechu.

- Nie widzisz, co on robi, Matt? - powiedziała, kiedy na nią popatrzył. - Wrzeszczy na nas, załazi nam za skórę, wszystko, żeby nas zniechęcić. Jest wredny, jak tylko się da, żebyśmy się na niego wściekli i zostawili go samego z tą robotą. - Popatrzyła na drzwi i uniosła brwi. - Ale z tym „Każdego, kto za mną pójdzie, zabiję” to już przesadził.

Bonnie zachichotała, nie mogła się powstrzymać.

- Moim zdaniem zapożyczył to od Damona: „Wbij to sobie do łba, ja nikogo z was nie potrzebuję!”

- „Bardzo głupich ludzi” - dodał Matt. - Ale ja nadal jednego nie rozumiem. Bonnie, przed chwilą miałaś przeczucie, a Stefano zwykle ich nie lekceważy. Jeśli nie da się z tym walczyć i zwyciężyć, to po co tam w ogóle iść?

- Bonnie nie mówiła, że nie da się walczyć i zwyciężyć. Ona powiedziała, że nie da się walczyć i przeżyć. Prawda, Bonnie? - Meredith spojrzała na nią.

Przestała chichotać. Sama nieco zaskoczona Bonnie usiłowała

przemyśleć tamto przeczucie, ale wiedziała tylko tyle, ile znaczyły te słowa, które przysły jej wtedy na myśl. „Nikt nie zdoła z nim walczyć i przeżyć”.

- Czyli twoim zdaniem Stefano myśli, że... - W oczach Matta pojawiło się oburzenie. - On myśli, że tam pójdzie i powstrzyma Klause, chociaż sam zginie? Jak jakieś jagnię składane w ofierze?

- Trochę tak jak Elena – zauważyła ponuro Meredith. - I może... Może po to, żeby z nią znów być.

- Y-y. - Bonnie pokręciła głową. Może nie mogła się dopatrzeć głębszego znaczenia tej przepowiedni, ale jedno wiedziała. - On tak nie uważa, jestem tego pewna. Elena jest niezwykajna. Jest, tym kim jest, bo umarła tak młodo, zostawiła za sobą tak wiele niedokończonych w tym życiu spraw i, no cóż, to specjalny przypadek. Ale Stefano jest wampirem od pięciuset lat i na pewno nie umierałby teraz młodo. Nie ma żadnej gwarancji, że zdołałby się połączyć z Eleną. Może trafiłby w jakieś inne miejsce albo... Może po prostu by znikł. I on to wie. Jestem pewna, że to wie. Moim zdaniem on po prostu stara się dotrzymać danej jej obietnicy, że powstrzyma Klause, nieważne, ile to będzie kosztowało.

- Żeby przynajmniej spróbować – powiedział Matt cicho i zabrzmiało to tak, jakby cytował czyjeś słowa. – Nawet wiedząc, że się przegra. - Podniósł wzrok na dziewczyny. - Idę za nim.

- Oczywiście – wtrąciła spokojnie Meredith.

Matt się zawahał.

- Hm... Ja... Pewnie nie uda mi się przekonać was, żebyście zostały w domu?

- Po tej inspirującej gadce o działaniu zespołowym?

Zero szansy.

- Tego się obawiałem. A więc...

- A więc – powiedziała Bonnie – spadamy stąd.

Zebrali wszelką dostępną im broń. Składany nóż Matta, który Stefano upuścił na podłogę, sztylet o rękojeści z kości słoniowej, leżący na komodzie, nóż do mięsa z kuchni.

Przed domem po pani Flowers nie było śladu. Niebo miało odcień bladego fioletu, na zachodzie przechodzącego w morelowy. Zmierzch w wieczór przed letnim przesileniem, pomyślała Bonnie i włoski na jej przedramionach zaczęły się unosić.

- Klaus powiedział: „na starej farmie w lesie”, musiało mu chodzić o domostwo Francherów – powiedział Matt. - Tam, gdzie Katherine wrzuciła Stefano do studni.

- Brzmi sensownie. Pewnie korzysta z tunelu Katherine, żeby przechodzić pod rzeką - domyśliła się Meredith. - Chyba, że Starsi są tak potężni, że mogą przekraczać płynącą wodę.

No właśnie, przypomniała sobie Bonnie. Złe istoty nie mogą przechodzić ponad płynącą wodą, a im więcej w nich zła, tym to dla nich trudniejsze.

- Ale my nic nie wiemy o Pierwszych – powiedziała na głos.

- Nie, i to znaczy, że musimy być ostrożni – podkreślił Matt. -

Znam te lasy całkiem nieźle i wiem, którą ścieżką najprawdopodobniej wybierze Stefano. Moim zdaniem powinniśmy iść inną drogą.

- Żeby Stefano nas nie zobaczył i nie pozabijał?

- Żeby Klaus nas nie zobaczył, a przynajmniej nie wszystkich naraz. Wtedy może będziemy mieli szansę jakoś się przedrzeć do Caroline. W ten czy inny sposób musimy usunąć Caroline z pola walki. Póki Klaus będzie mógł grozić, że ją skrzywdzi, będzie mógł zmusić Stefano do wszystkiego. No i poza tym zawsze najlepiej jest planować swoje posunięcia, żeby zaskoczyć przeciwnika. Klaus powiedział, że mają się spotkać po zmierzchu, no cóż, my się tam znajdziemy przed zmierzchem i może uda nam się do zaskoczyć.

Bonnie była pod wielkim wrażeniem tej strategii. Nic dziwnego, że jest rozgrywającym, pomyślała. Ja bym po prostu rzuciła się na oślep, z wrzaskiem.

Matt prowadził je niemal niewidoczną ścieżką pomiędzy dębami. Szli po miękkim mchu i bujnej trawie. Bonnie musiała zaufać, że Matt wie, dokąd idzie, bo ona z całą pewnością pojęcia nie miała. Ponad ich głowami ptaki wyśpiewywały ostatnie wieczorne trele, zanim pochowają się w gniazdach na noc.

Zaczynało się ściemniać. Ćmy i różne drapieżne owady

muskały twarz Bonnie. Po przedarciu się przez kępę muchomorów, pokrytych ślimakami bez skorup, pogratulowała sobie, że tym razem włożyła dzinsy.

Wreszcie Matt kazał im przystanąć.

- Zbliżamy się – wyszeptał. - Tu jest skarpa, z której możemy popatrzeć. Klaus nas chyba nie zobaczy. Bądźcie cicho i uważajcie.

Bonnie jeszcze nigdy tak uważnie nie stawiała jednej stopy przed drugą. Na szczęście liściasta ściółka była wilgotna i nie szeleściła. Po paru minutach Matt opadł na brzuch i dał im znak, że mają zrobić to samo. Bonnie powtarzała sobie, że nie przeszkadzają jej stonogi i dżdżownice, na które natykały się jej ślizgające się po ziemi palce, i że w żaden sposób jej nie wzruszają pajęczyny ocierające się o jej twarz. To była sprawa życia i śmierci, a ona jest osobą kompetentną. Nie jakimś mazgajem, nie dzieciakiem, ale osobą kompetentną.

- Tutaj – szepnął Matt. Bonnie podczołgała się do niego na brzuchu i spojrzała.

Widzieli stąd w dole stare domostwo Francherów, a przynajmniej to, co z niego zostało. Dom już dawno rozsypał się zupełnie, terenem znów zawładnął las. Teraz zostały tam tylko fundamenty, ich kamienie pokryte kwitnącymi chwastami i kolczastymi jeżynami, i tylko jeden komin sterczał w górę jak samotny pomnik.

- Tam jest Caroline – szepnęła Meredith do drugiego ucha Bonnie.

Z tej odległości Caroline była małą figurką. Jej jasnozielona sukienka widoczna była w ciemniejącym świetle dnia, ale kasztanowe włosy wydawały się czarne. Coś białego widniało na środku jej twarzy i po chwili Bonnie zdała sobie sprawę, że to knebel. Taśma albo jakiś bandaż. Z jej dziwnej postawy – ręce za plecami, nogi prosto wyciągnięte w przód – Bonnie domyśliła się, że dziewczyna została związana.

Biedna Caroline... - pomyślała, wybacząc koleżance wszystkie paskudne, niemile, samolubne rzeczy, które kiedyś robiła, a do wybaczenia było sporo, jakby wszystko policzyć. Ale Bonnie nie umiała sobie wyobrazić czegoś gorszego niż porwanie przez szalonego wampira, który już zabił komuś dwie szkolne koleżanki, a teraz zaciągnął Caroline tutaj, do lasu, i związał ją, a potem zostawił i kazał czekać, gdy tymczasem całe jej życie zależało od innego wampira, który miał całkiem sporo powodów, żeby jej bardzo nie lubić. Przecież Caroline od początku uganiała się za Stefano, a potem go znienawidziła i usiłowała upokorzyć Elenę za to, że go zdobyła. Stefano Salvatore był ostatnią osobą, która mogła żywić jakieś ciepłe uczucia wobec Caroline Forbes.

- Popatrzcie! - szepnął Matt. - To ona? Klaus?

Bonnie też to zauważyła, jakiś ruch po drugiej stronie komina.

Kiedy wyteńczyła wzrok, pokazał się, w jasnopłowym prochowcu falującym mu wokół nóg niesamowicie, jak pod wpływem wiatru. Spojrzał na Caroline, a ona cofnęła się przed nim, usiłowała uchylić. W ciszy jego śmiech rozległ się tak głośno, że Bonnie drgnęła.

- To on – odszepnęła, chyląc się niżej i chowając za zasłona paproci. - Ale gdzie jest Stefano? Zrobiło się już prawie ciemno.

- Może zmądrzał i postanowił nie przychodzić – powiedział Matt.

- Na to bym nie liczyła – odezwał się Meredith.

Patrzyła przez paprocie na południe. Bonnie sama też spojrzała w tamtą stronę i wytrzeszczyła oczy.

Na skraju polany stał Stefano. Pojawił się nagle. Nawet Klaus nie zauważył jego nadejścia, pomyślała Bonnie. Stał cicho, nie próbując się chować ani nie próbując ukrywać włóczni z białego jesionu. W jego postawie i sposobie, a jaki patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę, było coś, co przypomniało Bonnie, że w XV wieku Stefano był arystokratą, potomkiem szlacheckiego rodu. Nic nie mówił, czekając, aż Klaus go zauważy.

Kiedy Klaus obejrzał się na południe, znieruchomiał, a Bonnie miał wrażenie, że zdziwił się, że Stefano podkraść się tak niepostrzeżenie. Ale potem roześmiał się i szeroko rozłożył ramiona.

- Salvatore! Co za zbieg okoliczności, właśnie o tobie myślałem!

Stefano zmierzył Klause wzrokiem: od obszarpanego płaszcza po czubek potarganej głowy. A potem oświadczył:

- Wzywałeś mnie. Jestem. Wypuść dziewczynę.

- Mówiłem coś o wypuszczeniu? - Ze szczerze zdziwioną miną Klaus przycisnął obie dłonie do piersi. A potem pokręcił głową i zachichotał. - Nie wydaje mi się. Najpierw porozmawiajmy.

Stefano pokiwał głową, jakby Klaus potwierdził coś niemiłego, czego się po nim spodziewał. Zdjął włócznię z ramienia i postawił ją przed sobą, z wprawą posługując się niewygodnie długim drzewcem.

- Słucham – powiedział.

- Wcale nie taki głupi, na jakiego wygląda – mruknął Matt zza paproci, z nutą szacunku w głosie. - I wcale się tak nie rwie, żeby dać się zabić, jak myślałem – dodał. - Jest ostrożny.

Klaus wskazał Caroline, czubkami palców muskając jej kasztanowe włosy.

- To może podejdiesz tutaj, żebyśmy nie musieli się do siebie wydzierać?

- Ale nie groził, że zrobi krzywdę uwięzionej dziewczynie – zauważyła Bonnie.

- Słyszę cię stąd doskonale – odparł Stefano.

- Dobrze – szepnął Matt. – Stefano, tak trzymaj! – Bonnie patrzyła na Caroline. Związana dziewczyna szarpała się, kręciła

głową, jakby w gorączce czy z bólu. Ale Bonnie miała jakieś dziwne wrażenie, patrząc na te ruchy Caroline, a już zwłaszcza na to gwałtowne szarpanie głową, zupełnie jakby dziewczyna usiłowała sięgnąć nieba. Niebo... Bonnie uniosła wzrok w górę, gdzie zapadała już zupełna ciemność i ubywający księżyc świecił ponad drzewami. Właśnie dlatego widzę teraz, że włosy Caroline są kasztanowe, to przez światło księżyca, pomyślała. A potem z zaskoczeniem spojrzała tuż ponad Stefano, na drzewo, którego gałęzie lekko szeleściły mimo braku wiatru.

- Matt? - szepnęła przestraszona.

Stefano skoncentrował się teraz na Klausie. Ale na tym drzewie tuż nad jego głową...

Wszystkie postanowienia co do strategii, myśl, żeby spytać Matta, co robić, wyparowały Bonnie z głowy. Zerwała się na równe nogi ze swojej kryjówki i wrzasnęła:

- Stefano! Nad tobą! To pułapka!

Stefano odskoczył na bok zwinnie jak kot i dokładnie w tej samej chwili na miejscu, gdzie przed sekundą stał, coś wylądowało. Księżyc idealnie oświetlił tą scenę, więc Bonnie dostrzegła biel obnażonych zębów Tylera.

I zobaczyła błysk oczu Klause, kiedy obejrzał się i spojrzał na nią. Przez jedną chwilę patrzyła na niego, a potem uderzył piorun.

Z czystego nieba.

Dopiero później Bonnie była w stanie ocenić, jak dziwne – jak przerażające – było to, co się właśnie stało. Na razie ledwie spostrzegła czyste niebo, świecące na nim gwiazdy i zygzakowatą błękitną błyskawicę, która uderzyła w uniesioną do góry dłoń Klausa. A następny obraz tak ją przeraził, że przytłumił wszystko inne wokoło: Klaus przytrzymał w dłoni tę błyskawicę, jakby ją zbierał, a potem cisnął w stronę Bonnie.

Stefano coś krzyczał, wołał do niej, żeby się natychmiast odsunęła! Bonnie słyszała to, ale stała w miejscu jak sparaliżowana, aż wreszcie coś ją złapało i pchnęło na bok. Błyskawica strzeliła nad jej głową, z odgłosem przypominającym świstniecie wielkiego bata i zapachem ozonu. Bonnie wylądowała twarzą w mchu i przekręciła się na bok, już chcąc złapać Meredith za rękę i dziękować jej za ocalenie, ale przekonała się, że to był Matt.

- Zostań tu! Nie ruszaj się stąd! - krzyknął i rzucił się biegiem.

Te znenawidzone słowa. Słyszając je, Bonnie natychmiast zerwała się z miejsca i pobiegła za nim, zanim zorientowała się, co robi.

A potem zapanował chaos.

Klaus obrócił się błyskawicznym ruchem w stronę Stefano, który siłował się z Tylerem. Tyler, w wilczej postaci, wydał z siebie jakiś okropny dźwięk, kiedy Stefano cisnął nim o ziemię.

Meredith biegła w stronę Caroline, zbliżając się od strony

komina, żeby Klaus jej nie zauważył. Bonnie zobaczyła, że dopadła Caroline, a potem w jej dłoniach zabłysł sztylet Stefano, kiedy Meredith przecinała linkę krępującą nadgarstki Caroline. A potem Meredith na wpół zaprowadziła, na wpół zaniósła Caroline za komin, żeby tam rozciąć jej więzy na nogach.

Dźwięk podobny do ścierających się jelenich poroży kazał Bonnie obejrzeć się za siebie. Klaus natarł na Stefano włócznią – przedtem musiała leżeć na ziemi. Wydawała się równie ostra jak ta Stefano, stanowiąc równie śmiertelnoścą broń. Ale Klaus i Stefano nie tylko atakowali się pchnięciami, używali też tych kijów jako broni szermierczej. Jak Robin Hood, pomyślała oszołomiona Bonnie. Mały John i Robin Hood, tak to wyglądało. Klaus był o wiele wyższy potężniej zbudowany niż Stefano.

A potem Bonnie zobaczyła coś jeszcze i krzyknęła. Za plecami Stefano Tyler wstał i przyczał się zupełnie jak na cmentarzu, zanim skoczył Stefano do gardła. Stefano go nie widział. A Bonnie nie zdążyła go ostrzec.

Ale zapomniała o Matcie. Z pochyloną głową, ignorując te pazury i kły, rzucił się na Tylera, blokując go jak pierwszoliniowy obrońca, zanim ten zdołał skoczyć. Tyler upadł na bok, a Matt wylądował na nim.

Bonnie traciła głowę. Tyle działo się naraz. Meredith przecinała sznur wiążący Caroline kostki u nóg. Matt tłukł Tylera w sposób, za

jaki na boisku futbolowym z pewnością zostałby zdyskwalifikowany, a Stefano wymachiwał jesionową włócznią, jakby został do podobnej walki wytrenowany. Klaus śmiał się jak szaleniec, jakby ożywiony podobnym ćwiczeniem, kiedy wymieniali ciosy z morderczą prędkością i precyzją.

Bonnie miała wrażenie, że Matt zaczyna mieć kłopoty. Tyler schwytał go i warczał, usiłując go udusić. Bonnie nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała się wkoło, szukając jakiejś broni, zupełnie zapominając o nożu do mięsa we własnej kieszeni. Jej wzrok padł na gałąź dębu. Podniosła ją i podbiegła do Matta walczącego z Tylerem.

Ale kiedy do nich dotarła, zawahała się. Bała się użyć kija w obawie, że trafi nim Matta. On i Tyler tarzali się po ziemi, zlewając się w jedną plamę.

A potem Matt znów znalazł się na górze, przytrzymując głowę Tylera i wystawiając go na cios. Bonnie szybko dostrzegła swoją szansę i zamierzyła się kijem. Ale Tyler zobaczył ją. Z wybuchem niesamowitej siły, poderwał się na nogi i zepchnął Matta za siebie. Matt uderzył głową w drzewo z odgłosem, którego Bonnie miała już nigdy nie zapomnieć. To był chudy dźwięk rozbijanego melona. Matt osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Bonnie otworzyła usta i osłupiała. Rzuciłaby się w stronę Matta, ale Tyler zastąpił jej drogę. Ciężko dyszał i ślina ciekła mu

po brodzie. Z wyglądu jeszcze bardziej przypominał zwierzę niż wtedy na cmentarzu. Zupełnie jak we śnie Bonnie uniosła swój kij, ale czuła, jak drży w jej dłoniach. Matt leżał tak nieruchomo – czy on jeszcze oddychał? Bonnie usłyszała we własnym głosie szloch, kiedy stanęła naprzeciw Tylera. To było żałosne, przecież to chłopak z jej szkoły. Chłopak, z którym w zeszłym roku na balu trzecich klas tańczyła. Jak to możliwe, że zagradza jej drogę do Matta, jak może próbować ich wszystkich skrzywdzić? Jak on może coś takiego robić?!

- Tyler, proszę... - zaczęła, chcąc jakoś do niego przemówić, błagać go...

- Sama w lesie, taka mała dziewczynka? - przemówił, a jego głos brzmiał jak gardłowy i niski warkot, w ostatniej chwili przełożony na słowa.

W tym momencie Bonnie zrozumiała, że to już nie chłopak, z którym chodziła do szkoły. To było zwierzę. O Boże, jako on odrażający, pomyślała. Nitki czerwonej śliny zwisały mu z pyska. A te żółte oczy z pionowymi źrenicami - w nich dostrzegła okrucieństwo rekina i krokodyla, i osy, która składa jaja w żywym ciele gąsienicy. Całe okrucieństwo zwierzęcego świata widniało w tych żółtych ślepiach.

- Ktoś powinien był cię ostrzec – powiedział Tyler, opuszczając szczękę, żeby się zaśmiać, zupełnie jak pies. - Bo jeśli

wybierasz się do lasu sama, to możesz tam spotkać wielkiego, złego...

- Idiotę! - dokończył za niego jakiś głos i z uczuciem wdzięczności Bonnie zobaczyła stojącą obok niej Meredith ze Sztyletem Stefano, połyskującym w świetle księżyca. - To srebro, Tyler. - Meredith pomachała sztyletem.

- Ciekawe, co srebro może zrobić wilkołakowi? Chcesz się przekonać? - Cała energia Meredith, jej nieprzystępność, jej dystans obserwatora zniknęły. To była prawdziwa Meredith, Meredith wojowniczką, i chociaż się uśmiechała, była wściekła.

- Tak! - krzyknęła Bonnie radośnie, czując przyływ nowej siły. Nagle znów mogła się poruszać. Razem z Meredith były silne. Meredith okrążyła Tylera z jednej strony, Bonnie ze swoim kijem trzymanym w pogotowiu - z drugiej. Ogarnęło ją pragnienie, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie odczuwała, pragnienie walnięcia Tylera w łeb tak, że mu ten łeb odpadnie. Czuła, jak jej ramię napętnia siłą zdolna to zrobić.

A Tyler, ze swoim zwierzęcym instynktem, odczuł to, wyczuł to w nich obydwu, okrążających go z obu stron. Wzdrygnął się, wyprostował i próbował zawrócić, żeby uciec. One też się odwróciły. Po chwili wszyscy troje krążyli wokół siebie niczym niewielki system słoneczny: Tyler obracał się wokół własnej osi w środku, Bonnie i Meredith okrążały go, wypatrując okazji do ataku.

Raz, dwa, trzy. Jakiś niewymowny sygnał przepłynął między Meredith i Bonnie. Gdy Tyler skoczył ku Meredith, usiłując wytrącić jej nóż z ręki, Bonnie uderzyła. Pamiętając radę jakiegoś dawnego chłopaka, który próbował nauczyć ją grać w bejsbol, wyobraziła sobie nie, że uderza w głowę Tylera, ale że przez nią próbuje trafić w coś, co jest poza nią. Cios wspomogła całą masą swojego drobnego ciała i od wstrząsu po tym uderzeniu niemal zęby jej zadzwoniły. Boleśnie wstrząsnął jej ramionami i kij się od niego złamał. Ale Tyler padł jak zestrzelony ptak z nieba.

- Udało mi się! Tak! Dobra nasza! Tak! - wołała Bonnie, odrzucając kij. - Udało się! - Złapała Tylera za włosy i ściągnęła go z leżącej na ziemi Meredith. - Uda...

A potem urwała, a głos uwiązł jej w gardle.

- Meredith! - krzyknęła.

- Nic mi nie jest – syknęła Meredith. Tyler rozorał jej nogę pazurami aż do kości. W dżinsach Meredith były dziury, przez które było widać rany. I ku swojemu przerażeniu Bonnie widziała poszarpane ciało i lejącą się z nich czerwoną krew.

- Meredith! - zawołała w panice. Trzeba było koniecznie zabrać Meredith do lekarza. Wszyscy muszą teraz przesteć, wszyscy powinni to zrozumieć. Doszło tu do wypadku, trzeba sprowadzić karetkę, zadzwonić na pogotowie.

- Meredith – jęknęła prawie z płaczem.

- Przewiąż to czymś. - Twarz Meredith zrobiła się biała. Szok. Była w szoku. I tyle krwi, tyle krwi się lało. O Boże, proszę cię, pomóż mi, pomyślała Bonnie. Szukała czegoś, czym mogłaby przewiązać zranioną nogę, ale nic nie znalazła.

Coś upadło na ziemię, obok niej. Kawał nylonowej linki, linki, którą wykorzystali, żeby związać Tylera, z poszarpanymi końcami. Bonnie podniosła oczy.

- Nada się? - spytała Caroline niepewnie, szcękając zębami.

Miała na sobie zieloną sukienkę, jej kasztanowe włosy były potargane i lepiły się jej do twarzy umazanej potem i krwią. Mówiąc to, zachwiała się i opadła na kolana obok Meredith.

- Co ci jest? - sapnęła Bonnie.

Caroline pokręciła głową, ale zgięła się w pół w ataku mdłości i Bonnie zobaczyła znaki na jej gardle. Ale nie było czasu martwić się teraz o Caroline. Meredith była ważniejsza.

Bonnie związała linę ponad ranami Meredith, desperacko szukając w głowie tego, czego nauczyła się od swojej siostry Mary. Mary była pielęgniarką i mówiła, że opaskę uciskową trzeba wiązać niezbyt mocno albo tylko na krótko, w przeciwnym razie może się wdać gangrena. Ale teraz musiała zatamować chlustającą krew. Och, Meredith.

- Bonnie... Pomóż Stefano – poprosiła cicho Meredith.

- Będzie potrzebował pomocy... - Opadła na ziemię, jaj oddech

stał się chrapliwy.

Mokre, wszystko było mokre. Dłonie Bonnie, jej ubranie, ziemia. Mokre od krwi Meredith. A Matt nadal leżał pod drzewem nieprzytomny. Nie mogła ich zostawić, a już na pewno nie z Tylerem. On się może ocknąć.

Oszołomiona zwróciła się do Caroline, która drżała i wymiotowała, z twarzą oblaną potem. Do niczego, pomyślała Bonnie. Ale innego wyboru nie miała.

- Caroline, posłuchaj mnie – powiedziała. Podniosła dłuższy kawałek kija użytego na Tylera i wcisnęła go w rękę Caroline. - Zostaniesz z Mattem i Meredith. Luzuj tę opaskę mniej więcej co dwadzieścia minut. A jeśli Tyler zacznie się budzić, jeśli chociaż drgnie, to walnij go tym z całej siły. Jasne? I, Caroline – dodała – to twoja wielka szansa udowodnić, że do czegoś się nadajesz. Że nie jesteś bezużyteczna. Rozumiesz? - Pochwyciła ukradkowe spojrzenie zielonych oczu i powtórzyła: - Rozumiesz?

- Ale co ty masz zamiar zrobić?

Bonnie obejrzała się w stronę polany.

- Nie, Bonnie. - Caroline chwyciła ją za rękę, a Bonnie dostrzegła połamane paznokcie i otarcia od linki na nadgarstkach. - Zostań tu, gdzie jest bezpiecznie. Nie idź do nich. Nic nie możesz zrobić...

Bonnie strząsnęła jej dłoń i poszła w stronę polany. W sercu

czuła, że Caroline ma rację. Nic nie mogła zrobić. Ale dźwięczały jej w głowie jakieś słowa wypowiedziane przez Matta, zanim tu wyruszyli. Że trzeba przynajmniej próbować. Miała próbować.

Ale i tak w ciągu tych następnych okropnych kilku minut mogła tylko patrzeć.

Na razie Stefano i Klaus wymieniali ciosy z taką gwałtownością i precyzją, że przypominało to piękny, śmiertelnie groźny taniec. Ale walka była wyrównana, albo niemal zupełnie wyrównana. Stefano przez cały czas dotrzymywał tamtemu kroku.

Teraz zobaczyła że Stefano naciera jesionową włócznią i powala przeciwnika na kolana, zmuszając go do odchylania się coraz bardziej do tyłu, jak karaibskiego tancerza limbo, który sprawdza, jak daleko w tył zdoła się wychylić. Bonnie zobaczyła też teraz Klause, o lekko otwartych ustach, wpatzonego w Stefano z czymś w rodzaju zaskoczenia i strachu.

A potem wszystko się zmieniło.

Prawie już leżał na plecach, wydawało się, że za moment się przewróci albo przełamie, ale nagle coś się stało.

Klaus się uśmiechnął.

A potem zaczął odpierać atak.

Bonnie zobaczyła, jak mięśnie Stefano napinają się, jak jego ramiona tężeją, kiedy próbował stawiać opór. Ale Klaus, nadal uśmiechnięty jak szaleniec, z szeroko otwartymi oczami, nacierał.

Rozwijał się jak figurka diabła z pudełka, tyle że powoli. Powoli. Nieodparcie. Uśmiechając się coraz szerzej, aż wyglądało to tak, jakby od tego śmiechu miała mu pęknąć twarz. Jak kot z Cheshire.

Kot, pomyślała Bonnie.

Kot i mysz.

Teraz to Stefano stękał, zaciskając zęby, usiłując powstrzymać Klausa. Ale Klaus nacierał kijem, zmuszając Stefano do cofania się, spychając go w tył.

I cały czas się uśmiechając.

Wreszcie Stefano padł na ziemię, a włócznia Klausa, skrzyżowana z jego kijem, wciskała mu go w gardło. Przeciwnik spojrział na niego rozpromieniony.

- Zmęczyła mnie ta zabawa, chłopczyku – powiedział, wyprostował się i odrzucił swój kij. - Czas umierać.

Odebrał Stefano włócznię z łatwością, jakby zabierał ją dziecku. Lekkim ruchem nadgarstka podrzucił ją i złamał na kolanie, popisując się swoją siłą, demonstrując, ile jej przez cały czas miał. I jak okrutnie bawił się ze Stefano.

Jedna z połówek jesionowego kija cisnął przez ramię przez całą polanę. Drugą dźgnął Stefano. I to nie zaostrozonym końcem, ale tym odłamanym, zakończonym licznymi drobnymi odpryskami. Dźgnął z siłą, która wydawała się zupełnie nie wymuszona, ale Stefano krzyknął. Klaus dźgnął jeszcze raz, i jeszcze, a za każdym razem

jego ofiara krzyczała.

Bonnie też bezgłośnie krzyknęła.

Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Stefano krzyczał. Nikt nie musiał jej mówić, jak wielki był ból, który ten krzyk wywołał. Nikt nie musiał jej mówić, że jesion to jedyne drewno, które mogło zabić Klausa, ale mogło też zabić Stefano.

Że Stefano, jeśli jeszcze nie umierał, to za moment umrze.

Że Klaus, tą teraz uniesioną dłonią, zakończy całą sprawę jednym kolejnym potężnym ciosem. Klaus uniósł twarz do księżyca z szerokim uśmiechem obscenicznej przyjemności, pokazując, że właśnie to sprawia mu radość, że właśnie to jest jego rozrywka. Zabijanie.

A Bonnie nie mogła się ruszyć, nie mogła już nawet krzyczeć. Świat zawirował wkoło niej. To wszystko było pomyłką, ona nie była żadną kompetentną osobą, a mimo wszystko jednak dzieckiem. Nie chciała oglądać tego ostatecznego ciosu, ale nie mogła odwrócić oczu. To wszystko nie miało prawa się dziać, a jednak się działo. Działo się.

Klaus zamachnął się tym połamanym kijem i z uśmiechem ekstazy uderzył.

Ale jakaś włócznia wystrzeliła z drugiego krańca polany i utkwiała mu w plecach jak drżąca wielka strzała, jak połówka wielkiej strzały. Klaus rozrzucił ramiona, wypuszczając z ręki kij.

Ten cios momentalnie starł mu z twarzy ekstatyczny uśmiech. Stał, nadal rozpościerając ramiona, przez jakąś sekundę, a potem odwrócił się, a tkwiący mu w plecach biały kij lekko zadygotał.

Bonnie latały przed oczyma szare plamy i nie mogła nic zobaczyć wyraźnie, ale jasno usłyszała ten głos, chłodny i arogancki, i pełen absolutnej pewności siebie. To były tylko trzy słowa, ale te słowa zmieniły wszystko.

- Zostaw mojego brata.

Rozdział 15

Klaus zawył i ten krzyk przypomniał Bonnie pradawne drapieżniki, tygrysa szablozębnego i mamuta. Krew zapieniła się na jego wargach w tak tego krzyku, zamieniającego jego przystojną twarz w maskę furii.

Grzebał dłońmi za plecami, usiłując złapać tkwiący w nich jesionowy kij i go wyciągnąć. Ale drzewce utkwilo zbyt głęboko. To był dobry rzut.

- Damon – szepnęła Bonnie.

Stał na skraju polany między dębami. Patrzyła, jak postąpił krok w stronę Klausa, a potem drugi: sprężyste, skradające się kroki pełne morderczej determinacji.

I był zbyt rozgniewany. Bonnie uciekłaby na sam widok jego miny, gdyby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Jeszcze nigdy nie widziała takiej groźby, z taki trudem utrzymywanej pod kontrolą.

- Zostaw... mojego brata – powtórzył, prawie na przydechu, ani na moment nie odwracając oczu od Klausa, do którego podszedł o kolejny krok.

Klaus znów wrzasnął, ale przestał rozpaczliwie gmerać dłońmi.

- Idioto! Nie musimy walczyć! Powiedziałem ci to jesz-

cze w domu! Możemy się nawzajem ignorować!

Głos Damona wcale nie zabrzmiał donośniej niż przedtem:

- Zostaw mojego brata. - Bonnie niemal czuła to w nim, moc wzbierającą jak tsunami. Ciągnął tak cicho, że Bonnie musiała wysilić uszy, żeby dosłyszeć: - Zanim wyrwę ci serce.

Bonnie odkryła, że jednak może się ruszyć z miejsca. Cofnęła się o krok.

- Mówiłem ci! - wrzasnął Klaus. Damon nie dał po sobie poznać, że słyszy. Zdawało się, że cały się koncentruje na gardle Klause, na jego klatce piersiowej, na bijącym n w jej wnętrzu sercu, które miał zamiar mu z niej wyrwać.

Klaus podniósł z ziemi jeszcze całą włócznię i go zaatakował.

Mimo ran, jasnowłosemu mężczyźnie najwyraźniej pozostało sporo siły. Atak był nagły, gwałtowny i prawie nie

do obronienia. Bonnie widziała, jak wymierzył włócznię w Damona, i odruchowo przymknęła oczy, a potem, chwilę później, otworzyła je, bo usłyszała trzepot skrzydeł.

Klaus przeleciał przez miejsce, gdzie przed chwilą stał Damon, a w niebo wzbiła się czarna wrona i tylko jedno piórko opadło na ziemię. Bonnie patrzyła, Klaus z rozpędu wybiega poza polanę i znika w mroku.

W lesie zapadła martwa cisza.

Bonnie powoli mijał paraliż i najpierw ruszyła powoli, a potem puściła się biegiem do leżącego Stefano. Nie otworzył oczu, kiedy się zbliżyła, wydawał się nieprzytomny. Uklękła obok niego. A potem poczuła, że ogarnia ją jakiś nieczłowiecki spokój, zupełnie jak kogoś płynącego w lodowatej wodzie, kto zaczyna odczuwać pierwsze niewątpliwe skutki wychłodzenia. Gdyby nie miała za sobą aż tylu kolejno po

sobie następujących szokujących wydarzeń, być może zaczęłaby wrzeszczeć i dostała hidterii. Ale w tej sytuacji to był po prostu ostatni cios, ostatni szok, po którym człowiek osuwa się w nierzeczywistość. W świat, który nie ma prawa istnieć, a jednak istnieje.

Bo było źle. Bardzo źle. Już gorzej być nie mogło.

Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak ciężko rannego.

Nawet pana Tannera z tymi ranami, od których przecież umarł. Żadne wskazówki Mary nie mogłyby tu nic poradzić. Nawet gdyby miała Stefano na noszach tuż pod blokiem operacyjnym, mogłaby jeszcze nie zdążyć.

Ogarnięta tym straszliwym spokojem, podniosła wzrok i zobaczyła plamę oraz błys w trzepoczących w świetle księżycy skrzydeł. Damon stanął obok niej, a ona przemówiła do niego spokojnie i racjonalnie:

- Jeśli dostanie krew, czy to pomoże?

Chyba jej nie usłyszał. Oczy miał zupełnie czarne, źrenice powiększone. Ta ledwie powstrzymywana gwałtowność, ta emanująca z niego groźna energia – znikły. Przykleknął i dotknął leżącej na ziemi ciemnowłosej głowy.

- Stefano?

Bonnie zamknęła oczy.

Damon się boi. Damon się boi – Damon! I, o Boże, ja nie wiem, co robić. Nic się nie da zrobić, jest po wszystkim, wszyscy jesteśmy straceni, a Damon boi się o Stefano. Nie zajmie się wszystkim, nie ma żadnego pomysłu, i ktoś musi to wszystko ogarnąć. O, och, Boże dopomóż, bo ja się tak strasznie boję, a Stefano umiera, Meredith i Matt są ranni,

a Klaus tu przecież wróci.

Otworzyła oczy i popatrzyła na Damona. Był blady, jego twarz w tej chwili wyglądała nieznośnie młodo, z tymi rozszerzonymi czarnymi oczami.

- Klaus wróci – stwierdziła cicho Bonnie. Już nie bała się Damona. Nie byli liczącym setki lat łowcą i siedemnastolatką rasy ludzkiej, siedząc tu, na skraju lasu. Byli tylko dwójką ludzi, Damonem i Bonnie, którzy musieli postarać się zrobić to, co do nich należało.

- Wiem – powiedział. Trzymał Stefano za rękę, zupełnie się tego nie wstydząc, i wydawało się to jakoś całkiem logiczne i normalne. Bonnie czuła, że on przekazuje swoją moc Stefano, ale czuła też, że to nie wystarczy.

- Krew mu pomoże?

- Nie bardzo. Może trochę.

- Musimy spróbować wszystkiego, co może chociaż trochę pomóc.

Stefano szepnął:

- Nie.

Bonnie się zdziwiła. Myślała, że jest nieprzytomny. Ale

jego oczy teraz otworzyły się, były przytomne, i płonąco zielone. Tylko one w nim całym żyły.

- Nie bądź głupi – rzucił Damon ostrzejszym tonem. Ścisnął rękę Stefano tak, że kłykcie mu pobieleły. - Jesteś poważnie ranny.

- Nie zamię obietnicy. - W głosie Stefano, w jego bladej twarzy był niezłomny upór. A kiedy Damon już otwierał usta, żeby znów przemówić, pewnie w te słowa, że Stefano swoją obietnicę złamie i jeszcze podziękuję albo inaczej Damon złamie mu kark, brat dodał: - Zwłaszcza że to nic nie da.

Zapadła cisza, a Bonnie usiłowała uporać się z prawdą tych słów. W tym miejscu, gdzie teraz się znaleźli, w tym straszliwym miejscu tak odległym od wszystkiego, co zwykłe, udawane albo fałszywe zapewnienia wydawały się nie na miejscu. Tylko prawda się liczyła. A Stefano mówił prawdę.

Nadal patrzył na swojego brata, który nie spuszczał z niego wzroku, całą tę swoją wściekłą, gwałtowną uwagę skupiając na Stefano, tak jak wcześniej skupił ją na Klausie. Jakby w ten sposób mógł jakoś pomóc.

- Nie jestem poważnie ranny. On mnie zabił – powiedział Stefano brutalnie, wciąż wpatrzony w Damona. Ostatnia i największa walka ich woli, pomyślała Bonnie. - A ty musisz zabrać stąd Bonnie i pozostałych.

- Nie zostawimy cię – wtrąciła Bonnie. Taka była prawda, miała prawo to powiedzieć.

- Musicie! - Stefano nie rozejrzał się wkoło, nie odwracał oczu od brata. - Damon, wiesz, że mam rację. Klaus będzie tu lada moment. Nie przekreślaj swojego życia. Nie przekreślaj ich życia.

- Nic mnie nie obchodzi ich życie – syknął Damon. To też prawda, pomyślała Bonnie dziwnie spokojnie. Damona obchodziło tylko jedno życie i to nie jego własne.

- Owszem, obchodzi cię! - Stefano trzymał dłoń Damona równie w kurczowym uścisku, jakby to były jakieś zawody, w których może wygrać i zmusić w ten sposób Damona, żeby ustąpił. - Elena miała jedną ostatnią prośbę, no cóż, ja też mam swoją. Damon, posiadasz moc. Chcę, żebyś jej użył, żeby im pomóc.

- Stefano... - szepnęła Bonnie bezradnie.

- Obiecuj mi – powiedział Stefano do Damona, a potem spazm bólu wykrzywił mu twarz.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Damon tyl-

ko się w niego wpatrywał. A potem się odezwał:

- Obiecuję – szybko i ostro, jakby uderzał sztyletem.

Puścił dłoń Stefano i wstał, obracając się do Bonnie. -

Chodź.

- Nie możemy go zostawić...

- Owszem, możemy. - Teraz w twarzy Damona nie pozostał już ani ślad młodości. Nie było w niej nic bezbronnego.

- Ty i twoi ludzcy przyjaciele zbieracie się stąd i to na zawsze. Ja wracam.

Bonnie pokręciła głową. Wiedziała w głębi duszy, że Damon nie zdradzał w ten sposób Stefano, że w jakiś sposób przekładał ideały Stefano nad jego życie, ale i tak to wszystko było dla niej zbyt zawile i niezrozumiałe. Nie rozumiała tego i nie chciała rozumieć. Wiedziała tylko, że nie wolno tak zostawić Stefano.

- Idziemy, już – powiedział Damon, sięgając po nią, w jego głosie znów pojawiła się stalowa nuta. Bonnie szykowała się już do walki, ale potem zdarzyło się coś, co całą tę ich sprzeczkę pozbawiło sensu. Rozległ się trzask jakby wielkiego bata, zapłonęło światło jak za dnia i na moment

Bonnie oślepiło. A kiedy znów zaczęła coś widzieć poprzez ten błysk negatywu, uniosła oczy w stronę płomienia buchających z świeżo poczerniającej dziury u podstawy któregoś drzewa.

Klaus wrócił. Z uderzeniem pioruna.

Bonnie spojrzała wtedy na niego, bo tylko on poruszał się teraz po polanie. Wymachiwał zakrwawionym białym kijem, który wyciągnął sobie z pleców, jak jakimś trofeum.

Piorunochron, pomyślała Bonnie bez sensu, a potem nastąpiło kolejne wyładowanie.

Uderzyło w ziemię z czystego nieba błękitno-białymi widłami, które oświetliły wszystko jak słońce w samo południe. Bonnie patrzyła, jak piorun uderza w jedno drzewo, a potem w drugie, każde następne bliżej nich niż poprzednie. Płomienie zaczęły lizać liście jak czerwone jęzory wygłodniałych chochlików.

Dwa drzewa po obu stronach Bonnie eksplodowały z trzaskiem tak głośnym, że raczej go poczuła, niż usłyszała, kiedy zadudnił jej w bębenkach uszu. Damon, który słuch

miał wrażliwszy od niej, aż podniósł dłonie, żeby osłonić nimi uszy.

A potem krzyknął:

- Klaus! - I skoczył w stronę jasnowłosego. Już się nie skradał, atakował z potwornym impetem. Eksplozja morderczej prędkości polującego kota czy wilka.

Błyskawica trafiła go w trakcie skoku.

Bonnie wrzasnęła na ten widok, poderwała się na nogi. Zobaczyła błękitny błysk rozgrzanego gazu i poczuła zapach spalenizny, a potem Damon padł twarzą na ziemię i zniechęcił się. Bonnie zobaczyła unoszące się nad nim cienkie smużki dymu, zupełnie jak z okolicznych drzew.

Oniemiała z przerażenia spojrzała na Klause.

Szedł butnym krokiem przez polanę i wymachiwał okrwawionym drzewcem jak kijem golfowym. Mijając Damona, pochylił się nad nim i uśmiechnął. Bonnie znów zapragnęła krzyknąć, ale dech jej zaparło. Miała wrażenie, że dokoła nie ma czym oddychać.

- Z tobą policzę się później – syknął Klaus do nieprzytomnego Damona. A potem podniósł wzrok na Bonnie.

- Ty – powiedział. - Najpierw rozprawię się z tobą.

Dopiero po chwili zrozumiała, że on patrzy na Stefano, nie na nią. Te jaskrawobłękitne oczy miał utkwione w je-

go twarzy. Potem przeniósł wzrok na jego skrwawiony tors.

- Teraz cię zjem, Salvatore.

Bonnie była zupełnie sama. Tylko ona została i śmiertelnie się bała.

Ale wiedziała, co musi zrobić.

Pozwoliła kolanom ugiąć się pod nią i opadła na ziemię obok Stefano.

A więc tak się to wszystko skończy, pomyślała. Klęczysz obok swojego rycerza i spoglądasz w twarz wroga.

Popatrzyła na Klause i przesunęła się tak, że zasłoniła sobą Stefano. Chyba po raz pierwszy ją wtedy dostrzegł i zmarszczył brwi, jakby znalazł pająka w sałatce. Blask ognia odbijał się pomarańczową czerwienią na jego twarzy.

- Z drogi.

- Nie.

A tak ten koniec się zaczyna. Właśnie tak, po prostu, od jednego słowa, po którym umierasz w taką letnią noc. W letnią noc, kiedy księżyc i gwiazdy świecą, a sobótkowe

ogniska płoną jak płomienie, którymi druidzi kiedyś przywoływali zmarłych.

- Bonnie, odejź – wyszeptał Stefano. - Odejź, póki możesz.

- Nie. Bonnie była spokojna. Wybacz mi, Eleno, pomyślała. Nie mogę go uratować. Tylko tyle mogę zrobić.

- Z drogi – syknął Klaus przez zęby.

- Nie. - Mogła poczekać i w ten sposób pozwolić Stefano umrzeć, a nie z zębami Klause zatopionym w jego gardle. Może to nie jest jakaś wielka różnica, ale tylko to mogła mu podarować.

- Bonnie... - szepnął Stefano.

- Nie wiesz, kim jestem, dziewczyno? Jestem bratem diabła. Jeśli się odsuniesz, pozwolę ci umrzeć szybko.

Głos odmówił Bonnie posłuszeństwa. Ale pokręciła głową.

Klaus wybuchnął śmiechem. Z ust wypłynęło mu trochę krwi.

- Dobrze – powiedział. - Jak chcesz. A więc umrzecie razem.

Letnia noc, pomyślała Bonnie. Noc letniego przesilenia. Kiedy linia między światami jest taka cienka.

- Powiedz „dobranoc” kochanie.

Nie ma czasu na trans, nie ma czasu na nic. Na nic poza tą jedyną rozpaczliwą prośbą.

- Eleno! - wrzasnęła Bonnie. - Eleno! Eleno!

Klaus się cofnął.

Przez chwilę wydawało się, że samo to imię ma taką moc wzbudzania w nim strachu. Albo że on spodziewa się jakiejś reakcji na wołanie Bonnie. Przystanął, nasłuchując.

Bonnie zebrała wszystkie siły, włożyła w ten krzyk ostatnie resztki energii, zawarła w nim całą swoją potrzebę i wysłała ją w pustkę.

I... nie poczuła nic.

Nic nie zakłócało letniej nocy poza trzaskiem płomieni. Klaus obrócił się znów w stronę Bonnie i Stefano. Uśmiechnął się szeroko.

A potem Bonnie dostrzegła podnoszącą się znad ziemi mgłę.

Nie, to nie mogła być mgła. To musiał być dym z płomieni. Ale to coś nie zachowywało się jak mgła ani jak dym. Zataczało koła, wznosząc się w powietrze jak niewielki wir powietrzny czy piaskowa burza. Przybierało kształt jakby

zbliżony do ludzkiego.

Niedaleko tworzył się kolejny. A potem Bonnie dostrzegła trzeci. Wszędzie dokoła powstawały następne.

Mgła zbierała się nad ziemią, spływała z drzew. Tworzyła kałuże, osobne, niezlewające się ze sobą. Bonnie, w milczeniu wytrzeszczając oczy, widziała ich przejrzystość, mogła dostrzec przez nie płomienie, drzewa dębu,

cegły komina. Klaus przestał się uśmiechać, znieruchomiał i też spojrział.

Bonnie obróciła się do Stefano, niezdolna choćby ująć to pytanie w słowach.

- Niespokojne dusze – szepnął ochryple, patrząc ze skupieniem swoimi zielonymi oczami. - Przesilenie.

I wtedy Bonnie zrozumiała.

Nadchodzili. Zza rzeki, gdzie był stary cmentarz. Z lasów, gdzie wykopano niezliczone prowizoryczne groby, żeby pochować w nich ciała, zanim zgniją. Niespokojne dusze, żołnierze, którzy tu walczyli i zginęli podczas wojny secesyjnej. Nadprzyrodzone istoty, które zareagowały na wołanie o pomoc.

Zbierali się wkoło. Były ich setki.

Bonnie mogła teraz już dostrzec ich twarze. Ich rozmyte rysy wypełniały się bladymi odcieniami podobnymi do pastelowych rysunków. Dostrzegła plamę granatu, połysk szarości. Oddziały zarówno konfederatów, jak i Unii. Bonnie zobaczyła pistolet wetknięty za pas, błysk ozdobnej szabli. Szewrony na rękawie. Gęstą ciemną brodę, i jeszcze jedną, długą, ładnie utrzymaną, posiwiałą. Niewielką figurkę wzrostu dziecka z ciemnymi otworami zamiast oczu i werblem zawieszonym na wysokości uda.

- O mój Boże – szepnęła. - O Boże. - Wcale nie wzywała imienia boskiego nadaremno. Już prędzej się modliła.

Nie żeby jej nie przerażali, bo tak było. Zupełnie jakby wszystkie najgorsze koszmary z cmentarzami w roli głównej nagle się ziściły. Jak ten jej pierwszy sen o Elenie, kiedy różne stwory gramoliły się z czarnych jam w ziemi, tylko że tutaj nie gramoliły się, one latały w powietrzu, unosiły się nad ziemią i podfruwały, póki nie przybrały ludzkiej ormy. Wszystko, co Bonnie kiedyś myślała o starym cmentarzu – że jest żywy i pełen obserwujących ją oczu, że jakaś

moc kryje się za jego wyczekującym bezruchem – spraw-

dzało się. Ziemia Fell's Church parowała własnym krwawymi wspomnieniami. Dusze tych, którzy tu umarli, znów chodziły po tej ziemi.

A Bonnie wyczuwała ich gniew. Przerzął ją, ale budziło się w niej jeszcze inne uczucie, każąc jej wstrzymać oddech i mocniej ścisnąć dłoń Stefano. Bo tej widmowej armii ktoś przewodził.

Jedna postać wysunęła się przed pozostałe, najbliżej miejsca, gdzie stał Klaus. Nie miała jeszcze określonego, wyraźnego kształtu, ale połyskiwała i skrzyła się bladozłotym światłem białej świecy. A potem, na oczach Bonnie, zdawało się, że zaczyna czerpać materię z powietrza i jaśnieje z każdą chwilą coraz bardziej nieziemskim światłem. Było tak jasne, że Klaus się przed nim uchylił, a Bonnie zamrugała, ale kiedy usłyszała jakiś niski dźwięk i obejrzała się, zobaczyła Stefano, który wpatrywał się wprost w to światło, bez lęku, szeroko otwartymi oczyma. I uśmiechem tak radosnym, jakby cieszył się, że to będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczył.

I wtedy Bonnie zrozumiała.

Klaus opuścił kij. Odwrócił się od Bonnie i Stefano, żeby spojrzeć na światłość, która zawisła nad polaną jak anioł zemsty. Złote włosy powiewały jak na niewidzialnym wie-

trze. Elena spojrzała na niego.

- Przyszła – szepnęła Bonnie.

- Prosiłaś ją o to – odszepnął Stefano. Głos przeszedł mu w wysilony oddech, ale nadal się uśmiechał. Oczy miał pełne spokoju.

- Odsuń się od nich – powiedziała Elena, a jej głos równocześnie zabrzmiał w uszach Bonnie i w jej myślach. Brzmiał jak bicie dziesiątków dzwonów, odległych, a zarazem bliskich. - Już po wszystkim, Klaus.

Ale Klaus szybko się pozbierał. Bonnie zobaczyła, że biorąc wdech, unosi ramiona, zauważyła po raz pierwszy dziurę z tyłu płaszcza, w miejscu, gdzie utkwił jesionowy kij. Jej obrzeże poplamione było ciemną czerwienią, a teraz, kiedy Klaus rozprostował szeroko ramiona, popłynęła świeża, jasna krew.

- Myślisz, że się ciebie boję?! - krzyknął. Obrócił się wokół własnej osi, śmiejąc się z tych wszystkich bladych postaci. - Myślicie, że się was boję? Jesteście martwi! Jesteście pyłem na wietrze! Nic mi nie możecie zrobić!

- I tu się mylisz – odezwała się Elena głosem wietrznych dzwonków.

- Jestem jednym ze Starszych! Z Pierwszych! Czy wy wiecie, co to znaczy? - Klaus znów się obrócił, zwracając do wszystkich duchów, a w jego nienaturalnie błękitnych oczach zaczął się odbijać czerwony blask ognia. - Ja nigdy nie umarłem. Wy wszyscy umarliście, galerio widm! Ale nie ja. Śmierć nie może mnie dotknąć. Jestem niezwyciężony!

Ostatnie słowo wykrzyczał tak głośno, że odbiło się echem wśród drzew. Niezwyciężony... Niezwyciężony... Niezwyciężony... Bonnie słyszała, jak to słowo znika w głodnym syku ognia.

Elena odczekała, aż zamilkło ostatnie echo. A potem powiedziała, bardzo spokojnie:

- Niezupełnie. - Obróciła się i spojrzała na otaczającą ją mgliste postacie. - On chce przelać tu więcej krwi.

Odezwał się jakiś nowy głos, tak głuchy, że przebiegł zimnym dreszczem po kręgosłupie Bonnie.

- Tutaj już było wystarczająco dużo zabijania. - To był żołnierz z Unii z podwójnym rzędem guzików na mundurze.

- Aż za wiele – zawtórował mu inny głos, jak dudnienie odległego bębna. Żołnierz konfederacji z bagnetem w dłoni.

- Nie możemy pozwolić, żeby to trwało... - Chłopiec z werblem, z ciemnymi dziurami zamiast oczu.

- Nie będzie więcej przelewu krwi! - Kilka głosów podjęło naraz. - Dość zabijania! - Okrzyk przechodził od jednego do drugiego, aż fala dźwięków zagłuszyła trzask ognia. - Dosyć już krwi!

- Nie możecie mnie zranić! Nie możecie mnie zabić!

- Bierzmy go, chłopcy!

Bonnie nie miała pojęcia, kto wydał tę ostatnią komendę. Ale padła i wszyscy za nią poszli razem, żołnierze Konfederacji i Unii. Unosili się nad ziemią, płynęli, znów zmieniali w mgłę, w ciemną mgłę o tysiącu rąk. Spadła na Klause jak fala oceanu, uderzyła w niego i go pochłonęła. Pochwyciły go wszystkie te dłonie i chociaż Klaus stawiał opór, chociaż szarpał rękoma i nogami, było ich dla niego zbyt wielu. Po sekundzie duchy go przesłoniły, otoczyły, ciemna mgła go połknęła. Uniosła się, wirując jak tornado, z wnętrza którego jego krzyki dobiegały bardzo słabo.

- Nie możecie mnie zabić! Jestem nieśmiertelny!

Tornado znikło w mroku poza polem widzenia Bonnie. Za nim snuł się szereg duchów niczym ogon komety, przecinając nocne niebo.

- Dokąd oni go zabierają? - Bonnie wcale nie zamierzała mówić tego na głos, po prostu wypaliła, zanim pomyślała. Ale Elena ją usłyszała.

- Tam, gdzie nie będzie nikomu szkodził – powiedziała, a na widok jej miny Bonnie odeszła ochota do zadawania dalszych pytań.

Po drugiej strony polany rozległy się jęki i biadolenie. Bonnie obejrzała się i zobaczyła Tylera, w tej jego okropnej na wpół ludzkiej, na wpół zwierzęcej postaci. Podniósł się na nogi. Kij Caroline nie był już potrzebny. Tyler wpatrywał

się w Elenę oraz kilka pozostałych widmowych postaci i bełkotał niewyraźnie:

- Nie oddawajcie mnie im! Nie pozwólcie, żeby mnie też zabrali!

Zanim Elena zdążyła przemówić, obrócił się. Spojrzał na moment w ogień, który przewyższał teraz jego wzrost, a potem skoczył prosto w płomienie, przedarł się przez nie i runął w las. Przez szczelinę w ścianie ognia Bonnie zobaczyła, jak upadł na ziemię, tłamsząc ogarniające go płomienie, a potem podniósł się i znów rzucił biegiem. Później ogień wystrzelił w górę i już nic więcej nie widziała.

Ale coś jej przypomniało: Meredith – i Matt. Meredith leżała na ziemi, z głową opartą na kolanach Caroline, i patrzyła. Matt nadal leżał na plecach, ranny, ale nie tak ciężko jak Stefano.

- Eleno – powiedziała Bonnie, przyciągając uwagę świetlistej postaci, a potem po prostu spojrzała na niego.

Jasność się zbliżyła. Stefano nawet nie mrugnął. Spojrzał w samo serce jasności i się uśmiechnął.

- Teraz został powstrzymany. Dzięki tobie.

- To Bonnie nas przywołała. A nie zdołałaby zrobić tego we właściwym miejscu i czasie, gdyby nie ty i pozostali.

- Próbowałem dotrzymać obietnicy.

- Wiem, Stefano.

Bonnie wcale nie podobało się to, co słyszała. Brzmiało to trochę za bardzo jak jakieś pożegnanie – takie na zawsze. Wróciły do niej jej własne słowa: „On może przenieść się w jakieś inne miejsce albo po prostu zniknąć”. A nie chciała, żeby Stefano gdziekolwiek zniknął. Oczywiście, że ktoś kto tak bardzo wyglądem przypominał anioła...

- Eleno – odezwała się. - Nie możesz czegoś zrobić?

Nie możesz mu pomóc? - Głos jej drżał.

A mina Eleny, kiedy odwróciła się, żeby na Bonnie spojrzeć, łagodna, ale tak bardzo smutna, przygnębiła ją jeszcze bardziej. Przypomniła jej kogoś, a potem dotarło do niej kogo. Honoria Fell. Oczy Honorii też tak wyglądały, jakby patrzyły na całe nieuniknione zło tego świata. Na całą jego niesprawiedliwość, wszystko to, co nie powinno się zdarzać, a jednak się dzieje.

- Mogę coś zrobić – powiedziała. - Ale nie wiem, czy on, chce takiej pomocy. - Znowu spojrzała na Stefano. - Stefano, mogę uleczyć rany po Klausie. Dzisiaj mam taką moc. Lecz nie odmienię tego, co zrobiła Katherine.

Oszołomiony umysł Bonnie usiłował przez chwilę mowić się z tą informacją. To, co zrobiła Katherine? Ale przecież Stefano już całe miesiące temu doszedł do siebie po torturach zadanych mu przez nią w krypcie. A potem zrozumiała. To przecież Katherine zamieniła Stefano w wampira.

- To już tak długo – mówił Stefano do Eleny. - Gdybyś to odmieniła, zamieniłbym się w stos pyłu.

- Tak. - Elena nie uśmiechnęła się, tylko nadal patrzyła na niego uważnie. - Chcesz moje pomocy, Stefano?

- Żeby nadal żyć w świecie cienia... - Głos Stefano osłabł do szeptu, jego zielone oczy zrobiły się nieobecne.

Bonnie chciała nim potrząsnąć. Żyj, przesłała mu myśl, ale nie ośmieliła się jej wypowiedzieć w obawie, że tylko go skłoni do podjęcia decyzji dokładnie przeciwnej. A potem pomyślała o czymś jeszcze.

- Żeby nadal próbować – powiedziała, a oni oboje spojrzeli na nią. Nie spuściła wzroku, wysunęła brodę do przodu i zobaczyła uśmiech rodzący się na jasnych wargach Eleny. Elena obróciła się do Stefano i przekazała mu ten leciutki cień uśmiechu.

- Tak – odrzekł cicho, a potem, do Eleny, dodał: - Pomóż mi.

Elena pochyliła się i go pocałowała.

Bonnie zobaczyła, że jasność przepływa od niej do Stefano, zupełnie jak pochłaniająca go rzeka świetlnych błysków. Zalała go tak samo, jak ciemna mgła zagarniająca Klause, jak kaskada diamentów, aż całe jego ciało rozjarzyło się tak samo jak postać Eleny. Bonnie przez moment wydawało się, że widzi krew wewnątrz jego ciała, płynącą, napętlającą każdą tętnicę, każdą żyłę, uleczającą wszystko, czego dotknęła. A potem blask osłabł, stał się złotawą aurą, która wtopiła się pod skórę Stefano. Koszulkę nadal miał podartą,

ale ciało pod nią było bez ran. Bonnie, czując, jak szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, nie mogła oprzeć się pokusie, żeby go dotknąć.

Ta skóra była zupełnie zwyczajna. Straszliwe rany zniknęły.

Roześmiała się głośno z radości, a potem podniosła oczy, poważniejąc.

- Eleno.. Jest jeszcze Meredith...

Jasna postać Eleny przesunęła się przez polanę. Meredith spojrzała na nią spod kolan Caroline.

- Witaj, Eleno – powiedziała Meredith niemal normalnym głosem, tyle że bardzo słabym.

Elena pochyliła się i ją pocałowała. Jasność znów napłynęła, otaczając Meredith. A kiedy się cofnęła, Meredith stała na własnych nogach.

Potem Elena zrobiła to samo z Mattem, który obudził się nieco zdezorientowany, ale przytomny. Pocałowała też Caroline, która przestała dygotać i się wyprostowała.

A potem zbliżyła się do Damona.

Nadal leżał tam, gdzie upadł. Duchy minęły go, nie zwracając na niego uwagi. Jasność Eleny zawisła nad nim, jedna świetlista dłoń dotknęła jego włosów. A potem Elena pochyliła się i ucałowała Damona.

Kiedy blask światła słabł, Damon usiadł i pokręcił głową. Zobaczył Elenę i znieruchomiał, a potem, kontrolując każdy ruch, ostrożnie i powoli wstał. Nic nie powiedział, tylko patrzył, jak Elena wraca w stronę Stefano.

Widać go było wyraźnie na tle ognia. Bonnie prawie do tej pory nie zauważała, że jego czerwony blask tak urósł, że niemal już przyćmił złotą poświatę Eleny. Ale teraz zobaczyła ten ogień i ogarnął ją strach.

- Mój ostatni podarunek – powiedziała Elena, i wtedy zaczęło padać.

To nie była jakaś burzowa ulewa, ale porządny, rzęsisty deszcz, który wszystko przemoczył – z Bonnie włącznie - i zgasił ogień. Był świeży i chłodny. I wydawało się, że zmywa wszystkie okropieństwa ostatnich godzin, że oczyszcza polanę ze wszystkiego, co się na niej stało. Bonnie uniosła twarz i przymknęła oczy. Miała ochotę szeroko rozewrzeć ramiona na powitanie tego deszczu. Wreszcie osłabł, a wtedy znów spojrzała na Elenę.

Elena patrzyła na Stefano i teraz na jej wargach nie igrał już uśmiech. Na jej twarzy znów pojawił się niewypowiedzialny smutek.

- Już północ – szepnęła. - I muszę już odejść.

Słyszając, jak zabrzmiało to słowo, Bonnie zrozumiała, że jej odejście nie oznacza zniknięcia na jakiś czas. Oznaczało odejście na zawsze. Elena odchodziła gdzieś, gdzie żaden trans ani sen nie zdoła jej dosięgnąć.

I Stefano też to wiedział.

- Jeszcze chociaż parę chwil – poprosił, wyciągając do niej rękę.

- Przykro mi...

- Eleno, zaczekaj... Ja muszę ci powiedzieć...

- Nie mogę! - Po raz pierwszy spokój zniknął z tej jaśniejącej twarzy, ukazując nie tylko łagodny smutek, ale

i szarpiącą nią rozpacz. - Stefano, nie mogę zwlekać. Wybacz mi. - Zupełnie, jakby coś ją ciągnęło w tył, zabierając ją stamtąd w jakiś inny wymiar, którego Bonnie zobaczyć nie mogła. Może w to samo miejsce, dokąd poszła Honoria, kiedy wypełniła już swoje zadanie, pomyślała Bonnie. Żeby spocząć w pokoju.

Ale oczy Eleny nie wyglądały już spokojnie. Przywarły do Stefano i ruchem pozbawionym nadziei wyciągnęła do niego dłoń. Nie dotknęli się. Elena już była za daleko, zni-

kała.

- Eleno... Błagam! - Tym samym głosem Stefano wołał ją kiedyś w swoim pokoju. Jakby serce mu pękało.

- Stefano! - zawołała, wyciągając do niego teraz obie ręce. Ale rozplýwała się, znikąa. Bonnie poczuła wzbierający w piersi szloch, poczuła, jak ściska jej się gardło. To nie w porządku. Oni przecież zawsze chcieli tylko być razem. A teraz nagrodą Eleny za pomoc udzieloną miastu i za wypełnienie zadania będzie rozdzielenie ze Stefano na wieki. To po prostu niesprawiedliwe. - Stefano... - znów zawołała Elena, ale jej głos dobiegał jak z wielkiej oddali. Jasność nieomal znikła. A potem kiedy Bonnie patrzyła bezradnie, przez łzy, zgasła.

A na polanie znów zapadła cisza. Znikły wszystkie duchy z Fell's Church, które na jedną noc pojawiły się, by zapobiec dalszemu przelewowi krwi. Ten jasny duch, który ich prowadził, znikł bez śladu, a nawet księżyc i gwiazdy zasnuły się chmurami.

Bonnie wiedziała, że wilgoć na policzkach Stefano nie była wynikiem deszczu, który jeszcze popadywał.

Stefano stał, ciężko oddychając, i spoglądał na miejsce, gdzie widział ślad jasności Eleny. Cała tęsknota i ból, które Bonnie widywała wcześniej na jego twarzy, były niczym

z porównaniu z tym, co zobaczyła teraz.

- To nie w porządku – szepnęła. A potem krzyknęła w głos, w niebo, nie dbając o to, do kogo się zwraca: - To nie w porządku!

Stefano oddychał coraz szybciej. Teraz on też uniósł głowę, ale nie w gniewie, tylko z nieznośnym bólem. Jego oczy wpatrywały się w chmury, jakby mógł tam zobaczyć jakiś ślad złotego światła, jakiś błysk jasności. Nie zobaczył. Bonnie widziała, że zadrżał, zupełnie jak w agonii po ciosie Klausa. I nigdy nie słyszała tak strasznego krzyku jak ten, który teraz wyrwał mu się z piersi.

- Elena!

Rozdział 16

Bonnie nigdy nie zdołała sobie przypomnieć, co się działo w następnych sekundach. Usłyszała krzyk Stefano, który zdawał się niemal wstrząsać ziemią. Ujrzała Damona, który ruszył w jej stronę. A potem zobaczyła błysk.

Błysk tak jak tej błyskawicy Klausa, ale nie błękotno-biały. Ten błysk był złoty.

I tak jasny, że Bonnie miała wrażenie, jakby przed jej oczyma wybuchło słońce. Przez kilka chwil widziała tylko wirujące barwy. A potem zobaczyła coś na środku polany, w pobliżu ruin kościoła. Coś białego, podobnego do ducha, a jednak bardziej materialnego. Coś niewielkiego i skulonego, co przecież nie mogło być tym, co widziała Bonnie.

Bo wyglądało to jak naga, szczupła dziewczyna, drżąca na leśnym poszyciu. Dziewczyna o złotych włosach.

Wyglądała jak Elena.

Nie ta rozjarzona jak światło świec Elena ze świata du-

chów i nie ta blada, nieludzko piękna dziewczyna, Elena wampirzyca. To była Elena, której skóra była zaróżowiona, a w kroplach deszczu pokrywała się gęsią skórą. Elena, która miała zagubioną minę, kiedy powoli uniosła głowę i rozejrzała się wkoło siebie, jakby wszystkie znajome widoki na polanie jej samej były zupełnie nieznane.

To jakieś złudzenie. Albo złudzenie, albo dali jej jeszcze parę minut, żeby mogła się pożegnać – powtarzała sobie Bonnie, ale nadal nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

- Bonnie? - dziewczyna odezwała się niepewnie. Ten głos nie przypominał wietrznych dzwonek. To był głos przestraszonej młodej dziewczyny.

Pod Bonnie ugięły się nogi. Ogarnął ją zamęt. Usiłowała się uspokoić, nawet nie śmiejąc jeszcze analizować własnych uczuć. Tylko patrzyła na Elenę.

Elena dotknęła twarzy przed sobą. Najpierw niepewnie, a potem coraz bardziej swobodnie, szybciej i szybciej. Wzięła w palce jakiś liść gestem, który wydał się niezdarny, odłożyła go, poklepała dłonią ziemię. Znow podniosła rękę. Złapała całą garść mokrych liści i uniosła do twarzy, powąchała je. Podniosła oczy na Bonnie, liście się rozsypały wkoło.

Przez chwilę tylko klęczały i przyglądały się sobie z od-

ległości paru kroków. A potem Bonnie wyciągnęła drżącą rękę. Nie mogła złapać tchu.

Elena wyciągnęła dłoń do Bonnie. Ich palce się zetknęły.

Prawdziwe palce. W prawdziwym świecie. Tam, gdzie były obie.

Bonnie wydała zduszony okrzyk i rzuciła się w objęcia Eleny.

Przez chwilę gorączkowo dotykała jej, z radością. Ale Elena była namacalna. Była zmoknięta i trzęsła się, a dłonie Bonnie nie przechodziły przez nią na wylot. Do włosów Eleny przylgnęły odrobiny wilgotnych liści i grudki ziemi.

- Jesteś tu – zaszlochała. - Eleno, ja cię mogę dotykać!

Elena też się zachłysnęła radością.

- Mogę cię dotknąć! Jestem tu! - Znów złapała garść liści. - Mogę dotknąć ziemi!

- Widzę, że jej dotykasz! - Mogły tak powtarzać w nieskończoność, ale przerwała im Meredith. Stała kilka kroków dalej, z wielkimi, szeroko otwartymi oczami, z pobielającą twarzą. Wydała z siebie jakiś nieartukułowany

dźwięk.

- Meredith! - Elena obróciła się do niej i wyciągnęła ręce pełne liści. Rozłożyła ramiona.

Meredith, która potrafiła być dzielna, kiedy znaleziono ciało Eleny w rzece, kiedy Elena pojawiła się pod jej oknem jako wampirzyca, kiedy zmaterializowała się na tej polanie jak anioł, teraz stała jak wryta i dygotała. Wyglądała, jakby miała za moment zemdleć.

- Meredith, ona jest namacalna! Możesz jej dotknąć! Widzisz? - Bonnie znów radośnie poszturchała Eleną pięściami.

Meredith nie ruszyła się z miejsca. Szepnęła:

- To niemożliwe.

- To prawda! Widzisz? To prawda! - Bonnie zaczynała wpadać w histerię. Wiedziała o tym, ale było jej wszystko jedno. Jeśli ktoś tu miał prawo wpaść w histerię, to właśnie ona. - To prawda, to prawda – podśpiewywała. - Meredith, chodź tu!

Meredith, która przez cały ten czas wpatrywała się w Elenę, znów coś wyjąkała. A potem, jednym raptownym

ruchem, rzuciła się na Elenę. Dotknęła jej, chwyciła ją za

rękę, poczuła opór żywego ciała. Spojrzała Elenie w twarz. I wybuchła niekontrolowanym płaczem.

Płakała i płakała, przytulając twarz do nagiego ramienia Eleny.

Bonnie poklepywała je po plecach.

- Nie sądzicie, że warto byłoby ją w coś ubrać? - odezwał się jakiś głos i Bonnie, unosząc głowę, dostrzegła Caroline, która zdejmowała z siebie sukienkę. Caroline zrobiła to spokojnie, stając w swojej nylonowej halczce, jakby nic innego nie robiła, tylko w taki sposób się rozbierała. Ona nie ma wyobraźni, znów pomyślała Bonnie, ale bez złości. Najwyraźniej są takie chwile, kiedy brak wyobraźni to zaleta.

Meredith i Bonnie wciągnęły sukienkę przez głowę Eleny. Była dla niej za duża, mokra, i Elena wyglądała w niej nienaturalnie, jakby odwykła od noszenia ubrań. Ale przynajmniej trochę ją to chroniło przed wpływem pogody.

A potem Elena szepnęła:

- Stefano.

Obróciła się. Stał z Damonem i Mattem. Wpatrywał się w nią tak, jakby zależał od tego jego oddech, jego całe życie. I czekał.

Elena zrobiła w jego kierunku jeden niepewny krok. Potem kolejny i jeszcze kolejny. Szczupła, krucha, lekko drżała, idąc w jego stronę. Jak mała syrenka ucząca się chodzić na swoich nowych nogach, pomyślała Bonnie.

Pozwolił jej pokonać prawie całą dzielącą ich odległość i tylko wpatrywał się w nią, a potem ruszył w jej stronę. Rzucił się niemal biegiem i padli sobie w ramiona, przewrócili się na ziemię, ściśle objęci, trzymając się

tak mocno, jak to tylko możliwe. Żadne nie powiedziało ani słowa.

A wreszcie Elena odsunęła się, żeby spojrzeć na Stefano, a on ujął jej twarz w swoje dłonie i też jej się tylko przyglądał. Elena roześmiała się głośno z nagłej radości, otwierając i zamykając palce dłoni, i przyglądając im się z zachwytem, zanim zanurzyła je we włosach Stefano. A potem się pocałowali.

Bonnie patrzyła na to bezwstydnie, czując, że ta uderzająca do głowy radość przyprawia ją też o płacz. Bolało ją gardło, ale to były słodkie łzy, nie słone łzy bólu i nadal się uśmiechała. Była brudna, przemokła do suchej nitki, ale

jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka szczęśliwa. Chciało jej się śpiewać i tańczyć, i robić wiele różnych szalonych rzeczy.

Jakiś czas potem Elena oderwała wzrok od Stefano i spojrzała na nich wszystkich, z twarzą niemal tak samo jaśniejącą jak wtedy, kiedy unosiła się nad polaną jak anioł. Świetlistą jak promienie księżyca. Już nikt nigdy nie nazwie jej Królową Śniegu, pomyślała Bonnie.

- Moi przyjaciele – powiedziała Elena. Nic więcej nie dodała, ale te słowa i lekki szloch, który jej się wyrwał, kiedy wyciągała do nich ręce, wystarczyły. Momentalnie ją otoczyli, próbując ją objąć. Nawet Caroline.

- Eleno... - załkała Caroline. - Wybacz mi.

- Już wszystko wybaczone. - Elena uściskała ją tak samo serdecznie jak pozostałych. A potem złapała silną opaloną dłoń i przytknęła do policzka. - Matt – powiedziała, a on uśmiechnął się do niej rozjaśnionymi błękitnymi oczami. Ale nie z żalem na jej widok w objęciach Stefano, pomyślała Bonnie. W tej chwili twarz Matta wyrażała wyłącznie radość.

Jakiś cień padł na ich małą grupkę, pojawiając się między nimi a światłem księżyca. Elena podniosła oczy i znów wyciągnęła dłoń.

- Damon – wyszeptała.

Jasność i miłość na jej twarzy były uderzające. A raczej, powinny być, pomyślała Bonnie. Ale Damon podszedł o krok, bez uśmiechu, a jego czarne oczy były tak obojętne i niewzruszone jak zawsze. Blask gwiazd bijący z oczu Eleny nie odbijał się w nich.

Stefano spojrzał na niego bez strachu. A potem, ani na chwilę nie odwracając oczu, również wyciągnął do niego rękę.

Damon stał i patrzył na tych dwoje, na te ich radosne, nieustraszone twarze, na wyciągnięte w milczeniu dłonie. Dar połączenia, ciepła, człowieczeństwa. Jego twarz niczego nie zdradzała, nadal stał w bezruchu.

- Chodź, Damon – poprosił cicho Matt. Bonnie zerknęła na niego szybko i zobaczyła, że jego błękitne oczy są teraz nagłace, kiedy tak spoglądały w mroczną twarz łowcy.

Damon odezwał się, nie ruszając z miejsca:

- Ja nie jestem taki jak wy.

- Nie różnisz się od nas tak bardzo, jakbyś chciał myśleć – powiedział Matt. - Posłuchaj – dodał zaczepnie. -

Wiem, że zabiłeś pana Tannera w samoobronie, bo sam mi to powiedziałeś. I wiem, że nie przyjechałeś tutaj, do Fell's Church dlatego, że przywlokło cię tu wezwanie Bonnie, bo to ja sortowałem te włosy i wcale się przy tym nie pomyliłem. Jesteś do nas bardziej podobny, niż chciałbyś przyznać, Damon. Jedyne, czego nie wiem, to dlaczego nie wszedłeś wtedy do pokoju Vickie, żeby jej pomóc.

Damon wypalił niemal odruchowo:

- Bo mnie nie zaprosiła!

Bonnie wszystko sobie przypomniała. Jak stała pod domem Vickie, jak Damon stał obok niej, a Stefano mówił: „Vickie, zaproś mnie do środka”. Ale nikt nie zaprosił Damona.

- Ale w takim razie jak tam się dostał Klaus...?

- Jestem pewien, że to robota Tylera – odparł Damon z irytacją. - Że Tyler zrobił to dla Klause w zamian za informację, jak odzyskać swoje dziedzictwo. I musiał zaprosić Klause do środka, zanim w ogóle zaczęliśmy obstawiać dom Vickie... pewnie jeszcze zanim Stefano i ja przyjechaliśmy do Fell's Church. Klaus dobrze się przygotował. Tej nocy

był w domu i dziewczyna zginęła, zanim się połapałem, że coś się dzieje.

- Dlaczego nie wzywałeś Stefano? - spytał Matt. W jego głosie nie było śladu oskarżenia. To była zwykła ciekawość.

- Bo on by tam nic nie zdołał zrobić! Ja widziałem, z czym macie do czynienia, jak tylko to zobaczyłem. Ze Starszym. Stefano tylko dałby się zabić, a dla dziewczyny już i tak było za późno.

Bonnie usłyszała w jego głosie chłodną nut, a kiedy Damon znów obrócił się do Stefano i Eleny, jego twarz stężała. Jakby właśnie podjął jakąś decyzję.

- Rozumiecie, że nie jestem taki ja wy – powiedział.

- To nie ma znaczenia – odparł Stefano, nadal nie cofając wyciągniętej ręki, podobnie jak Elena. - A dobrzy ludzie czasami faktycznie zwyciężają. - dodał Matt cicho, zachęcająco.

- Damon... - zaczęła Bonnie. Powoli, niemal niechętnie, obrócił się w jej stronę. Myślała o tej chwili, kiedy klęczeli nad siałem Stefano, a on wyglądał tak młodo. Kiedy byli tam tylko Damon i Bonnie na krawędzi rozpadającego się świata.

Pomyślała, na jedna krótka chwilę, że widzi w tych czarnych oczach gwiazdy. I wyczuwała w nim coś – ślad jakiegoś uczucia zbliżonego do mieszaniny tęsknoty i zmieszania, lęku i gniewu, wszystkich razem. Ale potem wszystko zniknęło, maska powróciła i szósty zmysł Bonnie już nic jej nie podpowiadał. A te czarne oczy stały się z powrotem nieprzejrzyste.

Patrzył na siedzącą na ziemi parę. A potem zdjął kurtkę i stanął nad Eleną. Nie dotykając jej, otulił kurtką jej ramiona.

- To zimna noc – powiedział. Na chwilę spojrzał Stefano w oczy, poprawiając na niej okrycie.

A potem zawrócił między dęby. Po chwili Bonnie usłyszała szum skrzydeł.

Stefano i Elena bez słów znów się wzięli za ręce, a Elena oparła głowę na jego ramieniu. Ponad jej włosami zielone oczy Stefano spoglądały w mrok nocy, gdzie zniknął jego brat.

Bonnie pokręcił głową, czując, że wzruszenie ścisnęła ją za gardło. Przestało, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Uniosła głowę i zobaczyła Matta. Nawet oblepiony mchem i paprocią, wciąż był bardzo przystojny. Uśmiechnęła się

do niego, czując, że zdumienie i radość powracają. To oszołomienie uderzające do głowy na samą myśl o zdarzeniach dzisiejszej nocy. Meredith i Caroline też się uśmiechały, i w jakimś spontanicznym odruchu Bonnie chwyciła dłoń Matta i pociągnęła go za sobą. Wszyscy tańczyli ze na środku polany, kręcili się w kółko i śmiali. Żyli, byli młodzi i trwała noc letniego przesilenia.

- Chciałaś, żebyśmy znów wszyscy byli razem! - krzyknęła Bonnie do Caroline, i pociągnęła zaszokowaną dziewczynę do kółka. Meredith też do nich dołączyła.

I przez długi czas zapamiętali się w radości.

21 czerwca, 7.30

w dzień letniego przesilenia

Drogi Pamiętniku,

och, za wiele by tu wyjaśniać, a zresztą i tak

byś nie uwierzył. Kładę się do łóżka.

Bonnie

Koniec 😊